

W TYGODNIKU „SIECI" I TELEWIZJI wPOLSCE24 REPORTAŻ O CIEMNEJ KASIE RODZINY SIKORSKICH





PRL: TAJEMNICZA ŚMIERĆ ATOMOWEGO GENERAŁA

WAKACJE 2026: POLACY SZTURMUJĄ BAŁTYK. BĘDZIE REKORD

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

15 (697) 2026
7–12 kwietnia 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 15
Numer w sprzedaży do 13 IV 2026 r.

AFERA PEDOFILSKA

CO WIEDZIAŁA WIELICHOWSKA

TRUDNO UWIERZYĆ, ŻE WICEMARSZAŁEK SEJMU, OD LAT PRAWA RĘKA DONALDA TUSKA, NIE MIAŁA POJĘCIA, CO ROBIŁA KAMILA L. CZY TO ZMOWA MILCZENIA?

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 66e954e427

Trzymajmy kciuki

Do wyborów na Węgrzech pozostało już mniej niż tydzień. I trudno zaprzeczyć: faworytem jest opozycyjna TISZA, stworzona przez Pétera Magyara. W sondażach ośrodków lewicowo-liberalnych prowadzi badziej niż zdecydowanie. Pracownia 21 Kutatóközpont szacuje poparcie dla tego ugrupowania na 56 proc., a dla rządzącego Fideszu – 37 proc. Według ośrodka Medián liczby te wynoszą odpowiednio 58 proc. i 35 proc. Ośrodki bliskie rządowi podają co prawda wyniki odmienne (Nézőpont – 46 do 40 proc. dla partii Viktora Orbána, z kolei Alapjogokért Központ – 50 do 42 proc., także na rzecz obozu władzy), ale tym razem mogą się mylić. Ich badacze zakładają bowiem, że bardzo duża część deklarujących udział w wyborach, zwłaszcza po raz pierwszy, ostatecznie nie wrzuci karty do głosowania. Tym razem jednak mogą się mylić, bo nad Dunajem i Cisą rzeczywiście wiele się zmieniło.

Przede wszystkim wyraźnie osłabł autorytet władzy premiera Viktora Orbána. Zniknęło przekonanie, że jest to ekipa niemal nie do ruszenia. Mnożą się przypadki „sygnalistów", którzy kreują nowe fronty walki z Fideszem, nowe skandale, czasem tak wydumane i podkręcone, jak to było u nas za czasów rządów PiS. Rząd nie może się też pochwalić dobrymi wynikami gospodarczymi, wzrost gospodarczy jest mizerny, nadzieje na premię związaną z intensywną rozbudową sektora baterii do samochodów elektrycznych okazały się ślepą uliczką. A skoro obywatelom żyje się ciężej, to trudniej im akceptować oligarchów, którzy dorobili się ogromnych majątków w ostatnich latach. Zarzuty nie omijają samego premiera, którego rodzina (formalnie ojciec szefa rządu) buduje luksusową, naprawdę imponującą rezydencję pałacowo-parkową w miejscowości Hatvanpuszta.

Jednocześnie rewolucja cyfrowa sprawiła, że dominacja medialna w tradycyjnym sensie straciła na znaczeniu. Nie da się już tak skutecznie kanalizować narracji politycznej, jak to było możliwe jeszcze kilka lat temu. Globalizm, który podmywa nawet bardzo represyjne reżimy w różnych zakątkach świata, podmył także „nieliberalną demokrację" ze stolicą w Budapeszcie. Podmył także poparcie Fideszu poza wielkimi miastami – zdaniem niektórych socjologów to właśnie „bunt" części wiejskich i małomiasteczkowych elit, zwłaszcza młodszych pokoleń, sprawił, że poparcie dla TISZY okazało się tak wysokie, tak trwałe i tak odporne na wstrząsy. Ludzie ci często mają poczucie zablokowania możliwości awansu i rozwoju, mają dość dominacji ze strony czasami dysponujących monopolem środowisk partii rządzącej.

Najważniejszym czynnikiem jest jednak społeczne zmęczenie 16-letnimi rządami Orbána. To wciąż wielki polityk, który w oparciu o kraj jednak mały zdołał zbudować swoją markę na scenie globalnej. Ale to jednocześnie polityk chwilami już wyraźnie zmęczony, również męczący samym faktem tak długiego „panowania". Należy pamiętać, że Orbán rządził samodzielnie, bez pośrednictwa innych twarzy – nie było zmieniających się premierów, którzy w przypadku PiS pozwalali na przeprowadzanie skutecznych manewrów odświeżających wizerunek formacji. Dodatkowo Fidesz wygrywał kampanię za kampanią, stosując jedną metodę: wizerunek rywala bądź rywali wpisywano w wybrane ramy zarzutów i oskarżeń, a później intensywnie bombardowano, łamiąc kręgosłup, zniechęcając sympatyków. Ta zaczerpnięta z USA i z Izraela metoda była niezwykle skuteczna, ale tym razem zawiodła. Magyara najpierw zlekceważono, a później on sam nie dał się złapać w żadną z pułapek. Tym razem należało raczej łagodzić napięcie, niż podkręcać temperaturę. Na pierwszy plan należało wysunąć ludzi mniej zgranych, zużytych. Patrząc jednak realnie, było to chyba niemożliwe. Jeśli coś przynosi sukces, to zwłaszcza w obliczu kłopotów trudno podjąć ryzyko sięgania po sprawdzone przepisy.



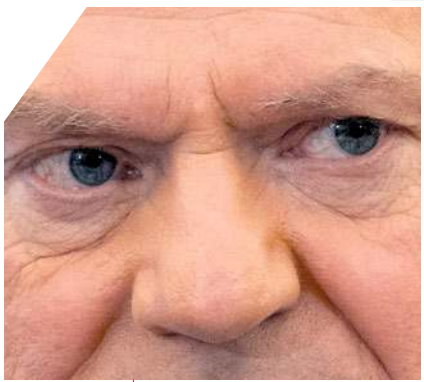
Ale jest jeszcze nadzieja. Być może i tym razem okaże się, że sondaże bardzo się mylą, a milcząca większość umie rozeznać interes narodowy, umie wznieść się ponad zmęczenie, irytację, nagromadzone urazy. Oby tak się stało. Dla Polski zmiana władzy w Budapeszcie oznacza przecież wielkie niebezpieczeństwo. Z perspektywy Brukseli pojawi się szansa na kolejny rabunek suwerenności słabszych państw członkowskich. Oddali się także perspektywa zmiany reguł gry w ramach Unii Europejskiej, perspektywa budowy Unii uczciwych zasad. Będzie to bardzo groźny moment. Dlatego trzymajmy kciuki za bratanków.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI

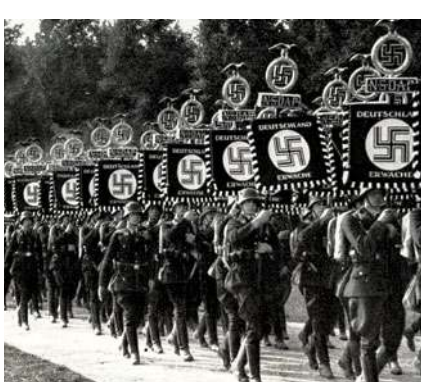
spis treści



22 Doktryna Tuska
Piotr Gursztyn



43 Gdy padnie twierdza Węgry
Maciej Walaszczyk



46 Brunatne życiorysy
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

5 **ANTYSEMITYZM I TEORIA SPISKOWA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TO BĘDZIE DRAMAT PACJENTÓW**
Dorota Łosiewicz

9 **„PROGNOZY NIE SĄ ZBYT ALARMUJĄCE", CZYLI JAK TUSK DBAŁ O POLSKI PORTFEL NA ŚWIĘTA**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **„GDY ROZUM ZAWODZI, BĄDŹ ODWAŻNY!"**
Jan Pietrzak

12 **MILIARDY STRACONE PRZEZ TUSKA**
Samuel Pereira

13 **KONCEPCJA, KTÓRA WYPRZEDZAŁA EPOKĘ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA JACKA MAŁKOWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **WIELKANOC JEST WYMAGAJĄCA…**
Arkadiusz Mularczyk

17 **MUZYCZNE HITY AI**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **AFERA PEDOFILSKA. CZY TO KONIEC PRAWEJ RĘKI TUSKA?**
Stanisław Janecki

22 **DOKTRYNA TUSKA**
Piotr Gursztyn

KRAJ

25 **CIEMNA KASA SIKORSKICH**
Łukasz Wróblewski

29 **POWRÓT TYMIŃSKIEGO**
Konrad Kołodziejski

32 **DLACZEGO CHODZĘ NA MIESIĘCZNICE?**
Jerzy Szmit

34 **ETAT MATKI**
Maciej Pawlicki

36 **MORZA SZUM I PTAKÓW ŚPIEW ZAMIAST ALARMÓW BOMBOWYCH**
Maciej Wośko

40 **PRZYSZŁY CHUDE LATA W INFRASTRUKTURZE**
Z Andrzejem Adamczykiem rozmawia Jerzy Szmit

OPINIE

43 **GDY PADNIE TWIERDZA WĘGRY**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

46 **BRUNATNE ŻYCIORYSY**
Aleksandra Rybińska

49 **„MNIEJSZE WTARGNIĘCIE" DO PAŃSTW BAŁTYCKICH**
Marek Budzisz

52 **SZTUCZNA INTELIGENCJA W SŁUŻBIE PRZESTĘPCZOŚCI ZORGANIZOWANEJ**
Grzegorz Górny

54 **FERALNY TRIUMF WŁOSKICH SĘDZIÓW**
Jan Rokita

HISTORIA

57 **POLSKA BOMBA ATOMOWA? TAJEMNICZY PROJEKT SYLWESTRA KALISKIEGO**
Stanisław Płużański

SPORT

60 **BÓL, KTÓRY DAJE NADZIEJĘ**
Michał Muzyczuk

SIECI KULTURY

63 **WZORZEC I DRAMA Z ATUTAMI**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: ZOFIA ZAŁĘSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **ŚWIADECTWO MOCY**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **BURAKI I UEFA**
Ryszard Czarnecki

74 **EX POLONIA LUX?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 66e954e427

BRONISŁAW WILDSTEIN

Antysemityzm i teoria spiskowa

Antysemityzm żywi się teorią spiskową. Ta druga to wyobrażenie, iż istnieje tajny ośrodek, z którego nikczemnicy sterują światem i wyzyskują jego mieszkańców. Żydzi jako obcy kulturowo innowiercy doskonale nadawali się do tej roli. Niezwiązani katolickimi zakazami czerpania zysków z obrotu pieniędzmi zajmowali się „lichwą" i potrafili dorobić się fortun, co dodatkowo pobudzało wymierzony w nich resentyment. Swoimi niepowodzeniami obciążały ich rozmaite rządy. Jako pijących krew metaforycznie, ale także dosłownie przedstawiali ich cyniczni politykierzy, w ślad za nimi zwykli obsesjonaci, a wreszcie wyobrażenie to stawało się obiegowym stereotypem.

Najbardziej konsekwentny był reżim carski, który pod koniec XIX w. wyprodukował „Protokoły Mędrców Syjonu", dzieło klasyczne zarówno dla myślenia spiskowego, jak i antysemityzmu.

Po krótkiej pauzie praktykę tę przejęli komuniści, nadając antysemityzmowi nowy stempel „antysyjonizmu". Tak lewicowy antykolonializm określa swoją nienawiść do Izraela. Polityka tego państwa nie ma znaczenia, jest ono atakowane już od lat 60. jako reprezentant kultury zachodniej w świecie islamu. Opowieści, że niechęć do Izraela spowodowała ofensywa w Gazie, jest takim samym fałszem jak nazywanie jej ludobójstwem. Aby uzasadnić to, wystarczy wskazać na fakt podnoszony przez antyizraelską propagandę. Izrael zrzucił na Gazę więcej bomb niż alianci na Niemcy w II wojnie światowej. Tymczasem ofiar było bez porównania mniej. Gdyby Izrael chciał dokonać ludobójstwa, wykorzystałby w tym celu swoje ataki. Dla rozpowszechniających ze względów nienawiści ideologicznej czy rasowej propagandę Hamasu nie ma to znaczenia, jak i wielokrotne demaskowanie jej kłamstw. Będą powtarzać insynuacje o żydowskich polowaniach na dzieci palestyńskie bez śladu dowodu.

Pisząc to, nie kwestionuję brutalności walk w Gazie. Wojna prowadzi do zwyrodnienia i armia izraelska jak każda inna nie jest od tego wolna. Walki na terenie tak gęsto zamieszkanym jak Gaza muszą generować dużą liczbę cywilnych ofiar, zwłaszcza jeśli Hamas nie tylko ich nie chroni, lecz także stara się je ze względów propagandowych zwielokrotnić, a w każdym razie obojętny jest na ich bezpieczeństwo, lokując swoje bazy w sąsiedztwie szpitali czy szkół.

Wydaje się mało prawdopodobne, aby Izrael mógł uniknąć tych strat, jeśli chce obronić istnienie swego państwa. Ale ono właśnie jest solą w oku antysyjonistów. Dlatego nie przejmują się oni rzeziami, które organizują muzułmanie w Jemenie czy Afryce, a wyczuleni są na wszelkie ofiary z ich strony.

Mamy powody do krytyki Izraela, zwłaszcza ostatnio, ale to ciągle oaza demokracji i cywilizowanego ładu na Bliskim Wschodzie.

Stygmat antysemityzmu i spiskowej teorii był głównym argumentem propagandy III RP już od momentu jej powstania. Antysemityzm insynuowany był nawet najdalszym od tego krytykom „Wyborczej" czy Michnika. W ten sposób siłą rzeczy był banalizowany i rozbrajany. Przestał kojarzyć się z Holokaustem, a zaczął z negatywną oceną establishmentu. Ludzie, którzy nie zajmują się analizą zjawisk społecznych, przyzwyczaili się, że antysemitami nazywani są przeciwnicy rządzącej oligarchii. Określenie to stopniowo traciło więc swoje złowrogie konotacje. Skoro przeciwnicy III RP są oskarżani o antysemityzm, to może rzeczywiście rządzą nią Żydzi? Powrót antysemityzmu był nie do końca uświadamianym celem środowiska „Wyborczej". Uzasadniał potrzebę trzymania za twarz Polaków i owocował manną międzynarodowych stypendiów dla tropicieli antysemityzmu.

Podobny fenomen obserwowaliśmy w odniesieniu do „teorii spiskowej". Tak nazywana, a zatem wyszydzana, była każda próba pokazania interesów, jakie stoją za postkomunistycznym układem. Teorią spiskową stało się „łączenie faktów i wyciąganie z nich wniosków" – jak pisałem wówczas. Piętno to miało dezawuować krytykę oligarchii przebranej w kostium liberalnej demokracji. Insynuowanie antysemityzmu przeciwnikom *status quo* prowokowało wyobrażenie żydowskiego spisku odpowiedzialnego za globalne zło.

Rosyjska agresja na Ukrainę zintensyfikowała ten proces. Moskwa zdaje sobie sprawę, że w Polsce nie może liczyć na rusofilię. Kremlowi wystarczy jednak antysemityzm i antyukraińskość oraz wizja Żydów, którzy skolonizowali Ukrainę oraz USA i usiłują pogrążyć świat w wojnie.

Dla lewicy mamy opowieść o imperializmie amerykańskim i Izraelu jako jego psie łańcuchowym, dla prawicy odwrotnie. To, że usiłują wypłynąć na tym rozmaite internetowe miernoty, nie dziwi, ale fakt, że podobne interpretacje powtarzają wydawałoby się poważni publicyści, musi wywoływać smutne refleksje.

Lewica jaka jest, każdy widzi. Ale to, że coraz większa część prawicy upodabnia się do swojej kreowanej przez wrogów karykatury, jest zjawiskiem ponurym i niebezpiecznym.

W gabinecie premiera, na Czerskiej czy Wiertniczej strzelają korki od szampana. Putin zaciera łapki.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 66e954e427



Sygnalista nadaje

Na początek ważne oświadczenie w reakcji na liczne pytania, czy Donald Tusk wiedział o aferze pedofilsko-zoofilskiej w kłodzkiej Platformie Obywatelskiej. Oto ono: „Nie ma takiego dowodu, powtarzamy jeszcze raz, nie ma żadnego dowodu, że Donald Tusk wiedział, czy nie wiedział! Jeśli wiedział, to jest nagroda pół miliona rubli za wskazanie takiego dowodu. Po prostu nie wiedział! Nie ma cienia przesłanki, że Donald wiedział o zoofilii w Kłodzku, po prostu nie ma i taki jest śmieszny fakt. Jest nawet taka wypowiedź Moniki Wielichowskiej: »Zrobiłam coś strasznego, ale imię Kierownika pozostanie nieskalane«. Z tego można by wnioskować, że ona po prostu nie raczyła Kierownika poinformować".

A jeśli chodzi o osoby pedofilskie (i również zoofilskie): murem za Kamilą i Przemkiem z Kłodzka! Murem za panią wicemarszałek Moniką Wielichowską.

Oraz murem za ***Tomkiem Siemoniakiem***, szefem specsłużb! On na pewno by wiedział, że coś tam jest nie tak. A skoro nie wiedział i fotografował się z panią Kamilą, to znaczy, że to dęta sprawa. Intryga neosędziów i dziennikarskich hien z prawackich mediów. A przede wszystkim scenariusz pisany obcym alfabetem!

Jeszcze jedno: czy wolicie tankować drogie paliwo, czy tanie? Bo gdyby nie rozgłos wokół sprawy Kamili z Kłodzka, jej męża Przemka oraz słodkich piesków, to czy premier miałby powód do obniżenia cen paliw? Wszyscy znacie odpowiedź. Skończcie już więc z tym prawackim hejtem!

Unia Europejska potępiła CPN. Ogłosiła, że jest niezgodny z pakietem unijnym. Odpowiedź dla Brukseli może być tylko jedna: pakiet-srakiet! Wiemy, co zrobi premier – zgodnie z jego słowami, że nikt go nie ogra w UE. Ogłosi polexit, a właściwie tuskexit. Zamiast Unii będzie RWPG. Czyli jak w najlepszych latach życia członków KOD.

W sprawie osób pedofilskich koalicja odniosła zwycięstwo moralne w Sejmie. Nie powiodła się próba odrzucenia weta tego Nawrockiego z Gdańska w sprawie aresztów dla osób pedofilskich. Marszałek Czarzasty zapowiadał, że to weto źle się skończy dla tego Nawrockiego i że koalicja to wygra. Tak też się stało – koalicja dała ważne świadectwo w bardzo stosownym momencie. Czasem bardziej liczą się punkty za styl niż sama wygrana. I tak jest tym razem. Skoro ktoś taki, jak ten Nawrocki z Gdańska, atakuje osoby pedofilskie, to wiadomo, że każdy demokrata i unijczyk powinien wziąć je w obronę.

Dobrze, że są odpowiedzialni dziennikarze, którzy wiedzą, że prawdziwą misją mediów demokratycznych jest rozliczanie zbrodni PiS, a nie mieszanie polityki do sprawy z Kłodzka. Za wzór trzeba tu postawić redaktora Stankiewicza i jego zdecydowaną reakcję, gdy niejaki Cieszyński z PiS chciał siać kaczystowską propagandę na falach Radia ZET. „Kończymy! Nie będę słuchaczom i widzom o 10 godzinie, a o 9 starego czasu, mówił o tak obrzydliwych rzeczach" – zareagowała stanowczo osoba redaktorska Stankiewicz. To jest właściwe postępowanie i wyrażamy mocne przekonanie, że redaktor zgarnie w tym roku nagrodę Grand Press za właściwą i czujną postawę. We wszystkich kategoriach, bo trudno będzie go teraz przebić.

Kończąc przykrą sprawę nagonki na osoby pedofilskie i zoofilskie

eprasa.pl 66e954e427

związane z obozem demokratycznym, podkreślmy, jak dobre wyczucie chwili ma premier Donald Franciszek. W chwili, gdy tyle osób niepotrzebnie ekscytowało się medialną nagonką na panią Kamilę i jej pieski, premier wypuścił w internetach przeuroczy filmik pt. „Szalone lata 90.!". To rzeczywiście były wspaniałe czasy. Wszyscy tęsknimy za skutkami terapii szokowej Balcerowicza i widzimy, że dzięki mądrej polityce gospodarczej obecnego rządu wkrótce znowu ją przeżyjemy. PS Szkoda, że nie ukazał się filmik premiera o „szalonych latach 80.". Niestety nie zgodził się na to pan Fułek, powołując się na przepisy RODO.



Dziwna sprawa. Kancelaria premiera ogłosiła, że szuka agencji do kampanii w soszjalach. Tych wszystkich fejsikach, insta i innych tiktokach, gdzie coraz więcej trolli hejtuje i wyśmiewa rząd Polski uśmiechniętej. Zamiast wyśmiewać Kaczora-dyktatora. Oferowana kasa jest bardzo mała, tylko 1,2 mln peelenów. Ledwo na waciki wystarczy, więc nie wiadomo, czy warto się schylać.



A sprawa jest dziwna z dwóch powodów. Po pierwsze, ***Krzysiek Gawkowski*** miał wziąć za twarz te wszystkie internety. Śmieszył, tumanił, przestraszał, że wkrótce poskromi imperialistów z Doliny Krzemowej. No, ale nie dowiózł. Po drugie, zdawało się, że za obsługę medialną pana premiera odpowiada kolektyw kierowany przez mecenasa-posła Romana Konia-Giertycha, czyli Silni Razem. I oni nie dali rady? Trudno to pojąć.



W świetle powyższych doniesień należy czytać kolejny scenariusz pisany obcym alfabetem, a dokładniej ranking. Jak ktoś mógł wpaść na pomysł, aby zapytać ludzi o to, kto jest najgorszym ministrem w rządzie premiera Donalda Franciszka? To pytanie tendencyjne i z tezą. Woda na młyn wiadomo kogo. Wyszło na to, że najgorszą osobą ministerską jest ***Baśka Nowacka***. Drugie miejsce pod względem najgorszości zajął Radek Sikorski. A za nim uplasowali się Waldek Żurek i Paulina Hennig-Kloska. No dobrze, może są słabi, ale najważniejsze, że PiS nie rządzi.



Niejedna osoba demokratyczna starszo-średniego pokolenia ze wzruszeniem otarła łezkę, gdy usłyszała o nowej inicjatywie premiera – CPN. To były czasy! Jeszcze piękniejsze niż lata 90. z filmiku szefa rządu, bo wtedy cały KOD był młody. Pierwsze miłości, pierwsza praca w resorcie, pierwszy maluch.

No i oczywiście jest skandal. Ten Nawrocki z Gdańska nie zawetował ustawy o CPN! Podpisał i jeszcze się tym chwali. Nie takie były oczekiwania.

Nie jest prawdą, że ktoś taki jak ***Rafał Trzaskowski*** nie istnieje i jest to postać wytworzona przez sztuczną inteligencję. Otóż to prawdziwy człowiek, mieszka w Warszawie i potrafi korzystać z mediów społecznościowych. Jest też człowiekiem czynu. Internetowego. Rafał ogłosił w internetach manifest potępiający człowieka, który ukradł mu pobyt w pałacu prezydenckim (oraz pierwszej damie Gosi). W manifeście, który niedługo zostanie wpisany na listę Niematerialnego Dziedzictwa UNESCO, Rafał przejechał się po tym Nawrockim z Gdańska. „Jaki jest prezydent Nawrocki, to ostatnio widzieliśmy, WYJADĘ CI Z CZACHY, mniej więcej w ten sposób rozmawia z dziennikarzami, taki wyjazd iście żulerski" – wygłosił słowa potępienia. Wszyscy wiemy, do czego zdolny jest ten Nawrocki z Gdańska. Jest zdolny do wyjechania z czachy. A Rafał nie jest do tego zdolny. Nigdy nie był i już nie będzie.

A wiecie, co łączy dwie wspaniałe postacie demokratyczne, czyli Ursulę von der Leyen i Romka Giertycha? Nie tylko kontrowersje finansowe, czyli Pfizer z jednej strony, a Polnord z drugiej. To oczywiście też, ale chodzi o rzecz ważniejszą. Także nie o to, że obu boi się Donald Franciszek (choć to też ważne). Romka i Ursulę łączą sondaże. Mieszkańcy Ten Kraju podobnie ich oceniają. Aż 34,5 proc. Polaków odpowiedziało, że ma dobre zdanie o przewodniczącej von der Leyen. I tylko 52,8 proc. ocenia ją negatywnie. W przypadku Romana aż 21,8 proc. respondentów uważa, że jest on wzmocnieniem dla Koalicji Obywatelskiej. I zaledwie 58,1 proc. twierdzi, że stanowi obciążenie dla tej partii. Obu wyróżnionym osobom gratulujemy sukcesu i życzymy dalszych podobnych osiągnięć.

Ech, ci ludzie to brudne świnie. Znowu plotkują o Marcie Stempniewskiej. No po prostu litość i trwoga. Tak to bywa, gdy ktoś zazdrości. A konkretnie osoby konfederackie o orientacji narodowej. Chcą, aby o niej napisać, no to piszemy. Marta, lat 31, prezes w pubie Mentzen, wiceprezes w kancelarii Mentzen S.A., biznesowa partnerka Sławka. Jako prezeska jego fundacji Powrót do wolności zbiera kasę, której Sławek nie musi rozliczać w PKW. No i rządzi partią, bo jemu trochę już się nie chce. Gdzie wady?

Fot. M. Czutko, Andrzej Wiktor x2, RMF FM

eprasa.pl 66e954e427

WIEŻA BAB

To będzie dramat pacjentów

Najbardziej ucierpią ci, którzy już teraz znajdują się w najtrudniejszej sytuacji: osoby wymagające kosztownej i specjalistycznej diagnostyki

To, co Narodowy Fundusz Zdrowia próbuje dziś sprzedać opinii publicznej jako „racjonalizację", w rzeczywistości jest brutalnym, cynicznym uderzeniem w pacjentów i cały system ochrony zdrowia.

Od kwietnia 2026 r. mają się zmienić zasady finansowania świadczeń w ambulatoryjnej opiece specjalistycznej. I choć urzędnicy z uporem unikają słowa „limity", skutki tych decyzji będą dokładnie takie same, jak ich wprowadzenie. A być może nawet bardziej dotkliwe, bo ukryte pod warstwą urzędniczej nowomowy.

Bo jak inaczej nazwać sytuację, w której za tzw. nadwykonania, czyli świadczenia wykonane ponad zakontraktowany plan, NFZ zapłaci jedynie część stawki zamiast dotychczasowych 100 proc.? Jak inaczej opisać mechanizm, w którym państwo mówi lekarzom: „Leczcie pacjentów, ale jeśli będzie ich za dużo, zaczniecie do tego dopłacać"?

Najbardziej ucierpią ci, którzy już teraz znajdują się w najtrudniejszej sytuacji: osoby wymagające kosztownej i specjalistycznej diagnostyki. Tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny, kolonoskopia, gastroskopia – to nie są fanaberie ani „nadmiarowe świadczenia", które można odłożyć na później bez konsekwencji. To badania wykonywane w konkretnych, często pilnych wskazaniach. Ich ograniczanie nie jest decyzją administracyjną, lecz decyzją medyczną o realnym wpływie na ludzkie życie.

Eksperci nie mają złudzeń – kolejki do specjalistów mogą się wydłużyć nawet o 70 proc. To liczba, za którą kryją się konkretni ludzie: ktoś, kto poczeka kilka miesięcy dłużej na rezonans, ktoś, u kogo później wykryje się nowotwór, ktoś, kto straci szansę na wczesne leczenie.

Środowisko lekarskie od tygodni alarmuje, że zmiany idą w najgorszym możliwym kierunku. Jak podkreśla wiceprezes Naczelnej Rady Lekarskiej Klaudiusz Komor, w medycynie nie funkcjonuje pojęcie „nadwykonania" w sensie moralnym czy praktycznym. Lekarz nie zastanawia się, czy pacjent „mieści się w planie". Lekarz reaguje na stan zdrowia tu i teraz.

To jest moment, w którym system ochrony zdrowia przestaje być systemem opieki, a zaczyna być systemem zarządzania niedoborem. Przedstawiciele samorządu lekarskiego mówią wprost: po wyczerpaniu kontraktów placówki będą zmuszone przesuwać pacjentów na późniejsze terminy lub wstrzymywać zapisy. Czyli dokładnie to, co według oficjalnej narracji nie ma miejsca. „Brak limitów" okazuje się jedynie semantyczną sztuczką, która ma przykryć faktyczne ograniczenia.

A wszystko to dzieje się w kraju, który już teraz mierzy się z poważnym kryzysem zdrowotnym. Nowotwory są drugą najczęstszą przyczyną zgonów, odpowiadając za 25–27 proc. wszystkich śmierci. Każdego roku diagnozuje się ponad 180 tys. nowych przypadków, a liczba ta systematycznie rośnie. Jednocześnie Polska wciąż pozostaje w tyle za wieloma krajami Unii Europejskiej, jeśli chodzi o wskaźniki przeżywalności. Jednym z kluczowych problemów jest późne wykrywanie chorób oraz niewystarczający udział badań przesiewowych. I właśnie w tym kontekście zapada decyzja o ograniczeniu finansowania badań diagnostycznych. To nie jest tylko paradoks – to sprzeczność, której nie da się racjonalnie obronić.



Z jednej strony słyszymy o konieczności wczesnego wykrywania chorób, o znaczeniu profilaktyki, o potrzebie zwiększania dostępności badań. Z drugiej – wprowadza się mechanizmy, które tę dostępność realnie ograniczają. To tak jakby jednocześnie naciskać gaz i hamulec, licząc na to, że samochód pojedzie szybciej.

Najbardziej gorzkie w tym wszystkim jest to, że konsekwencje tych decyzji nie pojawią się od razu w statystykach. Nie zobaczymy ich w pierwszym miesiącu ani nawet w pierwszym roku. Będą narastać powoli w postaci wydłużonych kolejek, opóźnionych diagnoz, bardziej zaawansowanych stadiów chorób w momencie rozpoznania. I wreszcie w postaci konkretnych ludzkich tragedii. Bo za każdą „oszczędnością" stoi człowiek, który nie dostał się na badanie na czas. Za każdą „racjonalizacją" kryje się ktoś, kto będzie leczył się dłużej, trudniej albo wcale.

Oczywiście można powtarzać, że to nie są limity. Że system działa. Że wszystko jest pod kontrolą. Tyle że pacjenci bardzo szybko przekonają się na własnej skórze, ile warte są te zapewnienia. I wtedy żadna nowomowa już nie pomoże.

Dorota Łosiewicz

„Prognozy nie są zbyt alarmujące”, czyli jak Tusk dbał o polski portfel na święta

Wielkanoc za nami. Jajka zjedzone, baranek schowany, a Polska wraca do szarej rzeczywistości. Tyle że ta rzeczywistość pachnie teraz drożyzną, nawet przy świątecznym stole. Kiełbasa droższa niż rok temu o jedną trzecią, masło, które zdążyło podrożeć, zanim jeszcze zaczęliśmy święcić, jajka po 9–10 zł za 10 sztuk w niektórych sklepach. Chrzan i majonez też nie są tanie. Wszystko to efekt polityki, która najpierw obiecywała taniej, a potem pozwoliła, by ceny rosły bezkarnie



Fot. Archiwum autora

Siadamy za kierownicą, podjeżdżamy do dystrybutora i... no właśnie. Pakiet „Ceny Paliwa Niżej” – obniżka VAT z 23 do 8 proc., cięcie akcyzy do unijnego minimum, magiczna cena maksymalna. Rząd Tuska ogłosił to z wielką pompą tuż przed świętami, jak wielką łaskę dla narodu. Tylko że zanim rozporządzenia na dobre weszły w życie, ORLEN zdążył podnieść ceny hurtowe – diesla o ponad 170–300 zł za 1 m^3 w ciągu kilku dni, benzyny o ponad 100 zł. Genialny timing, prawda? Najpierw hurt idzie w górę, potem państwo „ratuje” kierowców, a rachunek i tak ląduje w kieszeni zwykłego Polaka.

Pamiętam inne czasy. Cena baryłki ropy dochodziła do 120 dol., 1 dol. kosztował 4,30 zł, wojna tuż za wschodnią granicą, inflacja szalała. Rząd Mateusza Morawieckiego nie siedział i nie czekał na sondaże ani na wrzask w mediach społecznościowych. Obniżyliśmy VAT na paliwa, uruchomiliśmy tarcze antyinflacyjne, ORLEN trzymał marże na poziomie, który realnie chronił portfele. Była jasna decyzja – państwo stoi po stronie swoich obywateli. Rolnika z ciągnikiem, przewoźnika z ciężarówką, rodziny, która nie chce, by dojazd do pracy czy wakacje pożerały połowę domowego budżetu.

PiS było konsekwentne. Zawsze. Nie obiecywało 5,19 zł w kampanii po to, by po wygranych wyborach rozłożyć ręce i powiedzieć: „No cóż, takie czasy”. Nie zwlekało tygodniami, aż cena diesla zbliży się do 9 zł, a benzyny do 8 zł. Działaliśmy natychmiast – bo Polak zasługuje na szybką reakcję, a nie na spóźnione gesty.

A obecna koalicja? Jak zwykle klasyka gatunku. Najpierw kampanijne hasła i obietnice, potem długa cisza. Dopiero gdy cena diesla przebiła rekordowe 9 zł za 1 l, a benzyny solidnie przekroczyła 7 zł, nagle przypomnieli sobie, że państwo może jednak interweniować. Tylko że – jak zawsze – za późno i za mało. ORLEN zdążył nabić sobie kabzę, budżet zdążył zarobić na wyższych podatkach przez kilka tygodni, a zwykły kierowca... no właśnie. On płaci pełną stawkę. Znowu.

I nie chodzi tylko o stacje benzynowe. Pamiętacie wrzesień 2024 r.? Premier Tusk staje przed kamerami z kamienną twarzą i uspokaja naród: „Prognozy nie są zbyt alarmujące, spodziewamy się lokalnych podtopień”. Żadnej paniki, wszystko pod kontrolą, nie ma powodu do wielkich obaw. A potem przyszła woda, która zalała domy, pola i całe regiony. Ludzie stracili dorobek życia, a rząd... cóż, później organizował konferencje i apelował o „niepowielanie dezinformacji”. Dokładnie ten sam schemat co z paliwami i świątecznym stołem. Najpierw „nie jest źle”, potem „może da się minimalnie”, a na końcu wielka łaska w formie pakietu, który spóźnia się o kilka miesięcy.

Ironia jest bolesna. PiS nigdy nie bało się postawić Brukseli, gdy w grę wchodziła ochrona polskiego portfela czy dachu nad głową. Nie bało się powiedzieć głośno, że Zielony Ład i unijne regulacje nie mogą oznaczać drożyzny dla polskich rodzin. Obecna władza tańczy dokładnie tak, jak Bruksela zagra. Najpierw „nie da się”, potem „może się da, ale minimalnie”, a na końcu heroiczna interwencja, która i tak nie nadąża za problemem.

Po świętach nie ma już miejsca na iluzje. Jest tylko rachunek. Za każdy dzień zwłoki, za każdą niespełnioną obietnicę, za każdą decyzję, która najpierw chroni wielki koncern albo unijnych ideologów, a dopiero potem – jeśli w ogóle – zwykłego człowieka. PiS pokazało, że można inaczej. Szybko, zdecydowanie i po stronie ludzi. Koalicja Obywatelska raz jeszcze pokazała, że jak zwykle – da się za późno. O ile w ogóle.

I to jest największa różnica. Nie w procentach VAT czy groszach akcyzy. W sercu. W tym, komu naprawdę służy władza.

Daniel Obajtek

eprasa.pl 66e954e427

Dość islamizacji



Dania

Wybory w Danii nie przyniosły jednoznacznego rozstrzygnięcia. Socjaldemokraci (SD), choć wygrali, nie mają większości, ale wysoki, piąty wynik uzyskała Duńska Partia Ludowa (DF) – 9,1 proc., która przedstawiła projekt ustawy radykalnie ograniczającej imigrację.

Sygnałem alarmowym stał się apel szyickiego imama z Kopenhagi, który po ataku na Iran wezwał wiernych do świętej wojny. Okazało się jednak, że nie da się go pozbawić duńskiego paszportu, bo zgodnie z konstytucją raz przyznanego obywatelstwa nie da się już odebrać.

Podczas kampanii DF zaproponowała więc nie tylko utrudnienia w uzyskaniu stałego pozwolenia na pobyt, lecz także rewizję wszystkich dokonanych w ciągu ostatnich 20 lat naturalizacji. Partia chce, aby życie w zgodzie z zasadami islamu stało się w Danii „prawie niemożliwe". Proponuje się m.in. zakaz wydawania zezwoleń na pracę osobom pochodzącym z krajów muzułmańskich, zakaz publicznego nawoływania do modlitwy, ograniczenie lub zakaz noszenia hidżabu w szkołach i instytucjach publicznych, zamknięcie szkół muzułmańskich, zakaz sprzedaży mięsa halal oraz finansowania meczetów z zagranicy. Do tego miałyby dojść przyśpieszone deportacje radykalnych imamów i przestępców już po pierwszym wyroku sądowym. Politycy DF wezwali też rząd, aby wszyscy nieposiadający duńskiego obywatelstwa zostali pozbawieni świadczeń socjalnych oraz rent. Ryzyko związane z imigracją stało się w Danii na tyle wysokie, że propozycje DF uznano za warte przedyskutowania i nikt – łącznie z rządzącymi socjaldemokratami – z góry ich nie odrzucił. Wsparli je za to konserwatyści z KF.

Dane rządowe pokazują, że liczba osób ubiegających się o obywatelstwo duńskie z krajów muzułmańskich wzrosła do najwyższego poziomu od 9 lat. W ciągu ostatnich 50 lat imigracja diametralnie zmieniła Danię. Obecnie mieszka w niej ponad 1 mln imigrantów i ich potomków, co odpowiada jednej szóstej całej populacji. Ponad 230 tys. z nich posiada duńskie obywatelstwo, a prognozy pokazują, że jeśli nic się nie zmieni, w 2096 r. rdzenni Duńczycy staną się mniejszością.

Maciej Walaszczyk

Antymateria w ciężarówce

Szwajcaria

Naukowcom z międzynarodowego ośrodka CERN w Genewie udało się wykonać duży krok na drodze do urzeczywistnienia scenariusza jednego z utworów Dana Browna. W jego powieści „Anioły i demony" złoczyńcy wykradli antymaterię, aby grozić zniszczeniem Watykanu. Kiedy ten poczytny amerykański pisarz snuł swoje wizje, tego rodzaju operacja nie była możliwa, ale teraz jest już bardziej prawdopodobna.

Stefan Ulmer i Christian Smorra zdołali załadować chmurę 92 antyprotonów na ciężarówkę i przewieźć ją po ośrodku. Eksperyment zakończył się sukcesem. Po przebyciu 10 km antyprotony nadal były uwięzione w polu elektromagnetycznym, które chroni naładowane cząstki przed światem zewnętrznym.

Antyprotony są lustrzanym odbiciem protonów – mają tę samą masę, różni je tylko ujemny ładunek elektryczny. Przy zetknięciu się z protonami niszczą je (samemu też się anihilując), a w wyniku tej reakcji zostaje uwolniona energia. W hipotetycznym świecie zbudowanym z antymaterii antyprotony miałyby nieograniczoną żywotność, ale ponieważ nasz świat jest zbudowany z materii, utrzymanie „przy życiu" cząstek tego rodzaju jest niezwykle trudne, nie mówiąc już o ich badaniu.

Dlaczego naukowców tak interesuje antymateria? Powodem jest asymetria. Gdyby w czasie Wielkiego Wybuchu, który spowodował powstanie naszego świata, doszło do symetrycznego uwolnienia cząstek materii i antymaterii, nastąpiłaby ich wzajemna anihilacja. Mielibyśmy wtedy do czynienia wyłącznie z błyskiem energii. Tak się jednak nie stało, bo materia przeważyła nad antymaterią i naukowców interesują przyczyny tej asymetrii. Aby to zbadać, potrzebne jest „zmierzenie" antyprotonów i porównanie ich z protonami. Tylko w CERN można spowolnić ruch antyprotonów na tyle, że możliwe jest ich przeniesienie do pułapki elektromagnetycznej, w środowisko zbliżone do idealnej próżni. Dotychczasowe pomiary – z dokładnością do 11 miejsc po przecinku – nie potwierdziły hipotezy o asymetrii cząstek i z tego powodu zespół Stefana Ulmera postanowił przenieść antyprotony do laboratorium na Uniwersytecie w Düsseldorfie, gdzie jest budowana dokładniejsza aparatura.

„Załadowanie" antymaterii na ciężarówkę stanowi wstęp do tych badań. Na razie „podróż" trwała jedynie 20 minut – zbyt krótko, aby z Genewy dotrzeć na niemiecki uniwersytet. Trzeba jeszcze zbudować specjalne agregaty prądotwórcze, bo ochłodzenie mobilnej pułapki do poziomu zbliżonego do zera bezwzględnego wymaga dużej energii. Pierwszy krok został już jednak zrobiony.

Marek Budzisz

eprasa.pl 66e954e427



Tajwan

Ryzykowna gra

Amerykańskie zaangażowanie w Zatoce Perskiej może ośmielić Chiny do bardziej zdecydowanych działań na Dalekim Wschodzie – obawiają się władze Tajwanu. Niepokój zdradzają również inni amerykańscy sojusznicy w Azji – donosi „The Washington Post".

Bezpośrednio przed wybuchem wojny z Iranem tajwańskie przygotowania do obrony wyspy wkroczyły w kolejną, dynamiczną fazę. W listopadzie 2025 r. prezydent Tajwanu Lai Ching-te zapowiedział uruchomienie specjalnego budżetu wojskowego w bezprecedensowej wysokości 40 mld dol. Miesiąc później administracja Donalda Trumpa zatwierdziła rekordową kwotę 11 mld dol. na sprzedaż broni Tajwanowi. Na ten rok planowano kolejną transzę dostaw uzbrojenia – również o wartości 11 mld dol. W jej skład miały wejść m.in. zaawansowane pociski przechwytujące dla tajwańskiej obrony przeciwlotniczej. Tajwan chciał w szybkim czasie zbudować twierdzę nie do zdobycia. Amerykanie byli zadowoleni, bo państwo to brało na siebie dużą część odpowiedzialności za własne bezpieczeństwo, a przy okazji dawało zarobić amerykańskiemu przemysłowi zbrojeniowemu.

Wszystko zmieniło się w chwili wybuchu wojny z Iranem. W ciągu kilku tygodni konflikt w Zatoce Perskiej na tyle mocno zaangażował amerykańskie zasoby, że Biały Dom zapowiedział wstrzymanie sprzedaży broni na Tajwan. Jednocześnie Amerykanie zaczęli wycofywać systemy obrony przeciwrakietowej z Korei Południowej, aby przenieść je w rejon Zatoki Perskiej. Te decyzje wywołały niepokój wśród dalekowschodnich sojuszników Ameryki i zachwiały ich wiarą w solidność Waszyngtonu. Pojawiające się obawy natychmiast wykorzystały Chiny, które wzmocniły przekaz, że Stany Zjednoczone są niewiarygodnym partnerem.

Wiele pytań pojawiło się również wokół przełożonego spotkania na szczycie, które Donald Trump miał odbyć w marcu z Xi Jinpingiem. Niektórzy analitycy uważają, że jego przełożenie daje Trumpowi czas na rozwiązanie kryzysu w Zatoce Perskiej. Inni jednak twierdzą, że jest odwrotnie, bo przedłużająca się wojna z Iranem może skłonić amerykańskiego prezydenta do większej uległości wobec chińskich żądań. Trump mógłby np. zgodzić się na ograniczenie sprzedaży broni na Tajwan.

Kolejnym problemem jest uzależnienie Tajwanu od dostaw paliwa z Bliskiego Wschodu. Jeśli konflikt przedłuży się o kolejny miesiąc, tajwańscy przywódcy zostaną całkowicie pochłonięci kryzysem energetycznym, nie mając czasu na kwestie bezpieczeństwa. Podobne ryzyko dotyczy też Filipin, które ogłosiły energetyczny stan wyjątkowy.

Biały Dom zapewnia, że usunięcie zagrożenia ze strony Iranu uwolni więcej zasobów na strategiczny „zwrot ku Azji". Na razie jednak sytuacja wygląda odwrotnie.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock x4



Indie

Kuriozalne oskarżenie

Sąd Najwyższy stanu Uttar Pradesh w Prajagradź odrzucił wniosek o umorzenie sprawy przeciw katolickiemu księdzu Vineetowi Vincentowi Pereirze. Oznacza to, że już wkrótce duchowny może zasiąść na ławie oskarżonych pod zarzutem umyślnego znieważania innych religii. Jego wina polegała na tym, że podczas kazania w swoim kościele w Varanasi nazwał chrześcijaństwo „jedyną prawdziwą religią".

Sam duchowny wyjaśniał przed sądem, że nie zamierzał w ten sposób nikogo obrażać ani ranić niczyich uczuć religijnych, a jedynie wyznawał swoją wiarę. Jego wniosek został jednak odrzucony, ponieważ przyjęto argumentację prokuratury, iż sprawa dotyczy faktów spornych, które muszą zostać wyjaśnione w toku procesu.

Sytuacja jest kuriozalna. Co miałoby bowiem zostać wyjaśnione w trakcie procesu? Która religia jest prawdziwa? Przecież to nie jest zadanie sądu państwowego w świeckim kraju. A może sędziowie powinni decydować, czy kapłani mają prawo mówić w swojej świątyni, że tylko ich religia jest prawdziwa? Byłoby jednak czystym absurdem wymaganie od duchownych głoszenia nieprawdziwości własnej wiary. Zaprzeczałoby to przecież sensowi istnienia ich religii.

W Indiach istnieje wiele nurtów hinduizmu, które podkreślają słuszność jedynie własnej drogi duchowej. Żaden z przedstawicieli tych środowisk nie został jednak oskarżony o znieważanie wyznawców innych religii. Taki zarzut padł tylko pod adresem duchownego katolickiego, a sformułowany został w stanie Uttar Pradesh, który słynie jako bastion hinduistycznych fundamentalistów.

Ryzyko, że wspomniany kapłan zostanie skazany, jest niewielkie. Jednak próba posadzenia go na ławie oskarżonych to jeden ze sposobów zastraszania i wywierania presji na mniejszość chrześcijańską przez środowiska polityczne hinduistów. W tym kontekście należy widzieć uchwalane w różnych stanach Indii prawa antykonwersyjne, wymierzone głównie w wyznawców Chrystusa. Wolność religijna chrześcijan w Indiach jest więc wciąż zagrożona.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 66e954e427

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

„Gdy rozum zawodzi, bądź odważny!”



Jan Pietrzak

Podają media, że Niemcy masowo wykupują w Polsce nowe mieszkania, a nawet całe osiedla! To kwestia ceny. Jeżeli Polaków nie stać na mieszkania, deweloperzy i ich lokalni wspólnicy szukają zamożniejszych klientów. Gdzie ich znajdują? Za Odrą! Za pewien czas Polacy będą mieszkać w ziemiankach i namiotach! Jeżeli znajdą wolny trawnik. Nie będzie to łatwe, ponieważ grunty rolne i działki leśne od dawna przechodzą w obce ręce, łącznie z tymi urzędnikami, którzy podpisują korzystne dla Niemców papiery. Ponadto nadciąga brukselska dyrektywa budynkowa. Z grubsza chodzi o to, żeby domy nie wydzielały z siebie ciepła, bo ono szkodzi atmosferze – tak jak krowi metan. Normy są tak wyśrubowane, że każdego Polaka można będzie wyrzucić z jego domu.

W tym kontekście nawet najbardziej tępi rodacy – co się zdarza – dotkliwie odczują politykę fiskalną obecnej władzy. Służy ona temu, by jak najszybciej doprowadzić nas do skrajnej nędzy. Powstrzymanie naszego rozwoju to bardzo ważny cel polityki zachodniego sąsiada. Np. Odra wymaga uporządkowania, a tu kłamliwe opinie „ekologów” uniemożliwiają podjęcie stosownych prac. Bezlitosnym ciosem w rolnictwo są konsekwencje umowy Mercosur i zniesienie ceł na produkty rolne z Ukrainy. Wbrew umowie stowarzyszeniowej RP z UE.

Żadne europejskie państwo nie ponosi tak ogromnych strat z powodu ingerencji Brukseli w bieżące sprawy biznesowe, finansowe, prawne... itd. Widać wyraźnie, że unijnych władz nie obchodzi interes Polski. Traktują nas jako podwykonawców. I to by się zgadzało z powszechnym odczuciem, poczynając od szefa – podwykonawcy 100 konkretów.

To nie jest wymarzona sytuacja dla ludzi wolnych, lubiących żyć u siebie i pracować na swoim. Wyraźnie tracimy suwerenność. Cała nadzieja w prezydencie! Naprawdę tak sądzę! Jest zdecydowany i odważny. Szanuję wielu polityków nurtu patriotycznego, jednak przez lata sprawowania państwowych powinności przywykli do przesuwania decyzji, pielęgnowania proceduralnych zmian.

Sięgnijmy do historii. II wojna światowa trwała sześć lat. Polacy, eksterminowani milionami przez bandytów ze wschodu i zachodu, utworzyli państwo podziemne, Armię Krajową, tajne nauczanie, sądy specjalne dla zdrajców, wiele formacji wojskowych na wszystkich frontach, stoczyli tysiące bitew... Takiego zdecydowania nam potrzeba. Wiedzy i odwagi! Byśmy uniknęli roli posłusznych pachołków UE.

Obecnie po 30 latach III RP sądownictwo mamy rozwalone, edukację zgermanizowaną, kulturę sprofanowaną, armię w chaosie, rolnictwo bankrutujące, inwestycje wstrzymane, gospodarkę podwykonawczą... Toczy się zamaskowana wojna z Polską! Jak przykazywał Zbigniew Herbert, „gdy rozum zawodzi, bądź odważny! W ostatecznym rachunku jedynie to się liczy!”.

Miliardy stracone przez Tuska



Samuel Pereira

Blisko miesiąc temu, 11 marca, na posiedzeniu Sejmu mogła być procedowana ustawa prezydencka SAFE 0 proc. Jej założenia są już wszystkim dobrze znane, a dziś coraz wyraźniej widać cenę politycznej blokady. Nie było debaty, nie było sporu na argumenty – był knebel narzucony władzy ustawodawczej. Premier Donald Tusk i wierny mu marszałek Włodzimierz Czarzasty nawet nie dopuścili do dyskusji. Parlament, który z definicji ma „mówić”, został sprowadzony do roli maszynki do głosowania. Tyle że tym razem zabrakło nawet głosowania.

Skutki? Wystarczy spojrzeć na Francję. Tamtejszy bank centralny przeprowadził operację, która w Polsce wzbudziła tyle politycznych kpin. Sprzedano część złota w starszym standardzie, by odkupić je w nowym. Efekt? Ok. 11 mld euro zysku, czyli blisko 50 mld zł. Nie hazard, nie spekulacja – racjonalna modernizacja rezerw. Państwo, które myśli strategicznie, potrafi wykorzystać własne aktywa. Państwo Tuska, które myśli cynicznie – blokuje pomysły tylko dlatego, że nie są „nasze”.

W Polsce Narodowy Bank Polski zwiększa rezerwy złota, które przekraczają już 570 t i są warte setki miliardów złotych. Pojawił się pomysł, by podobnie jak Francja przeprowadzić operację, która mogłaby przynieść realny zysk i wzmocnić bezpieczeństwo państwa, choćby poprzez finansowanie modernizacji armii. Co zrobił rząd Tuska? Zamiast rozważyć, policzyć, poddać pod dyskusję – odrzucił w ciemno.

Tu nie chodzi tylko o jedną ustawę, choć ona tak dosadnie pokazuje skutki przyjętego kursu. Chodzi o sposób myślenia. O wybór między państwem, które szuka pieniędzy we własnych zasobach, a państwem, które sięga po kredyt z tyloma gwiazdkami. Bo kredyt jest prosty propagandowo, a prawdziwy rachunek przyjdzie później. Zysk z dobrze przeprowadzonej operacji? Wymaga decyzji, odwagi i odpowiedzialności.

Francuzi pokazali, że można. Polska mogła spróbować. Zamiast tego mamy polityczną blokadę i realne miliardy, które przeszły obok nas. To nie jest abstrakcja. To są pieniądze, które mogły pracować dla państwa, dla obywateli i naszego bezpieczeństwa.

eprasa.pl 66e954e427

Koncepcja, która wyprzedzała epokę



Marta Kaczyńska-Zielińska

Prorotransatlantycka polityka prezydenta Lecha Kaczyńskiego była jednym z filarów jego strategicznego myślenia o bezpieczeństwie państwa. Wynikała ona z realistycznej diagnozy położenia Polski – kraju znajdującego się na styku wpływów Wschodu i Zachodu – oraz z przekonania, że trwałe zakotwiczenie w strukturach świata euroatlantyckiego stanowi jeden z warunków wzmacniania naszej suwerenności. Szczególne znaczenie miał ścisły sojusz ze Stanami Zjednoczonymi jako światowym gwarantem bezpieczeństwa i równowagi sił w Europie. Lech i Jarosław Kaczyńscy już na początku lat 90. XX w. jako jedni z pierwszych polskich polityków opowiadali się za członkostwem naszego kraju w NATO. Postrzegali rozszerzenie Sojuszu jako historyczną konieczność – powrót Polski do Zachodu nie tylko cywilizacyjnie, lecz przede wszystkim militarnie i strategicznie.

W czasie swojej tragicznie przerwanej prezydentury Lech Kaczyński dążył do dalszego zacieśnienia sojuszu Polski z USA. Jednym z najważniejszych projektów było rozmieszczenie elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej na terytorium naszego kraju. Negocjacje były trudne i spotykały się z presją zewnętrzną (głównie ze strony Rosji), jednak Polska pod sterami prezydenta Kaczyńskiego i rządu PiS konsekwentnie dążyła do ich finalizacji.

Pierwotna koncepcja amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Europie, rozwijana w latach 2006–2009 przez administrację George'a W. Busha, stanowiła element globalnego systemu obrony przeciwrakietowej Stanów Zjednoczonych i była projektowana przede wszystkim jako narzędzie neutralizacji pocisków balistycznych dalekiego zasięgu. Miała ona chronić USA i Europy przed potencjalnymi zagrożeniami ze strony państw rozwijających technologie rakietowe, w szczególności Iranu i Korei Północnej.

Centralnym elementem tego systemu miało być rozmieszczenie na terytorium Polski ok. 10 rakiet typu Ground-Based Interceptors (GBI). Ich zadaniem było przechwytywanie międzykontynentalnych pocisków balistycznych w fazie środkowej lotu, a więc w przestrzeni kosmicznej, co pozwalało neutralizować zagrożenie na bardzo wczesnym etapie. Drugim filarem planowanej architektury był radar wysokiej rozdzielczości zlokalizowany na terytorium Czech, który miał umożliwić precyzyjne śledzenie trajektorii pocisków balistycznych oraz rozróżnianie rzeczywistych głowic bojowych od potencjalnych wabików.

Logika działania systemu bazowała na wieloetapowym procesie. Najpierw amerykańskie satelity miały wykrywać start pocisku balistycznego, następnie radar w Europie przejmowałby jego śledzenie i analizował trajektorię, po czym system dowodzenia podejmowałby decyzję o ewentualnym przechwyceniu. W przypadku uznania zagrożenia za realne następowało wystrzelenie interceptora z bazy w Polsce, który w przestrzeni kosmicznej dokonywałby kinetycznego zniszczenia nadlatującej głowicy.

Po objęciu władzy przez Platformę Obywatelską rząd Donalda Tuska 4 lipca 2008 r., w Dzień Niepodległości Stanów Zjednoczonych, odrzucił amerykańską ofertę. Z zapisów spotkania prezydenta Busha z Tuskiem ujawnionych w filmie dokumentalnym „Reset" można wywnioskować, że polski premier postrzegał budowę tarczy jako działanie ryzykowne, bo sprzeczne z interesami Rosji. Dzięki interwencji Lecha Kaczyńskiego powrócono do negocjacji i umowa na budowę elementów tarczy została podpisania 20 sierpnia 2008 r.

Administracja Baracka Obamy ogłosiła jednak reset w stosunkach z Rosją i zmieniła koncepcję systemu, co oznaczało odejście od pierwotnej wersji oraz zastąpienie jej systemem ukierunkowanym głównie na zagrożenia krótszego i średniego zasięgu.

Wobec trwającej obecnie wojny na Bliskim Wschodzie i potencjalnej eskalacji tego konfliktu trzeba zauważyć, że system w formie negocjowanej przez prezydentów Busha i Kaczyńskiego dawałby dziś znacznie większy potencjał neutralizacji zagrożeń strategicznych niż późniejsza wersja, która koncentruje się raczej na rakietach krótszego i średniego zasięgu.

REKLAMA



33/0326/F

eprasa.pl 66e954e427



Walizka Jacka Małkowskiego

pisarza, trenera biznesu, cywilizacjonisty, żeglarza

Najważniejszym momentem w moim życiu było nawrócenie się w wieku 24 lat pod wpływem mojej żony. To ukształtowało wszystkie rzeczy, które później robiłem– czy razem z nią, czy samodzielnie. Nawrócenie wpłynęło na kształt gry „Gościniec", a także na stworzenie razem z żoną programu dla małżeństw „10 nawyków silnej rodziny". Nawet moje książki, które mają charakter przygodowy, a nie religijny, tak jak u Tolkiena, zawierają fundamentalne, podstawowe wartości. To, co się stało po nawróceniu, przenika wszystkie dziedziny mojego życia, które są dla mnie ważne, z rodziną na czele. A propos naszych wartości – fascynuje mnie odkrywanie reguł, według których powstają, rozwijają się i zanikają cywilizacje. Później przekłada się to na sposób działania naszej kultury. Od tego zależy też żywotność cywilizacji. Jeżeli przestajemy być świadomi naszej tożsamości i tego, skąd wyrastają nasze korzenie, przestajemy się do nich odwoływać. Wtedy zaczyna się coś, co prof. Koneczny nazwał „kołobłędem" – zamęt cywilizacyjny prowadzący do regresu. Moim zdaniem jesteśmy świadkami tego zjawiska – objawia się ono odchodzeniem od korzeni cywilizacji łacińskiej. Mówiłem o tym dwa lata temu na Forum Gotlandzkim EWTN.





LAPTOP

Piszę na laptopie także wtedy, gdy jeżdżę pociągiem na różne warsztaty i szkolenia. W drodze powrotnej mam czas, by wypocząć, zebrać myśli i napisać kolejne rozdziały mojej książki.

NOTES

Moje narzędzie analogowe. Zapisuję w nim wszystkie ważne pomysły, a także rysuję – mapy krain, w których dzieją się losy moich bohaterów. Szkicuję też projekty artefaktów – przedmiotów ze świata, który tworzę.



eprasa.pl 66e954e427



„GOŚCINIEC”



To scenariuszowa chrześcijańska gra, którą stworzyłem z moją rodziną. Powstała z potrzeby radości, zabawy i wspólnego przeżywania świąt Bożego Narodzenia. W Polsce okazała się przebojem, ponieważ bez żadnych promotorów i sponsorów rozeszła się w nakładzie 3 tys. egzemplarzy.

MIECZ



Bardzo ważny symbol dla każdego mężczyzny. W języku polskim mówi się „broń” – to znaczy, że służy do obrony. Ale by skutecznie umieć się bronić, powinniśmy być oswojeni z bronią.

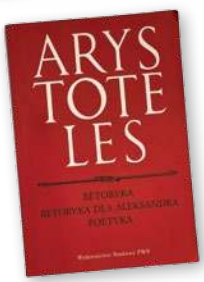
ŻEGLOWANIE



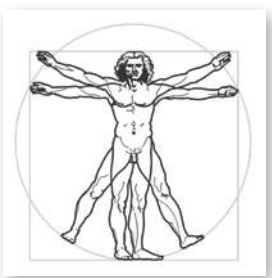


Moja pasja, którą zarażam najbliższych. Co roku zabieram rodzinę w rejsy – czasami są to męskie wyprawy z synami, są też rejsy z córkami i żonami. Wypożyczamy fajny jacht i wypływamy na wielkie mazurskie jeziora. Wiatr, słońce, bryzgi wody – polecam to wszystkim.

ARYSTOTELES



Fundamenty naszej cywilizacji to myśl grecka, prawo rzymskie i etyka chrześcijańska. Arystoteles jest tym, na którym wielu się później wzorowało, poczynając od św. Tomasza z Akwinu. Jako mentor biznesu wykorzystuję jego opracowania i myśli, uczę komunikacji, w której starożytni Grecy byli prawdziwymi mistrzami, a także tego, jak bronić się przed manipulacją, przed którą Arystoteles przestrzegał.



WARSZTATY I KURSY

Jestem autorem programu budowania osobowości odpornej na stres, bazującego na odkryciach psychoimmunologii. Przez kilkanaście lat przeszkoliłem w różnych firmach mnóstwo ludzi z każdego szczebla – bo stres dotyczy każdego z nas, ale nie do końca zdajemy sobie sprawę, jak bardzo, dopóki nie jest za późno.



IKONA

Jest z nami od 15 lat. Ikona Matki Bożej Nieustającej Pomocy pozostaje dla nas ważna i zajmuje eksponowane miejsce, ponieważ stanowi symbol naszej wiary i rodziny.

„OSTATNI CIEŃ”



Moja twórcza kontynuacja myśli Tolkiena, który mnie fascynował. W największym skrócie: moja seria książek zaczyna się od tajemniczej zagłady, która nie jest wojną nuklearną czy zarazą – to zagadka czekająca na odkrycie. Zagłada zmieniła oblicze całej Ziemi. Zdecydowana większość ludzkości wyginęła, a ci, którzy przeżyli, zdegenerowali się do poziomu krwiożerczych kanibali w ciągu dwóch pokoleń. Niczym wyspy nadziei ostało się kilka enklaw, w których wciąż kultywowana jest nauka – w formie mocno zrytualizowanej. Bardzo ważnym wątkiem w mojej książce jest starcie odmiennych cywilizacji i jego konsekwencje.

TAU



Mamy trójkę dzieci, wszystkie ukończyły lub kończą szkołę podstawową św. Franciszka. Tam naturalnym elementem jest pielgrzymka do Asyżu. Tau stanowi symbol patrona szkoły, a zarazem tajemnicy związanej z Bogiem.

ZAPACH



O ile podoba mi się stałość w obrębie wartości, o tyle lubię zmienność drobnych rzeczy, np. eksperymentuję z zapachami. Czasami wybieram pobudzające, energetyczne, cytrusowe, innym razem – ciężkie i upajające.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Jacka Małkowskiego, Shutterstock (x2)

eprasa.pl 66e954e427

Wielkanoc jest wymagająca...



Za nami Wielki Post i Wielkanoc. Niestety jak co roku, gdy przeżywamy ten czas, w przestrzeni publicznej uruchamia się dobrze już nam znany mechanizm. Pojawiają się artykuły czy komentarze, które nie tyle informują, ile uderzają w Kościół i samą istotę wiary chrześcijańskiej. Trudno uznać to za przypadek – to raczej powtarzalna strategia.

W lewicowych mediach głównego nurtu publikowane są w tym czasie materiały opisujące afery, kreujące półprawdy, a nierzadko zwykłe kłamstwa o Kościele. Zestawia się je z okresem świątecznym, tak by uderzyć najmocniej – wtedy, gdy wierni przeżywają najważniejsze chwile roku liturgicznego. Celem nie jest rzetelna informacja, lecz wzbudzenie emocji i zasianie wątpliwości.

Równolegle promuje się treści podważające fundamenty chrześcijańskiej moralności. Macierzyństwo jest przedstawiane jako ciężar, małżeństwo jako przeżytek, a wierność jako naiwność. W zamian proponuje się świat bez zobowiązań i trwałych wartości.

Nieprzypadkowo dzieje się to właśnie teraz. Wielkanoc jest najważniejszym świętem chrześcijaństwa – ukazuje drogę od cierpienia do zwycięstwa życia nad śmiercią oraz prawdę o Chrystusie, który oddał życie za człowieka. W wielu miejscach świata – w Afryce, Azji czy ogarniętej konfliktami Syrii – chrześcijanie giną tylko za to, że wyznają wiarę w Chrystusa.

I właśnie dlatego ten czas jest tak zaciekle atakowany. Jeśli uda się zaszczepić zwątpienie w tym najważniejszym momencie, później znacznie łatwiej wypłukać człowieka z wartości. To próba uderzenia w sam fundament.

W przeciwieństwie do Bożego Narodzenia, przykrytego komercją i spłyconą narracją, Wielkanoc pozostaje wymagająca i nieoswojona. Przypomina, że istnieje prawda, której nie da się zakrzyczeć i unieważnić, a ofiara Chrystusa wciąż zobowiązuje.

Arkadiusz Mularczyk

Pamiętam to jak wczoraj

Z Tomaszem Kotem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Sporo czasu spędzał pan ostatnio w Szczyrku.

Tomasz Kot: Jest jeden film, ale nie mogę o tym za dużo mówić [z medialnych przecieków wiadomo, że chodzi o rolę Ediego Federera, menedżera Adama Małysza w filmie „Adam" – przyp. red.].

Kolejna rola wcieleniowa? Nie tak dawno był m.in. Boy-Żeleński w „Niebezpiecznych dżentelmenach", ostatnio... Beria w filmie „Pojedynek". A zaczęło się od Riedla...

Odpowiem tak. Nigdy nie próbowałem jakkolwiek wizualizować, co się dzieje, jak człowiek zbliża się do pięćdziesiątki, ale od jakiegoś czasu młodzi aktorzy podchodzą do mnie na planie, mówiąc: „Stary, »Skazany na bluesa« to pierwszy dorosły film, jaki w życiu oglądałem". I wtedy łapię się na tym: „Zaraz, jak to?" – bo ja to pamiętam jak wczoraj. Ale ekranowy Rysiek Riedel to był 2005 r.

Niecałą dekadę później – Zbigniew Religa w „Bogach".

Cieszę się, że mogę uprawiać ten zawód. Tak różnorodny. Na planie, z jego specyficzną hermetycznością, za każdym razem mówię sobie: „Udało się. Znowu tu jestem". Bardzo mnie ucieszyło, co powiedział Staszek Linowski [grający głównego bohatera serialu „Niebo. Rok w piekle" – przyp. red.]: „Z tym Kotem to się gra tak, jakby on tydzień temu szkołę skończył". Cały czas jestem młody duchem, sercem. No i ciałem też. Tak się czuję. A postacie świadomie wybieram różne. Gdy chodziłem po festiwalu w Gdyni, gdzie w filmie o Jerzym Kuleju zagrałem bardzo niefajnego ubeka i ludzie mówili: „Pan tak się dobrze kojarzy z prof. Kleksem, a tu nęka pan tego Kuleja", wiedziałem, że to była dobra decyzja.



eprasa.pl 66e954e427

Muzyczne hity AI



Nie ma dnia, żeby ktoś ze znajomych nie podesłał mi kolejnej piosenki zrealizowanej przez sztuczną inteligencję (AI) za pomocą poleceń mniej lub bardziej zdolnych programistów. Jeśli słyszę doskonale brzmiące, perfekcyjnie zagrane i genialnie zaśpiewane (w pięciu oktawach!) „arcydzieło", mam mieszane uczucia.

Wielki przebój – to zawsze były emocje twórców i wykonawców wyśpiewane w słowach, melodii, zagrane w porywających solówkach i oprawione w oryginalne aranżacje. Idący wprost z serca głos oddziałuje na wrażliwość słuchaczy, dostarczając im niesamowitych wzruszeń (*vide* „Tears in Haeven" Erica Claptona).

Dziś największe przeboje można poddać matematycznej obróbce: sporządzić światowy katalog najbardziej przyswajalnych treści, rytmów, melodii, solówek i brzmień w dowolnych stylach muzycznych. I produkować na masową skalę idealne hity doskonałej jakości technicznej, brzmiące „jak wszystko". W „Małym Księciu" Antoine'a de Saint-Exupéry'ego jedna róża ginie w ogrodzie tysiąca takich samych róż...

Matematycznie spreparowane, „fizjologiczne" wręcz nagrania AI hipnotyzują naszą podświadomość. Temu nowemu, kolejnemu „opium dla mas" nie brakuje niczego oprócz szczerości i wrażliwości żywych twórców. Fałszujący Bob Dylan czy Joe Cocker działają na mnie bardziej niż idealny plagiato-wytwór sztucznej inteligencji. Rola intuicji, emocji, talentu, romantycznego „czucia i wiary" w procesie twórczym oraz odtwórczym pozostaje nie do podrobienia. Na konkursach chopinowskich interpretacja jest ważniejsza niż techniczna perfekcja wykonania.

PS Zdolny i oryginalny twórca może się posługiwać AI w procesie produkcyjnym swoich utworów, traktując je jako narzędzie do wyrażania swych uczuć. AI nigdy tego nie zrozumie, bo obce są jej ludzkie doznania: radość, miłość, ból, rozpacz, zazdrość, euforia, zachwyt czy lęk. Sztucznej inteligencji głos nie ugrzęźnie w gardle ze wzruszenia. Chyba że ktoś ją tak perfekcyjnie zaprogramuje.

Lech Makowiecki

Fot. Paweł Wodzyński/East News

ZDJĘCIE TYGODNIA Ruchome dinozaury zawitają do Warszawy



Fot. SERGEI GAPON/AFP/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, ANDRZEJ WIKTOR, ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, X.COM, SHUTTERSTOCK/GIFT-STORE, DESIGN POINT59

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 66e954e427



Donald Tusk nie naciska na Monikę Wielichowską (z lewej), by zabrała głos w sprawie pedofilii w Kłodzku

Afera pedofilska.

Czy to koniec prawej ręki Tuska?

Trzeba by przyjąć wiele nieprawdopodobnych, a przynajmniej bardzo ryzykownych założeń, by uznać, że Monika Wielichowska, obecnie wicemarszałek Sejmu, a od lat prawa ręka Donalda Tuska, nic nie wiedziała – choćby z plotek – o swojej partyjnej koleżance z regionu Kamili L. Pytanie dotyczy tego, co się działo w domu owej koleżanki. Nawet jeśli Kamila L. zarzeka się, że ona też nic nie wiedziała. W takim razie sąd w Świdnicy skazał ją na 6,5 roku więzienia za niewinność, a prokurator domagał się 18 lat więzienia. Pytanie: za co?

Można chyba mówić o zmowie milczenia wynikającej z politycznych układów najpierw Platformy Obywatelskiej, a potem w Koalicji Obywatelskiej. A w tle sprawy pozostaje jedna z najohydniejszych zbrodni, bo dotyczy pedofilii połączonej z zoofilią. Jest bardzo mało prawdopodobne, że w niewielkiej lokalnej społeczności (24 tys. mieszkańców, ok. 18 tys. dorosłych) to, co działo się aż przez 11 lat (od 2011 do 2022 r.), nie dotarło do bardzo ważnej osoby w tej społeczności, jaką była Wielichowska.

W styczniu 2023 r. Przemysław L., mąż Kamili, na wniosek z Polski został aresztowany w Szwecji, a we wrześniu 2023 r. tamtejszy sąd zgodził się na jego ekstradycję do kraju. Zaraz po powrocie trafił do aresztu śledczego. Czy udawanie, że nikt o tym nie wiedział, jest elementem zmowy milczenia? Czy częścią tej zmowy nie jest też to, że akt oskarżenia wobec Przemysława L. trafił do sądu dopiero w maju 2025 r.? Oraz to, że zarzuty wobec Kamili L. (o znęcanie się nad zwierzętami i zoofilię) zostały postawione przez prokuraturę w lutym 2024 r., kiedy jej mąż od kilku miesięcy był już w areszcie i miał zarzuty związane z pedofilią?

Choć coraz więcej osób szeptało o ewentualnym udziale kobiety w tym procederze, lokalne władze Koalicji Obywatelskiej, które wcześniej nie robiły niczego bez wiedzy Moniki Wielichowskiej, powierzyły jej funkcję pełnomocnika komitetu wyborczego kandydatki na burmistrza Kłodzka. Przecież taką funkcję może pełnić tylko osoba, która cieszy się pełnym zaufaniem w partii, a tym bardziej w jej lokalnych strukturach, gdzie wszyscy wszystko wiedzą.

Pytań jest wiele. Co Monika Wielichowska wie o aferze pedofilskiej, co przemilcza, co z tym zrobi, co się z nią stanie? I najważniejsze: jak zachowa się lider Koalicji Obywatelskiej?



STANISŁAW JANECKI

Ostatecznie kandydatka KO nie wystartowała w wyborach samorządowych 7 kwietnia 2024 r., bo nie zgromadziła dostatecznej liczby podpisów pod listą poparcia. Na fotografii zrobionej w trakcie kampanii po jednej stronie kandydatki stoi (trzymając ją pod rękę) Kamila L., a po drugiej Monika Wielichowska. Kobiety robiły sobie słitfocie już podczas kampanii samorządowej w 2018 r., gdy Kamila L. kandydowała do Rady Powiatu Kłodzkiego – obie szeroko się uśmiechały i trzymały kciuki uniesione w górę. Na licznych zdjęciach widać, że nie były to obce sobie osoby.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Im więcej jest pytań do Moniki Wielichowskiej dotyczących jej znajomości i ewentualnej wiedzy o strasznych rzeczach, które działy się m.in. w domu jej koleżanki, tym bardziej ta ważna polityk KO milczy. Podpowiadano jej ponoć, żeby zgodziła się na wywiad w jednej z zaprzyjaźnionych telewizji, gdzie mogłaby nawet dostać wcześniej przygotowane dla niej pytania, ale na to też miało nie być jej zgody. Przecież w takiej telewizji nikt by nie pytał, czy Monika Wielichowska odwiedzała dom partyjnej koleżanki, gdzie było pełno ukrytych kamer. Nie pytano by, czy może kiedykolwiek była tam, gdy w domu przebywał Przemysław L. To ważne, bo przecież byłaby narażona na wielkie niebezpieczeństwo: na podanie jej środków odcinających świadomość, a wszystko, co działoby się później, mogłoby zostać sfilmowane. To trzeba by wyjaśnić „do spodu", bo chodziłoby przecież także o bezpieczeństwo państwa, a Monika Wielichowska mogła być nieświadomą niczego ofiarą, co byłoby po prostu straszne.

Dlatego dla dobra i w interesie obecnej wicemarszałek Sejmu oraz w interesie państwa polskiego trzeba rozwiać wszelkie wątpliwości, podejrzenia i plotki. Wicemarszałek Sejmu jest też wzywana przez różne znane na Dolnym Śląsku (i nie tylko tam) osoby, by wytłumaczyła się ze swojej znajomości i otaczania Kamili L. specjalną opieką, ale konsekwentnie unika zabierania głosu w tej sprawie. A władze KO, w tym przewodniczący Donald Tusk, nie naciskają na nią, by przedstawiła jakiekolwiek wyjaśnienia.

Monika Wielichowska ma biuro poselskie w Kłodzku i stanowi ono centrum jej działalności w regionie. W przeszłości była radną powiatu kłodzkiego oraz członkiem zarządu powiatu, angażowała się w sprawy lokalne. Pełniła funkcję starosty kłodzkiego w latach 2006–2007. Zanim została starostą, od 2002 r. zasiadała w Radzie Powiatu Kłodzkiego. Przed objęciem najwyższego stanowiska w powiecie pracowała w Urzędzie Miejskim w Nowej Rudzie, gdzie jako inspektor ds. polityki informacyjnej i redaktor naczelna lokalnego biuletynu odpowiadała za komunikację z mieszkańcami.

Jako posłanka, a obecnie wicemarszałek Sejmu Monika Wielichowska nadal współpracuje z władzami powiatu. Regularnie interweniuje w sprawach kluczowych dla regionu, takich jak finansowanie budowy dróg lokalnych, wsparcie dla placówek oświatowych (np. Zespołu Szkół Specjalnych w Kłodzku) oraz pomoc w odbudowie infrastruktury po powodziach. Choć Wielichowska mieszka w Nowej Rudzie, Kłodzko i powiat kłodzki zna jak własną kieszeń. Trudno więc sobie wyobrazić, że nie zna lokalnych tajemnic, w tym dotyczących jej partyjnej koleżanki Kamili L.

Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

eprasa.pl 66e954e427

WSZYSCY PRZYJACIELE KAMILI L.

W wyborach samorządowych w 2018 r. Kamila L. startowała do Rady Powiatu Kłodzkiego z ramienia Koalicyjnego Komitetu Wyborczego Platforma Nowoczesna Koalicja Obywatelska (okręg nr 1). To wtedy poparł ją Tomasz Siemoniak: „Zwracam uwagę na kandydatów – Beatę Moskal-Słaniewską na prezydenta Świdnicy, Sławka Nitrasa na prezydenta Szczecina, Karolina Kępkę do rady miasta Łodzi, Kamilę L. […] do rady powiatu kłodzkiego. Znam i wspieram!". Kamila L. kandydowała w tamtych wyborach jako aktywna działaczka PO w Kłodzku, współpracująca z lokalnymi strukturami partii. Przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. lokalne media donosiły, że Kamila L. chciała się ubiegać o miejsce na listach KO do Sejmu, jednak jej kandydatura nie została zarejestrowana. Oficjalnym powodem był brak wystarczającej liczby zweryfikowanych podpisów poparcia (zakwestionowano ponad 100 podpisów). Jest oczywiste, że nie mogłaby się ubiegać o miejsce na liście do Sejmu bez wiedzy i zgody Moniki Wielichowskiej.

Kamila L. była naprawdę dobrze znaną lokalną działaczką Koalicji Obywatelskiej. I nie tylko dlatego, że fotografowała się z ważnymi politykami tego ugrupowania, poza wicemarszałek Sejmu Moniką Wielichowską np. z byłym marszałkiem Sejmu Grzegorzem Schetyną, byłą prezydent Warszawy Hanną Gronkiewicz-Waltz, posłem i koordynatorem tajnych służb Tomaszem Siemoniakiem. A o tym, że w Kłodzku działa małżeństwo zboczeńców, mieszkańcy szeptali od dawna. Sprawa stała się oczywista, gdy mężczyzna usłyszał zarzuty po tym, jak został poddany ekstradycji ze Szwecji, gdzie się ukrywał.

Koalicja Obywatelska odcięła się od byłej koleżanki w specjalnym oświadczeniu: „Koło Kłodzkie Koalicji Obywatelskiej jednoznacznie potępia wszelkie działania niezgodne z prawem oraz standardami etycznymi. […] Nie akceptujemy jakichkolwiek zachowań noszących znamiona korupcji, braku szacunku i empatii, niewłaściwych zachowań naruszających normy moralne, stosowania hejtu i braku kultury politycznej. Jednoznacznie potępiamy wszelkie zachowania o charakterze przestępczym. Sprawy opisywane przez media nie mają nic wspólnego z wartościami oraz działalnością naszej formacji. Jednoznacznie potępiamy wszystkie nieetyczne zachowania przytaczane w przedmiotowych sprawach i liczymy na odpowiednie ostateczne wyroki wymiaru sprawiedliwości. Zaznaczamy, że nie bierzemy odpowiedzialności za decyzje i działania prywatne byłych działaczy". W komunikacie znalazły się nawet groźby: „Kojarzenie i sugestie, iż jakiekolwiek przestępcze działania były bądź są tolerowane przez Koło Kłodzkie Koalicji Obywatelskiej są pomówieniami nieznajdującymi potwierdzenia w faktach. Informujemy, że w obliczu powyższych informacji, Koalicja Obywatelska nie będzie więcej komentować działań osób prywatnych, jakimi są jej byli członkowie". Pod dokumentem podpisała się Agnieszka Jamiołkowska, przewodnicząca kłodzkiego koła KO. Tyle że w mediach społecznościowych oraz materiałach dokumentujących działalność partii w regionie zachowały się liczne zdjęcia i nagrania, na których Monika Wielichowska występuje w towarzystwie Kamili L. podczas wieców, spotkań wyborczych oraz akcji społecznych (np. organizowanych przez KOD).

> Na fotografii zrobionej w trakcie kampanii samorządowej z 2024 r. po jednej stronie kandydatki KO stoi (trzymając ją pod rękę) Kamila L., a po drugiej Monika Wielichowska. Kobiety robiły sobie słitfocie już podczas kampanii samorządowej w 2018 r., gdy Kamila L. kandydowała do Rady Powiatu Kłodzkiego – obie szeroko się uśmiechały i trzymały kciuki uniesione w górę. Na licznych zdjęciach widać, że nie były to obce sobie osoby

Wiele osób w Kłodzku i powiecie kłodzkim określa Kamilę L. jako bliską współpracowniczkę lub „koleżankę" Moniki Wielichowskiej, wskazując na ich częstą obecność w tych samych gremiach partyjnych na ziemi kłodzkiej. „Niestety to prawda. Szokująca, obrzydliwa, ale – prawda! I to wszystko pod okiem wicemarszałek Sejmu RP [Moniki Wielichowskiej – przyp. red.] popieranej przez Donalda Tuska i Grzegorza Schetynę" – podsumował Jacek Protasiewicz, były wicewojewoda dolnośląski, były szef regionalnych władz Platformy Obywatelskiej.

WSZYSCY SĄ OBRZYDLIWI

Monika Wielichowska z domu Baran przez ponad 20 lat kariery w Platformie Obywatelskiej, a potem Koalicji Obywatelskiej była uważana za „naganiacza" oraz myśliwego, i to bezwzględnego. Ale gdy w marcu 2026 r. wyszło na jaw, że była koleżanką i protektorką Kamili L., jej kariera może szybko dobiec końca, choć zaciekle broni jej sam Donald Tusk, czego dowodem jest krążące w sieci nagranie, jak opowiada o tym lokalnym władzom KO. Gdy pod koniec marca 2026 r. Wielichowska wskutek swego rodzaju zmowy została wiceszefową dolnośląskich struktur partii, nie wytrzymał wspomniany Jacek Protasiewicz: „Też mi kara... jacy oni wszyscy są obrzydliwi. I pozbawieni elementarnego poczucia przyzwoitości. O smaku już nie wspominam, bo śp. Zbigniew Herbert by się w grobie musiał obrócić. Obywatelska KO to tak naprawdę Koalicja Obrzydliwców. Wiem, co mówię, bo ich znam. Herszta też".

eprasa.pl 66e954e427

Na początku marca 2026 r. Michał Jaros, dotychczasowy przewodniczący Koalicji Obywatelskiej na Dolnym Śląsku, wygrał wybory, pokonując wicemarszałek Sejmu Monikę Wielichowską, choć tylko sześcioma głosami. Wielichowska złożyła protest, sugerując jakiś spisek przeciwko niej. Statutowe ciała jeszcze go nie rozpatrzyły, a już dogadała się, że zostanie uwzględniona w podziale władzy. W ten sposób weszła do zarządu struktur Koalicji Obywatelskiej na Dolnym Śląsku, czyli wróciła na stare miejsce. „Tak jak przewidziałem: Wielichowska zastępczynią Jarosa, na »ołtarzu kłodzkim« zostanie za to złożona ofiara z Awiżenia [Macieja, byłego wojewody dolnośląskiego – przyp. red.], którego nie zaproponowano do zarządu" – napisał na platformie X dziennikarz Marcin Torz, który nagłośnił aferę pedofilską w Kłodzku.

Monika Wielichowska jest jedną z najbardziej zaufanych osób w najbliższym otoczeniu premiera Donalda Tuska, co potwierdzają odgrywane przez nią role w partii i parlamencie. W mediach oraz w strukturach partyjnych często określa się ją mianem „prawej ręki" przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Donald Tusk powierzył Wielichowskiej funkcję szefowej kampanii wyborczej w 2023 r. oraz rolę głównej organizatorki dużych wydarzeń politycznych, takich jak marsz 4 czerwca czy marsz miliona serc. Była odpowiedzialna za logistykę i organizację spotkań Tuska z wyborcami w całej Polsce, co wymagało ścisłej współpracy i zaufania premiera. Z jego rekomendacji Wielichowska objęła funkcję wicemarszałka Sejmu RP, co było postrzegane jako nagroda za prowadzenie kampanii i dowód zaufania. W marcu 2026 r. Tusk otwarcie wspierał jej kandydaturę w wyborach na szefa dolnośląskich struktur PO, choć ostatecznie poniosła tam porażkę, co odczytywano jako cios w kandydata „namaszczonego" przez premiera.

Wielichowska publicznie podkreśla swój podziw dla szefa rządu, a ten regularnie stawia ją za wzór pracowitości i skuteczności organizacyjnej. Decyzją Tuska pełni funkcję zastępcy sekretarza generalnego partii. Z Platformą Obywatelską związała się już w 2002 r.

UDERZENIE WŁADZY DO GŁOWY

Na Dolnym Śląsku szeroko rozpowszechniona jest opinia, że władza uderzyła Monice Wielichowskiej do głowy.



Monika Wielichowska i Kamila L. podczas kampanii samorządowej w 2018 r.

Po powodzi w 2024 r. jej przeciwnicy przypomnieli, że w 2019 r. wspierała protesty mieszkańców przeciwko budowie kaskady dziewięciu suchych zbiorników retencyjnych w Kotlinie Kłodzkiej. Jej działania doprowadziły do ograniczenia inwestycji, co pogorszyło skutki powodzi. Wielichowska dosłownie „rozpętała piekło" w regionie, a na płotach w wielu wsiach wisiały banery sprzeciwiające się inwestycjom hydrologicznym, co doprowadziło do wycofania się rządu z części planów. Podczas powodzi w 2024 r. Wielichowska odpierała zarzuty, twierdząc, że atakowanie jej za „rzekomą decyzję o niebudowaniu zbiorników" jest hejtem, a ona sama jedynie reprezentowała głos mieszkańców w procesie konsultacji. W wyniku silnego oporu społecznego organizowanego przez Wielichowską, Wody Polskie ostatecznie ograniczyły projekt do budowy czterech zbiorników (Roztoki, Boboszów, Krosnowice, Szalejów), rezygnując z pozostałych pięciu.

W lutym 2025 r. lokalne media donosiły o posadzie dla jej męża Rafała – doradcy przy budowie szpitala w Nysie (formalnie reprezentuje on starostę z KO). Sprawę tę podnoszono jako przykład kolesiostwa, bo starosta Daniel Palimąka powołał do zespołu ds. realizacji budowy nowego szpitala w Nysie męża swojej partyjnej koleżanki. Rafał Wielichowski był jedynym członkiem zespołu, którego kwalifikacje nie zostały podane. Członek zarządu powiatu Maciej Krzysik napisał tylko, że „określenie kwalifikacji zostało sformułowane oraz przytoczone na podstawie dokonanej analizy oraz oceny dotychczasowego doświadczenia zawodowego oraz wykształcenia pana Rafała Wielichowskiego". Występując w Sejmie, Monika Wielichowska stwierdziła, że jej mąż pełni funkcję w zespole społecznie, bez wynagrodzenia.

W lipcu 2024 r. Rafał Wielichowski został prezesem zarządu Agencji Rozwoju Regionalnego AGROREG S.A. w Nowej Rudzie. Przekonywał, iż żona Monika nic o tym nie wiedziała. W marcu 2015 r. dziennik „Fakt" podał, że „Rafał Wielichowski, mąż posłanki PO Moniki Wielichowskiej, znalazł posadę u Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A., a wcześniej m.in. w Spółce Celowej Wałbrzyskie Centrum Turystyczno-Sportowe. Był też likwidatorem Agencji Mienia Reliqum".

W partii mówi się o Wielichowskiej, że jest bezwzględna i uparta. Z tego powodu Donald Tusk ją ceni i powierza jej specjalne zadania. W marcu 2026 r. nazbierało się jednak tyle negatywnych faktów i ocen „prawej ręki" premiera, że ten może się ugiąć i zdjąć swój parasol ochronny. Choć może też obronić Wielichowską. Straty poniesione w wyniku takiej obrony mogą być jednak duże. Tym bardziej że sama Monika Wielichowska swoim milczeniem tylko podsyca podejrzenia, że w Kłodzku Koalicja Obywatelska absolutnie nie zdała egzaminu w sprawie wywołującej społeczny gniew, oburzenie i obrzydzenie. Podobnie jak nie zdała egzaminu najbardziej wpływowa polityk w regionie, czyli właśnie Monika Wielichowska.

Fot. Internet

eprasa.pl 66e954e427

Doktryna Tuska

„Doktryna Neumanna" to tak naprawdę „doktryna Tuska". Lider Koalicji Obywatelskiej zapewnia całkowitą bezkarność członkom swojej partii. W tej kadencji żadnemu z nich nie spadł włos z głowy. Reakcja Donalda Tuska na aferę pedofilsko-zoofilską w kłodzkiej KO jest tego kolejnym potwierdzeniem



PIOTR GURSZTYN

Mija już siedem lat od ujawnienia niesławnej rozmowy pomorskich samorządowców Platformy Obywatelskiej, która dała początek pojęciu „doktryny Neumanna". „Są goście, którzy mogą trafić do sądu z aktem oskarżenia, a sądy dzisiaj – ja ci gwarantuję – nie rozstrzygną żadnej sprawy przed wyborami. Żadnej. Przez rok nie zrobią ku...wa nic. Będą prowadzić sprawy – i ch...j" – mówił ważny wówczas polityk PO Sławomir Neumann. Rozmowa była jednym wielkim skandalem, ale to, co wtedy uznawano za patologię, dzisiaj stało się normą. A to za sprawą świadomej polityki Donalda Tuska. Wymiar sprawiedliwości ma być narzędziem represjonowania przeciwników i jednocześnie gwarantem bezkarności ludzi władzy. Doktryna Neumanna powinna być przemianowana na doktrynę Tuska.

MILCZENIE W SPRAWIE AFERY PEDOFILSKIEJ

Lista dowodów na potwierdzenie tej tezy wydłuża się wraz z trwaniem obecnych rządów Tuska. Najnowszym przykładem jest jego postępowanie w sprawie afery pedofilsko-zoofilskiej na Dolnym Śląsku. Sam z siebie nie zabrał głosu w sprawie, która dotarła do każdego Polaka (takie są bowiem dane badań ruchu w internecie). Milczał długo, tak jak cała jego partia. Odpowiedział dopiero na pytania mediów. Zresztą bardzo oburzony, ale nie bulwersującymi doniesieniami z Kłodzka, lecz „skandalem", jakim ma być polityczne wykorzystanie pedofilii.

„W sprawie kłodzkiej przestępca winny ohydnej zbrodni pedofilii i gwałtów dostał 25 lat więzienia. Nikt niczego nie krył. Jego żona, która prawdopodobnie z nim współpracowała, chociaż sprawa jest przed apelacją, na razie dostała 6 lat wyroku więzienia" – mówił Tusk.

Rzecz w tym, że to unik. Problemem nie było to, że jedna z członkiń licznej partii, jaką jest PO, dopuściła się odrażających czynów. Może się to zdarzyć w każdej wielkiej zbiorowości. Ale Tusk nie ma dobrej odpowiedzi na następujące pytania: dlaczego Kamila L. zajmowała ważne miejsce w lokalnych strukturach jeszcze prawie rok od chwili postawienia jej zarzutów? Jest też pytanie o to, dlaczego wyraźnego poparcia wyborczego udzielił jej Tomasz Siemoniak. Obecny szef specsłużb bagatelizuje sprawę, mówiąc, że w wyborach samorządowych wspierał kilkuset kandydatów. Otóż wygląda na to, że skłamał, bo znane są ulotki wyborcze tego typu z kilkoma osobami, a nie całą rzeszą kandydatów. Co więcej – tekst na ulotce głosił: „Kamilę L... znam i wspieram!".

Jeszcze większym kłopotem są pytania o Monikę Wielichowską, w przypadku której bardzo wiele wskazuje, że blisko znała się z małżeństwem zboczeńców. I trudno uwierzyć, aby nie wiedziała o niektórych „ekscentrycznych" zachowaniach swojej bliskiej znajomej, która publicznie chwaliła się m.in. wizytami w klubie swingersów. Wielichowska nie jest jakąś lokalną posłanką, przypadkowo zaplątaną w wielką politykę. Od wyborów w 2023 r. media piszą o niej: „prawa ręka" Tuska. Niedawno premier wspierał ją w wyborach na szefową dolnośląskiej KO.

Fot. Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 66e954e427



Donald Tusk mógłby się wybawić od tego kłopotu prostym, ale brutalnym ruchem – wyrzuceniem z sań Siemoniaka i Wielichowskiej. Przy jednoczesnym wygłoszeniu podniosłego, choć może kabotyńskiego manifestu o standardach, politycznej odpowiedzialności, bezwzględnym wypalaniu zła itp. Wiadomo z dawnych lat, że lider PO nie miał najmniejszych skrupułów, aby pozbywać się ludzi, których uznawał za obciążenie. Nie liczyła się przy tym dla niego żadna wieloletnia zażyłość.

PARTYJNY PARASOL OCHRONNY

W tej kadencji Tusk nikogo tak nie ukarał. Nie jest to wynik tego, że nagle zmienił się jego charakter i zaczął odczuwać lojalność wobec członków partii. Z wielu opisów medialnych wiadomo, że odizolował się od partii jeszcze bardziej niż w latach 2007–2014. Rządzi jednoosobowo i prawie z nikim się nie spotyka. Ale obecna praktyka jest taka, jak ta opisana w innych słowach Neumanna: „Jak będziesz w Platformie, to będę cię bronił, ku...wa", jak niepodległości. Jak wyjdziesz z Platformy, to masz problem".

I to działa! W sprawie korupcyjnej, w której miał być oskarżony Tomasz Grodzki jedyną skazaną osobą jest dziennikarz Tomasz Duklanowski – za „pomówienie", czyli informowanie opinii publicznej, że były marszałek Senatu jest oskarżany o branie łapówek (na podstawie zeznań co najmniej kilkudziesięciu świadków, którzy bezpośrednio mieli wręczać mu koperty z pieniędzmi). Za rządów PiS Grodzki nie chciał się zrzec immunitetu. Po zmianie władzy prokuratura umorzyła śledztwo w jego sprawie, choć inni lekarze z tego samego szpitala nadal są oskarżeni o łapownictwo.

Niemal identyczna sytuacja jest ze Sławomirem Nowakiem. Sąd rejonowy umorzył postępowanie przed rozpoczęciem procesu. Ścigany jest za to Jan Drelewski, prokurator, który prowadził sprawę Nowaka.

Nie inaczej wyglądają sprawy Romana Giertycha. Prokuratura umorzyła jego wątek w tzw. aferze Polnordu. Ścigani nadal są inni, w tym niejaki „Foka", zaufany współpracownik Giertycha. Ale mecenas rodziny Tusków formalnie został uznany za niewinnego i nawet dostał hojne zadośćuczynienie finansowe za zatrzymanie przez CBA. Jedyną osobą, która może pójść do więzienia w związku z tą sprawą, jest 71-letni Adam Borowski, zasłużony działacz opozycji demokratycznej, którego winą są słowa o tym, że Giertych współpracował z przestępcami i dawał im tarczę prawną. Pikanterii tutaj dodaje fakt, że urażony Giertych jako osoba publiczna sam jest znany z brutalnego języka i łatwości w rzucaniu oskarżeń.

Jesienią ub.r. zapadł nieprawomocny wyrok skazujący senatora Krzysztofa Kwiatkowskiego za m.in. ustawianie konkursów w NIK. Ale żadna represja nie spotkała go ze strony jego partii. Formalnie sam zawiesił swoje członkostwo, ale nie został wyrzucony z KO ani przez nikogo potępiony. Bryluje w mediach, jest przewodniczącym jednej z komisji senackich i wiele wskazuje na to, że doczeka się przedawnienia sprawy.

Jedynym „pechowcem" jest Stanisław Gawłowski, skazany niejako z rozpędu, bo sprawa zaczęła się dawno temu. A może także dlatego, że była zbyt spektakularna, aby ją ukręcić. W każdym razie Gawłowski nadal jest senatorem, a sąd apelacyjny, do którego się odwołał, zwleka z wyznaczeniem terminu rozprawy, dzięki czemu polityk może się powoływać na to, że wyrok jest nieprawomocny.

„WAM WOLNO WIĘCEJ!"

Charakterystyczne jest też to, iż żaden parlamentarzysta koalicji w tej kadencji nie został pozbawiony immunitetu. Natomiast prawie hurtowo tracą immunitet politycy PiS. Także w sprawach dość błahych, gdzie wcześniej Sejm nie godził się na jego odebranie. To przypadek Mariusza Błaszczaka, który stracił immunitet w związku z oskarżeniem prywatnym złożonym przez gen. Tomasza Piotrowskiego. Identyczna była sprawa Katarzyny Lubnauer. Wniosek o uchylenie immunitetu w związku z oskarżeniem prywatnym złożył były wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak. Tutaj Sejm nie wyraził zgody.

Najbardziej znaczące było zachowanie Donalda Tuska w sprawie poselskiego małżeństwa Myrchów. Arkadiusz Myrcha, będący też wiceministrem sprawiedliwości, i jego żona

eprasa.pl 66e954e427

Kinga Gajewska pobierali z Kancelarii Sejmu podwójny dodatek na wynajem mieszkania w Warszawie, mimo że posiadają okazały dom w Błoniu, kilkanaście kilometrów od stolicy. Oprócz tego małżeństwo dość „specyficznie", ale za to na swoją korzyść, rozliczało tzw. kilometrówki, a za publiczne pieniądze kupowało takie przedmioty, jak ekspresy do kawy, odkurzacze itp. – oficjalnie do biur poselskich.

Oboje są mało ważnymi politykami, trudno ich uznać za wartość szczególnie dodaną dla całej partii. Ich sprawa wzburzyła opinię publiczną od lewa do prawa. A jak zareagował Tusk? Tak, że obojgu nie spadł włos z głowy. Najpierw długo milczał w ich sprawie. A potem na zamkniętym posiedzeniu klubu KO – ku zaskoczeniu większości słuchaczy – wziął Myrchów w obronę jako „kolejne ofiary PiS". To był najbardziej spektakularny sygnał ze strony lidera KO do swoich: wam wolno więcej!

To metoda inna niż w czasach „pierwszego Tuska". Lider PO przejmował się wtedy zdaniem opinii publicznej. Jest faktem, że afera hazardowa stanowiła dla niego dogodny pretekst, aby strącić z piedestału Grzegorza Schetynę. Polityka, który nie dość, że uważał się za bliskiego przyjaciela Tuska, to jeszcze za postać wszechwładną. A Tusk niczym starożytny cezar mógł czuć się zagrożony ambicjami uzurpatora. Ale to w odpowiedzi na aferę doszło do dymisji Schetyny jako wicepremiera i szefa MSWiA. Ponadto Tusk zgodził się na powołanie sejmowej komisji śledczej. Platforma ją kontrolowała, ale nie była w stanie zakneblować posłów opozycji. Z polityki całkowicie zniknął szef klubu parlamentarnego PO Zbigniew Chlebowski. Stanowisko stracił minister sportu i turystyki Mirosław Drzewiecki, o którym Małgorzata Tusk pisała w swojej książce jako o bliskim przyjacielu rodziny.

Przed aferą hazardową – całkowicie z powodów wizerunkowych – do dymisji podał się minister sprawiedliwości Zbigniew Ćwiąkalski. „Premier uznał, że moje odejście będzie lepsze dla koalicji" – mówił odwołany Ćwiąkalski. Później, w 2014 r., z powodu oburzenia wywołanego treścią nagrań z restauracji Sowa i Przyjaciele z rządu odszedł minister spraw wewnętrznych i administracji Bartłomiej Sienkiewicz. Tusk nie wyrzucił go jednak z polityki. Był mu potrzebny, jak pokazały niedawne już lata. Z powodu śledztwa w sprawie drogiego zegarka, niewpisanego do oświadczenia majątkowego, dymisję ze stanowiska ministra transportu, budownictwa i gospodarki morskiej złożył w 2013 r. Sławomir Nowak. Jednak Tusk go bronił: „Jak znam pana Nowaka od wielu, wielu lat, nigdy nie miałem prawa zwątpić ani przez sekundę w jego uczciwość" – mówił w styczniu 2014 r. Kilka miesięcy później wyszła na jaw rozmowa Nowaka z wiceministrem finansów Andrzejem Parafianowiczem. Przerażony polityk skarżył się, że skarbówka sprawdza rachunki jego żony, a wiceminister zapewniał go, że sam to zablokował.

Dlaczego dzisiaj Tusk wybrał metodę „to nie moja ręka"? Podobno uważa, że przyznawanie się do afer szkodziło jemu i jego partii, czego efektem była przegrana w 2015 r. To nie jedyna przyczyna

„TO NIE MOJA RĘKA"

Dlaczego dzisiaj Tusk wybrał metodę „to nie moja ręka"? Podobno uważa, że przyznawanie się do afer szkodziło jemu i jego partii, czego efektem była przegrana w 2015 r. To nie jedyna przyczyna. Wiadomo, że ignoruje rozwój nowych mediów. W czasach, gdy social media nie miały większego znaczenia, mógł kłamać, bo potem nikt nie był w stanie skutecznie mu tego wypomnieć. Teraz jest inaczej, czego dobitnym przykładem jest stałe wytykanie mu kłamstwa w sprawie rzekomych agenturalnych powiązań Donalda Trumpa. Ale widać, że się tym nie przejął lub nie nadąża za zmianami w sferze komunikacji masowej.

Jedynym segmentem wyborców, którym się przejmuje, jest jego żelazny elektorat. Ale akurat ci ludzie w ogóle nie przejmują się takimi zdarzeniami jak afera w Kłodzku. Potrafią sami siebie przekonać, że to nie afera, a poza tym najważniejsze jest, by nie dopuścić PiS do władzy. Cokolwiek by się działo. Doświadczenie podpowiada też jeszcze jedną rzecz – afery mijają bardzo szybko, łatwo są zakrywane przez następne emocjonujące zdarzenia. Nasza pamięć – codziennie bombardowana przez tysiące impulsów – jest tu mocno nietrwała. Tusk liczy więc na to, że afera pedofilska z Kłodzka wkrótce będzie „przeterminowana".

Może się jednak przeliczyć. Ta afera ma cechy, które wskazują, że jest inna niż wcześniejsze. Nawet w skali krótkoterminowej spowodowała już to, że całkowicie unieważniona została kwestia prezydenckiego weta w sprawie unijnego SAFE. A miała to być mocna pałka na Karola Nawrockiego. Nikt z kręgu władzy nie będzie też raczej wypominał prezydentowi weta w sprawie łańcuchów i kojców dla psów. Przynajmniej przez jakiś czas będzie to ryzykowne.

Trudniej ocenić skutki długofalowe, ale mogą być poważne. Według badania instytutu Res Futura skandal pedofilsko-zoofilski z Kłodzka wygenerował w internecie ruch porównywalny z natężeniem w czasie ostatniej kampanii prezydenckiej. Komentarze, memy, żarty – wszystkie bez wyjątku są wymierzone w Koalicję Obywatelską. Badacze Res Futura ocenili, że to największy kryzys wizerunkowy KO od czasu wyborów w 2023 r.

Nie da się też powiedzieć, że afera jest tylko lokalną sprawą. Zadbali o to... pracownicy mediów głównego nurtu. Tacy jak np. Andrzej Stankiewicz przerywający program, gdy tylko pojawił się ten temat. Opinia publiczna dostała liczne sygnały, że ktoś bardzo chce ukryć to przed nią. Czyli to nie takie lokalne, skoro tak bardzo jest cenzurowane!

eprasa.pl 66e954e427

Podejrzenia o nielegalne finansowanie kampanii wyborczej w 2023 r., wspierana przez biznes fundacja budująca zaplecze polityczne ministra i finansowy montaż z udziałem Romana Giertycha. Dziennikarze telewizji wPolsce24 i tygodnika „Sieci" odkrywają tajemnice jednej z najbardziej wpływowych polskich rodzin



Anne Applebaum i Radosław Sikorski przed swoim dworkiem w Chobielinie

Ciemna kasa Sikorskich



STANISŁAW PYRZANOWSKI



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Jest 2017 r. Ówczesny wicepremier Mateusz Morawiecki występuje na konferencji poświęconej odpowiedzialności przedsiębiorców za Polskę w Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. „Niech Matka Boża Nieustającej Pomocy czuwa nad nami wszystkimi" – puentuje swoje przemówienie Morawiecki.

„Jak pieniądze się kończą, to jak zwykle do Żyda" – komentuje na Twitterze Radosław Sikorski, który spędził poprzednią godzinę, wyśmiewając imprezę mającą być w jego oczach dowodem na kompletny brak zrozumienia prawideł rynkowych przez prawicę.

PO KASĘ DO ARABA

Chamstwo chamstwem, ale trzeba przyznać, że prawidła rynku – zwłaszcza jeśli chodzi o finanse osobiste – Sikorski rozumie doskonale. Tyle że kiedy on potrzebował pieniędzy, nie poszedł „do Żyda", tylko do Araba.

Skandal z pieniędzmi od szejków wybuchł w lutym 2023 r. Europa żyła

Fot. Tytus Żmijewski/PAP

eprasa.pl 66e954e427



Alexander Sikorski

wówczas aferą korupcyjną złapanej na braniu łapówek od Kataru wiceszefowej Parlamentu Europejskiego Evy Kailii. Dziennikarze tropili ślady arabskich pieniędzy u innych europarlamentarzystów. Wytropili u Sikorskiego.

„Światła diabelskiego młyna odbijają się w basenie. W oddali znajduje się plaża nad Zatoką, dostępna wyłącznie dla gości Caesars Palace w Dubaju […]. Apartamenty kosztują tu zwykle 5 tys. euro za noc. Jednak międzynarodowi politycy, którzy w listopadzie 2021 r. uczestniczą w konferencji Sir Bani Yas, są przez kilka dni goszczeni całkowicie za darmo" – pisała holenderska „NRC Handelsblad".

„Jednym z nich jest eurodeputowany Radosław Sikorski, chadek. Ten wpływowy rzecznik ds. zagranicznych i były minister spraw zagranicznych Polski mniej więcej dwa razy w roku podróżuje do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie korzysta z bezpłatnych pobytów w luksusowych resortach. […] Sikorski otrzymuje także wynagrodzenie od gospodarzy. Oprócz pensji europosła […] dostaje rocznie dodatkowo 100 tys. dol. za doradzanie przy organizacji konferencji" – opisywali naszego bohatera Holendrzy.

Szybko się okazało, że Sikorski jest zaangażowany w konferencję Sir Bani Yas już od 2017 r. Pieniądze (w sumie ok. 2 mln zł) z tej i innych „doradczych" fuch trafiały na konto jego jednoosobowej działalności gospodarczej o nazwie Sikorski Global. Założył ją w 2015 r., krótko po tym, jak w konsekwencji afery taśmowej został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska marszałka Sejmu. Zachodnie media zarzucały Sikorskiemu, że nie zawsze zgłaszał wyjazdy do ZEA (twierdząc, że nie były związane z mandatem europosła), a jego głosowania często są korzystne dla Emiratów i Arabii Saudyjskiej (np. sprzeciw wobec embarga na broń, łagodzenie krytyki autorytarnych bądź co bądź reżimów rządzących państwami Zatoki).

Pan na Chobielinie nie miał sobie nic do zarzucenia. Łączenie działalności gospodarczej z mandatem europosła? Pytał służb administracyjnych Parlamentu Europejskiego i miał usłyszeć, że nie widzą przeciwskazań. Rzekomy lobbing na rzecz ZEA? Głosował zgodnie z zaleceniami Europejskiej Partii Ludowej, do której należy. Poza tym ludzie nie rozumieją, czym w ogóle jest lobbing, bo chodzi przecież o wpływ na decyzje czy regulacje, a konferencja Sir Bani Yas to „tylko forum dyskusji". Sikorski zapewniał też, że cały dochód z prowadzonej przez niego działalności gospodarczej pod nazwą Sikorski Global jest opodatkowany w Polsce. Patriotycznie.

> Zagraniczne pieniądze od fundacji, z którą była związana Anne Applebaum, pozwoliły wypromować tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. Aleksandrę Wiśniewską. Motorem napędowym kampanii łodzianki był Alexander Sikorski, syn Anne Applebaum i Radosława Sikorskiego

CZAS WALKI

Nie przesądzając, czym faktycznie była arabska przygoda Sikorskiego, należy stwierdzić, że dowiodła ona jego sporej biegłości w poruszaniu się na styku wielkich pieniędzy i polityki. Umiejętności te – jak się wydaje – posiedli też inni członkowie jego rodziny.

Dowody znajdujemy w wydarzeniach z 2023 r. Był to czas wielkiej próby dla liberalno-lewicowej międzynarodówki. Czas walki o wyrzucenie na margines historii środkowoeuropejskich populistów spod znaku PiS, których rządy trwały już osiem lat, stanowiąc wzór dla rosnących w Europie naśladowców.

Kampania przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. była czymś, czego polska polityka wcześniej nie widziała. Zmobilizowano ogromne środki, z zagranicy szerokim strumieniem płynęły pieniądze na rozmaite „akcje profrekwencyjne" i „społeczne", będące w istocie formą wsparcia dla ówczesnej opozycji i narzędziem zohydzania rządzących.

Jedną z organizacji pozarządowych, która bardzo chciała dołożyć swoją cegiełkę do dzieła zduszenia antydemokratycznego populizmu w Polsce, była założona w Chicago i prowadzona przez Węgra Dávida Korányiego fundacja Action for Democracy. Korányi, były współpracownik socjalistycznego premiera Gordona Bajnaja, jest postacią dobrze znaną na Węgrzech. Rząd Viktora Orbána i media powiązane z Fideszem twierdzą, że w 2022 r. jego Action for Democracy przekazała ok. 3 mld forintów na węgierską opozycję, a pieniądze te miały pochodzić pośrednio ze słynnej Agencji Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID).

Korányi zaprzeczał, że dostał kasę od administracji Bidena. Powtarzał, że chodzi tylko o obronę demokracji, a jego działania są w pełni transparentne i zgodne z prawem.

Fot. aleksandrakwisniewska.instagram.com

eprasa.pl 66e954e427

Węgierski manewr z 2022 r. powtórzył rok później w Polsce. W gorącym przedwyborczym czasie granty z jego fundacji poszły m.in. do walczących z PiS Komitetu Obrony Demokracji, Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, „Krytyki Politycznej", SEXEDPL supermodelki Anji Rubik czy Akcji Demokracja – tej samej, której później zarzucono prowadzenie akcji finansowanych z zagranicy, uderzających w ubiegających się o prezydenturę Karola Nawrockiego i Sławomira Mentzena.

„ODWAŻYSZ SIĘ?"

Podczas gdy Korányi szykował projekty z polskimi partnerami, do wejścia w światła reflektorów przygotowywała się młoda łodzianka, Aleksandra Wiśniewska. Niedawno mianowana przez prezydent Hannę Zdanowską „pełnomocniczką do spraw zaangażowania społecznego" aktywistka postanowiła skrzyknąć paczkę przyjaciół i korzystając z pięknego lata, zawalczyć o frekwencję w zbliżających się wyborach parlamentarnych. W tej paczce był syn Radosława Sikorskiego Alexander i kilka innych osób z otoczenia europosła.

„ODWAŻYSZ SIĘ? to społeczna kampania profrekwencyjna zorganizowana przez młodych obywateli. To wezwanie, abyśmy wzięli sprawy w swoje ręce i zaangażowali się w odnowę Polski. Nadchodzące wybory są najbardziej krytyczne od wyborów 1989 r. Sondaże pokazują, że młodzi są najmniej zmobilizowani do zagłosowania. Zmieńmy to. Razem" – apelowała Wiśniewska.

Internet zalały klipy z młodą aktywistką w roli głównej. Media puchły od wywiadów z dzielną, ratującą imigrantów z morskiej topieli i negocjującą z dzikimi warlordami kobietą. Przystanki komunikacji miejskiej cieszyły oko wizerunkiem lekko uśmiechniętej Wiśniewskiej.

Ważne pytania były wówczas dwa: kiedy „pełnomocniczka do spraw zaangażowania społecznego" Zdanowskiej zostanie oficjalnie ogłoszona kandydatką PO w wyborach oraz kto płaci za prowadzoną z ogromnym rozmachem akcję „Odważysz się?". Tutaj obstawiano ojca Wiśniewskiej, bardzo bogatego przedsiębiorcę z Łodzi. Aktywistka zaprzeczyła. „Akcja jest prowadzona dzięki grantowi z fundacji Action for Democracy" – twierdziła.

A więc – Korányi i jego zarejestrowana w Chicago organizacja. Co wnikliwsi już wtedy mogli dostrzec, że w radzie Action for Democracy zasiadała matka współpracującego z Wiśniewską Alexandra Sikorskiego Anne Applebaum-Sikorska. Nic więc dziwnego, że fundacja chciała pomóc w kampanijnej akcji koleżanki tegoż Alexandra. Zwłaszcza że młody Sikorski był motorem napędowym „Odważysz się?". Widać go na zdjęciach z tego czasu, jest wymieniany przez Aleksandrę Wiśniewską jako członek „obywatelskiego zespołu" kampanii.

Ile pieniędzy dała Action for Democracy? Nie wiadomo. Fundacja wymienia „Odważysz się?" jako grantobiorcę za 2023 r., nie podaje jednak kwoty. Patrząc na skalę kampanii – nie mogło to być mało. Akcja „Odważysz się?" (według deklaracji złożonej przez Alexandra Sikorskiego w urzędzie miejskim akcja trwała do 15 października, a więc do dnia wyborów parlamentarnych) przyniosła owoce. Wiśniewska – czego wszyscy się spodziewali – 16 sierpnia została namaszczona przez Donalda Tuska na kandydatkę KO. Zdobyła mandat w cuglach. Szefem tej oficjalnej, rozliczanej w PKW kampanii był nie kto inny, jak Alexander Sikorski.

Jedna kampania, dwie kampanie – kto by tam liczył. Akcja profrekwencyjna prowadzona za pieniądze z zagranicy i trwająca w tym samym czasie, poddana szczegółowym rygorom dotyczącym finansowania kampania wyborcza kandydatki? W sumie co to za różnica? Poza kilkoma pisowcami nikt nie drążył tematu.

> Arabska przygoda Sikorskiego dowiodła jego sporej biegłości w poruszaniu się na styku wielkich pieniędzy i polityki. „Dostaje rocznie dodatkowo 100 tys. dol. za doradzanie przy organizacji konferencji Sir Bani Yas" – pisali o polskim europośle holenderscy dziennikarze

FINANSOWY MONTAŻ

My jednak trochę podrążymy. Bo w jaki sposób pieniądze z grantu Action for Democracy trafiły do Wiśniewskiej i Sikorskiego juniora, skoro na pierwszy rzut oka ani ona, ani on nie działali wówczas w żadnym NGO (a kasę dostawały organizacje pozarządowe, nie osoby fizyczne)? No nie mogły trafić, mimo najszczerszych chęci Dávid Korányiego i dobrego słowa od związanej z jego fundacją mamy Alexandra.

Od czego ma się jednak przyjaciół. Fundację prowadził przecież przyjaciel domu Sikorskich – Roman Giertych! I to nie byle jaką, bardzo pasującą do całej koncepcji, bo broniącą demokracji! To znaczy broniącej od kilku lat, bo wcześniej zajmowała się zupełnie czym innym. Została założona jako Fundacja Romana Giertycha „Nadzieja dla Rodziców" i, jak zapewniał mecenas, trudniła się „pomocą prawną dla rodziców, którzy utracili lub tracą prawo opieki nad swymi dziećmi z powodu biedy lub niedostosowania społecznego".

Dzieciom pomagali ludzie z najbliższego kręgu współpracowników Giertycha. Pierwszym prezesem fundacji była Monika Jargut. To żona Sebastiana J. „Foki", znanego z demonstrowania hitlerowskiego pozdrowienia przy wódce, afery Polnordu, a ostatnio także afery z obsługiwaniem przez kancelarię Giertycha „frankowiczów". Na stanowisku żonę zmienił sam „Foka", prezesujący giertychowej fundacji od grudnia 2015 do lipca 2017 r. Za jego prezesury organizacja zmieniła profil i nazwę (na Fundacja Obrony Demokracji, pod którą działa do dzisiaj). Obecnie we władzach FOD zasiadają współzałożyciel Młodzieży Wszechpolskiej, były członek Ligi Polskich Rodzin i – z jej wsparciem – członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Lech Haydukiewicz oraz inna była działaczka LPR, Elżbieta Wilczyńska.

eprasa.pl 66e954e427

No dobrze, ale na czym polegał finansowy montaż z wykorzystaniem FOD do „kampanii profrekwencyjnej" Aleksandry Wiśniewskiej? Było tak: 25 lipca 2025 r. Alexander Sikorski został... prezesem fundacji Romana Giertycha. A jako prezes mógł dysponować przyznanym FOD przez Action for Democracy grantem. I zadysponował. A jak już kasę rozliczono, Sikorski junior zniknął z fundacji Giertycha.

Przejrzyste? Zgodne ze standardami? Uczciwe? Niech odpowiedzą sobie państwo sami.

WIELKI „ZRYW"

Zwycięstwo Aleksandry Wiśniewskiej napędziło stojącą za nią ekipę młodego Sikorskiego do działania. Trzeba dalej walczyć o demokrację, zasady, dalej podnosić jakość życia publicznego w Polsce. 1 grudnia 2023 r. w Warszawie zarejestrowano fundację Zryw. Jej fundatorem został Alexander Sikorski. Oficjalnie fundacja zajmuje się budowaniem świadomości obywatelskiej, edukacją, kształceniem liderów itd. Organizuje „zrywy", czyli plenerowe spotkania młodzieży z ekspertami i politykami. Nieoficjalnie – buduje zaplecze polityczne wciąż marzącemu o najwyższych stanowiskach Radosławowi Sikorskiemu.

Wśród działaczy Zrywu odnajdujemy zaufanych ludzi Radosława Sikorskiego i koalicji rządzącej. Szefem Rady Programowej Fundacji jest Przemysław Macholak, m.in. akredytowany asystent europosła Platformy Borysa Budki. Agnieszka Homańska na co dzień jest szefową gabinetu politycznego Radosława Sikorskiego. Inny członek Rady, Paweł Mastalerz, doradza ministrowi. Wiceprezes Alicja Kępka pracuje w kancelarii premiera, zajmuje się migracją. Józef Bartosz jest ekspertem w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, wcześniej pracował w KPRM.

Tak się składa, że Bartosz, Kępka, Mastalerz, Homańska i inni zrywowcy uczestniczyli w „Odważysz się?" i pracowali w kampanii wyborczej Aleksandry Wiśniewskiej.

Jak wtedy do młodych aktywistów, tak teraz do „Zrywu" płynie zagraniczne wsparcie. Wśród prezentowanych na stronie fundacji partnerów są m.in. szkoląca liderów politycznych Apolitical Foundation czy Tech To The Rescue – finansowana m.in. przez big techy inicjatywa łącząca firmy z branży technologicznej z organizacjami pozarządowymi.

Zryw współpracuje też z czołówką rodzimego biznesu. Dzieje się to dzięki zaangażowaniu w projekt młodego Sikorskiego Fundacji Polskiej Rady Biznesu.

„Polska Rada Biznesu to organizacja zrzeszająca właścicieli i kluczowych menedżerów największych polskich przedsiębiorstw oraz firm międzynarodowych działających w Polsce. Członkowie PRB reprezentują większość sektorów gospodarki" – czytamy na stronie PRB. Pracami kieruje Wojciech Kostrzewa, były szef holdingu ITI, wtedy właściciela TVN.

Fundacja PRB dała na Zryw już ponad 1 mln zł – w 2024 r. 510 tys. zł, rok później już 665 tys. zł.

– Fundacja Zryw regularnie przekazuje nam raporty z działań aktywizujących młodych ludzi do zaangażowania w życie publiczne. Ich projekty są przez nas oceniane bardzo wysoko – informuje sekretarz Fundacji PRB Beata Kopyt.

To jednak trochę niezręczna sytuacja. Ludzie Zrywu pracują w administracji rządowej i polityce. Ich liderem jest syn urzędującego wicepremiera. A biznes zależy – przynajmniej w pewnej mierze – od tego, co robi rząd i jakie prawo tworzą politycy.

Ile przelewają inni dobroczyńcy Zrywu? Na jakiej zasadzie wspierają fundację podmioty zarejestrowane za granicą? Fundacja nie odpowiedziała na szczegółowe pytania w tej kwestii. Pytaliśmy także o zaangażowanie zrywowców w akcję profrekwencyjną i kampanię wyborczą Aleksandry Wiśniewskiej. Zamiast odpowiedzi dostaliśmy oświadczenie.

Dowiedzieliśmy się z niego, że Zryw działa „na rzecz zmiany pokoleniowej w polskiej polityce i życiu publicznym", jest „apartyjny", a jego działacze wierzą, że „demokracja wymaga silnych instytucji, ale przede wszystkim kompetentnych, empatycznych i gotowych do działania ludzi".

Pytania o Zryw, kampanijne działania syna i ewentualny konflikt interesów zadaliśmy też Radosławowi Sikorskiemu. Od rzecznika MSZ usłyszeliśmy, że „zakres pytań nie ma związku z Ministerstwem Spraw Zagranicznych". Prośba o przekazanie pytań bezpośrednio ministrowi została bez odpowiedzi. Do chwili zamknięcia tego numeru nie udało nam się skontaktować z Aleksandrą Wiśniewską-Uznańską. Na żadne pytania nie odpowiedziała nam fundacja Action for Democracy.

PRZERWAĆ CISZĘ

Podsumujmy. Zagraniczne pieniądze od fundacji, z którą była związana Anne Applebaum, pozwoliły wypromować tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. Aleksandrę Wiśniewską. Motorem napędowym (także w kwestiach finansów) kampanii społecznej łodzianki był Alexander Sikorski, syn Applebaum i Radosława Sikorskiego. Kampania ta trwała równolegle z oficjalną kampanią Wiśniewskiej, której szefował Sikorski junior. Pieniądze z USA nie trafiły bezpośrednio do zaangażowanych, tylko przeszły przez fundację przyjaciela Sikorskich, mecenasa Romana Giertycha. A zaraz potem osoby, które zorganizowały i przeprowadziły całą operację, założyły fundację budującą zaplecze polityczne Radosława Sikorskiego. Ta fundacja również jest wspierana z zagranicy. Współpracuje z nią też – poprzez Fundację Polskiej Rady Biznesu – wielki krajowy biznes, któremu musi zależeć na dobrych relacjach z rządem. W obecnym gabinecie wicepremierem jest Radosław Sikorski.

Czy to nie jest przypadkiem sprawa dla PKW? Czy nie mamy do czynienia z, ujmując to delikatnie, podejrzeniem nielegalnego finansowania kampanii wyborczej? A może sprawą zainteresują się służby? Przecież ich obowiązkiem jest pilnowanie zewnętrznych wpływów na polską politykę, a także dbanie o przejrzyste relacje polityków i ich rodzin z biznesem. No i wreszcie – gdzie, u licha, są różnej maści eksperci od transparentności procesu politycznego i standardów etycznych, obrońcy etosu demokratycznego, którego uosobieniem mają być państwo Sikorscy?

Na razie wszyscy milczą. Ale już czas, by przerwać tę ciszę.

wPolsce24

We wtorek, 7 kwietnia 2026 r., na antenie telewizji wPolsce24 zostanie wyemitowany reportaż Stanisława Pyrzanowskiego o tajemnicach rodziny Sikorskich

eprasa.pl 66e954e427

W 1990 r. Stanisław Tymiński z dużym sukcesem odegrał rolę „człowieka z zewnątrz, nieuwikłanego w spory". Dziś mówi językiem Grzegorza Brauna i chce wrócić do polskiej polityki

Powrót Tymińskiego



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Stanisław Tymiński znów działa. Swój związany z przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi objazd po Polsce rozpoczął od wizyty w Kanale Zero. Można śmiało powiedzieć, że jego występ u Krzysztofa Stanowskiego odbił się głośnym echem. Nie ze względu na prezentowane w rozmowie treści, ale dlatego, że Tymiński w pewnym momencie zapłakał i zakrztusił się wodą. „To były najlepsze lata mojego życia" – załkał na wspomnienie kampanii prezydenckiej w 1990 r., gdy po raz pierwszy pojawił się w polskiej polityce.

Obrazek Tymińskiego plującego wodą natychmiast stał się internetowym memem. W tym sensie jego występ można udać za udany, bo choć nie miał nic szczególnego do powiedzenia, to przynajmniej przypomniał wszystkim o swoim istnieniu. A przecież o to chodziło.

Tymiński jest postacią z przeszłości i wyraźnie utknął w innej epoce. Udział w wyborach prezydenckich 1990 r. był najważniejszym wydarzeniem w jego życiu. I choć dziś ma 78 lat, ciągle wraca do zamierzchłych czasów swojej krótkotrwałej świetności z nadzieją, że uda się powtórzyć ten sukces. Tym razem pomocną dłoń wyciągnął do niego Grzegorz Braun.



Fot. Wojciech Olkuśnik/East News

SYMBOL OBCIACHU

O Tymińskim można mówić różne rzeczy, ale jedno wiadomo na pewno – jest niesamowicie uparty. Bo przecież jego obecne tournée z Braunem stanowi już kolejną próbę powrotu do polskiej polityki.

Dziś nikt już nie pamięta i zapewne nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że po przegranym starciu z Lechem Wałęsą w 1990 r. Tymiński wracał do Polski kilkakrotnie. Dwa razy próbował kandydować na prezydenta – w 1995 r. (wtedy nie udało mu się zebrać podpisów) i w 2010 r. (0,16 proc. głosów), a całkiem niedawno, bo w 2023 r., starał się o mandat senatora z województwa śląskiego, otrzymując 12,7 proc. poparcia, co dało mu mało efektowne ostatnie miejsce.

Jako polityk uchodził za symbol obciachu. Jego kampania prezydencka i zaskakująco wysokie poparcie w 1990 r., które pozwoliło mu wejść do drugiej tury, do dziś są wstydliwym epizodem w naszej najnowszej historii. Wyszło bowiem wtedy na jaw, że całkiem spora część Polaków nie podziela entuzjazmu z powodu upadku komuny. Przede wszystkim jednak okazało się, że wyrwanych z PRL i żyjących w izolacji ludzi jest bardzo łatwo zmanipulować tanimi, wręcz prostackimi chwytami. Tymiński, który pokazywał się wówczas jako zaradny, zamożny biznesmen zza oceanu, był dla wielu ludzi uosobieniem mitycznego Zachodu. Głęboko wierzono, że ktoś, kto zarządza kablówką w Kanadzie, może z równym powodzeniem przejąć stery dużego europejskiego państwa.

Sukcesy wyborcze Tymińskiego więcej mówiły o stanie naszego społeczeństwa niż o nim samym. Nic więc dziwnego, że później mało kto chciał się przyznawać do swoich zachwytów nad nim. Bo potwierdzałby w ten sposób, że nie jest zbyt mądrym człowiekiem.

Jednak elektorat Tymińskiego nie zniknął. On po prostu wielokrotnie się przepoczwarzał. Dawnych wyborców „zaradnego biznesmena" mogliśmy odnaleźć wśród głosujących na SLD, Samoobronę, a w bliższych nam czasach – choćby u Palikota. Dziś wielu z nich już pewnie nie ma tym świecie, inni to emeryci, jednak charakterystyczny dla elektoratu Tymińskiego sposób odbierania otaczającej nas rzeczywistości trzyma się całkiem dobrze. Łatwe recepty na uzdrowienie świata, często połączone z poczuciem doznanej krzywdy, wciąż wzbudzają duże zainteresowanie.

NA POLITYCZNYM MARGINESIE

Dziś Tymińskiego trudno rozpoznać. Posiwiał, zaokrąglił się na twarzy, stracił dawny rezon. Dzień po występie u Stanowskiego odwiedził telewizję wPolsce24. Zauważyłem go wtedy w charakteryzatorni. Siedział z boku na kanapie i w milczeniu pił kawę. Czuł się wyraźnie nieswojo.

Było widać, że odwykł od ludzi. Bo rzeczywiście, gdyby spojrzeć na ostatnie trzy dekady jego życia, to – przynajmniej w Polsce – trudno mu było znaleźć słuchaczy. Nasza scena polityczna z pogardą wypluła go na margines, a elektorat wstydliwie rozbiegł się w inne miejsca. Dlatego Tymiński szukał dla siebie rozmaitych nisz i wszystko wskazuje na to, że znalazł je w szeroko rozumianych środowiskach postgrunwaldowskich – wśród różnych sierot po narodowym komunizmie, zwolenników neopogaństwa, mitycznej słowiańskiej wspólnoty i innych tego rodzaju fantasmagorii. Być może efektem tych poszukiwań było kandydowanie do Senatu w ostatnich wyborach z ramienia Związku Słowiańskiego – niewielkiej partii, która sprzeciwia się polityce amerykańskiej i NATO, za to z dużą estymą odnosi się do Aleksandra Łukaszenki oraz reżimu w Korei Północnej.

Jak można wyczytać na stronie ugrupowania, w 2010 r. jego członkowie spotkali się z Albinem Siwakiem – zapomnianym już nieco członkiem politbiura z czasów Wojciecha Jaruzelskiego. Po latach dawne zachwyty nad Siwakiem ustąpiły miejsca promowaniu Stanisława Tymińskiego. Nie wywalczył on wprawdzie miejsca w Senacie, ale ewidentnie zyskał akceptację w środowisku określanym przez przeciwników jako „szuria" lub „onuce". W takich okolicznościach akces Tymińskiego na listy wyborcze partii Brauna stał się już tylko kwestią czasu.

PODRÓŻ W NIEZNANE

Pewnym paradoksem może być fakt, że Tymiński, który w 1990 r. uchodził w oczach swojego elektoratu za symbol „wspaniałego Zachodu", jest dzisiaj tego Zachodu zadeklarowanym przeciwnikiem. Jednak trudno powiedzieć, na ile to, co mówi, jest szczere, a na ile stanowi element jakiejś pozy, która ma pomóc w powrocie do czynnej polityki.

W 1990 r. również było wiele domysłów na jego temat. Począwszy od słynnej „czarnej teczki", w której miał jakoby dokumenty kompromitujące Wałęsę (nigdy ich nie pokazał, nawet na żądanie samego Wałęsy), kończąc na spekulacjach dotyczących jego rzekomych związków z obcymi państwami. Inna rzecz, że Tymiński – gdyby jakimś cudem udało mu się sięgnąć wówczas po prezydenturę – zabrałby nas w podróż w nieznane. Prawdopodobnie poprowadziłby Polskę ku posowieckiej oligarchii i skończylibyśmy tak jak dzisiejsza Białoruś. W tym sensie jego wygrana mogłaby być na rękę obcym, głównie wschodnim interesom. Jednak nie trzeba było do tego żadnych agenturalnych związków, o które go posądzano, choć – co warto podkreślić – nigdy ich nie udowodniono.

Tymiński był wtedy bardzo mocno bity przez media. Ówczesna TVP wyemitowała reportaż, w którym – bazując jakoby na zeznaniach świadków – oskarżono go o znęcanie się nad rodziną. Sprawa skończyła się w sądzie i TVP musiała przeprosić za bezpodstawne zarzuty. Warto przypomnieć ten epizod w kontekście dzisiejszych wyczynów liberalnych mediów, które nie tylko niczego się po tej wpadce nie nauczyły, lecz wręcz twórczo rozwinęły swój „warsztat".

Wtedy również – przy wszystkich oczywistych zastrzeżeniach do Tymińskiego – na pełną skalę rozkręcono przemysł pogardy, wylewając na jego wyborców tony szamba oraz stygmatyzując ich jako prostaków i nieokrzesaną hołotę. Trzeba o tym pamiętać, bo od tamtej pory ten sposób działania powtarzał się regularnie wobec każdego, kto kwestionował „naturalne pierwszeństwo" liberalnej elity w decydowaniu o losach Polski.

Inna rzecz, że Tymińskiego wspierał dość szczególny typ wyborców. Oprócz poszkodowanej transformacją i rozczarowanej solidarnościowymi

eprasa.pl 66e954e427

rządami prowincji głosowali na niego również liczni pogrobowcy PZPR oraz specyficzna grupa osób, często młodych, która nie czuła żadnego związku emocjonalnego ani z Solidarnością, ani z komunistami. Ich głównym celem było szybkie wzbogacenie się, nawet kosztem innych, a Tymiński jako „zachodni biznesmen" ze sprawdzonymi receptami miał im to umożliwić. Rozsądnemu człowiekowi może się to wydawać głupie, ale przecież niewiele zmieniło się do dziś, bo podobny typ wyborcy znajdziemy choćby w Konfederacji. Być może nieprzypadkowo więc Tymiński podczas wyborów prezydenckich w 2025 r. poparł (choć niewielu to zauważyło) Sławomira Mentzena.

PRECZ Z AMERYKĄ

Mentzen najwyraźniej zignorował zaloty Tymińskiego, ale zauważył je Braun. Choć lider Konfederacji Korony Polskiej niczego nie przesądza jeszcze oficjalnie, to nie ukrywa, że widziałby Tymińskiego na swojej liście do Senatu w województwie warmińsko-mazurskim. Tutaj bowiem Tymiński miał zebrać najwięcej głosów podczas wyborów prezydenckich w 1990 r.

Obaj wybrali się w Niedzielę Palmową do Olsztyna, gdzie Braun promował swojego potencjalnego kandydata. Początkowo widownia nie była zainteresowana Tymińskim, ale Braun zachęcał ją do zadawania mu pytań. Rozdawano również bezpłatnie autobiografię Tymińskiego, który w końcu zdołał się ożywić i wygłosił tyradę pochwalną na rzecz Brauna, wplatając do niej liczne wątki antyżydowskie i antyamerykańskie.

„Myślałem o sobie jako o wojowniku w walce politycznej z Żydami. Nie w walce rasistowskiej, ale czysto politycznej. Dla mnie wybory prezydenckie to była codzienna walka z interesami żydowskich organizacji finansowanych głównie przez Amerykę. Ja byłem w szoku, że tylko te oddziały Solidarności w Polsce, które były komórkami żydowskimi, dostały pieniądze z Ameryki" – opowiadał zebranym, nawiązując rzecz jasna do wyborów z 1990 r. Zapewnił również, że mimo swoich 78 lat czuje się lepiej niż będący w podobnym wieku Donald Trump.

Potem Tymiński – według relacji zamieszczonej na portalu olsztyńskiej „Debaty" – wspominał jeszcze swoje spotkania z „żydowskimi sekretarzami ambasady amerykańskiej" w Warszawie, którzy mieli jakoby zwalczać jego kandydaturę (w domyśle jako „prawdziwego Polaka patrioty").

Wszystko to mogło się podobać widowni, bo wpisywało się w spiskową teorię dziejów lansowaną przez środowisko Brauna, wedle której Zachód z Ameryką na czele nieustannie niszczą Polskę, więc – to już moja, chyba oczywista konkluzja – należy się porozumieć z Rosją.

> Braun nie ukrywa, że widziałby Tymińskiego na swojej liście do Senatu w województwie warmińsko-mazurskim. Tutaj bowiem Tymiński zebrał najwięcej głosów w walce o prezydenturę

Nie wiadomo, czy Tymiński rzeczywiście mówi to, co naprawdę myśli. Jest jednak charakterystyczne, że ponowne wzmożenie antyżydowskie i antyamerykańskie w środowisku Brauna zbiega się z wojną w Iranie. Już nawet Ukraina zeszła nieco na dalszy plan. Interpretuję to w ten sposób, że obecne działania administracji Trumpa, dość wyraźnie realizującej interesy Izraela, stały się znacznie łatwiejszym celem krytyki niż przed wybuchem konfliktu w Zatoce Perskiej. Po prostu dziś o wiele łatwiej jest znaleźć podstawy do twierdzenia, że Ameryka to niewiarygodny partner, który chodzi na pasku Izraela. I Braun – w sobie znanym, politycznym celu – z tego korzysta, a Tymiński – szczerze lub nie – wpisuje się w ten przekaz.

POSPOLITE RUSZENIE

Gdyby jednak chodziło tylko o antyamerykańskie hasła, Tymiński nie byłby Braunowi do niczego potrzebny. Takich, którzy będą pomstować na Amerykę, w Koronie Polskiej znajdzie się mnóstwo. Pomysł z Tymińskim jest więc nieco inny.

Celem Brauna jest raczej pospolite ruszenie wszelkiej maści radykałów i outsiderów, którzy pałają chęcią bądź odegrania się za doznane upokorzenia, bądź udowodnienia sobie i innym, że mieli rację, a ich dotychczasowa droga życiowa miała jakiś sens. Są też pewnie tacy, którzy kiedyś odpadli z gry, a teraz ponownie szukają swojej szansy w życiu publicznym.

Nie wszyscy z nich aspirują do tego, aby wiązać się – przynajmniej w tej chwili – z partią Brauna. W szeroko rozumianym kręgu osób, dla których polityk ten jest wystarczająco wiarygodny, aby firmować swoim nazwiskiem współorganizowane przez niego imprezy, widzimy sporo znanych postaci. Wśród panelistów tegorocznego Kongresu Inicjatyw Narodowych, Gospodarczych i Samorządności znaleźli się m.in. Monika Jaruzelska, Paweł Lisicki, Robert Gwiazdowski, Maciej Rola, Tomasz Sommer, Leszek Sykulski. Adam Wielomski, Marek Woch i wielu innych. Nieco inny krąg tworzą Bracia Kamraci, Sebastian Pitoń, Janusz Waluś czy Mateusz Piskorski, były działacz Samoobrony, któremu postawiono zarzut szpiegostwa na rzecz Rosji. Skoro w szeroko rozumianym uniwersum Brauna mieści się tak wiele różnych osób, to nic dziwnego, że znajdzie się przestrzeń także dla Stana Tymińskiego.

Dziś Braun pozycjonuje się podobnie jak kiedyś Tymiński – jako rzekoma siła antysystemowa, którą dzieli równy dystans od głównych sił politycznego sporu. To oczywiście nieprawda, ale ten dziwaczny symetryzm ma być jego głównym atutem wyborczym. W tym sensie Tymiński, który w 1990 r. z dużym sukcesem odegrał rolę „człowieka z zewnątrz, nieuwikłanego w spory", może jeszcze raz wejść w te same buty. Zobaczymy z jakim skutkiem. I czy Polacy nadal są tak odklejeni od rzeczywistości, jak byli wtedy.

eprasa.pl 66e954e427



Dlaczego chodzę na miesięcznice?

Wśród ofiar katastrofy smoleńskiej było wielu moich przyjaciół i znajomych. Przywołując Adama Mickiewicza: „Jeśli zapomnę o nich, to Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie”



JERZY SZMIT

10 kwietnia 2010 r. nad lotniskiem w Smoleńsku zginęli członkowie polskiej delegacji z prezydentem Lechem Kaczyńskim, lecący na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej. Oprócz prezydenta zginęła jego żona Maria, dowódcy wojskowi, politycy, duchowni i działacze społeczni oraz załoga samolotu TU 154 M. Łącznie 96 osób.

Wyjaśnienia, jak do tego doszło, są dwa. Pierwsze, przedstawiane przez Moskwę i jej stronników w Polsce z Donaldem Tuskiem na czele, zakłada, że winę ponoszą piloci samolotu i być może ktoś jeszcze, kto kazał lądować w trudnych warunkach – we mgle. Drugie wytłumaczenie bazuje na faktach, prawach fizyki i zasadach budowy samolotów. Otóż po uderzeniu z niewielkiej wysokości w miękką, błotnistą ziemię samoloty nie rozpadają się na ponad 60 tys. kawałków. W takich katastrofach nie giną wszyscy pasażerowie i cała załoga. Tragiczne zakończenie lotu musiał wywołać bardzo silny czynnik destrukcyjny, niezależny od ewentualnego błędu pilotów czy błędnego naprowadzania.

Innymi tajemniczymi faktami były seryjne samobójstwa polskich świadków tego wydarzenia. Dlaczego Rosja nie chce oddać wraku i oryginałów czarnych skrzynek? Czy wynika to tylko z kacapskiego uporu i złośliwości, czy chęci zachowania w swoim ręku twardego dowodu tego, co się stało przy podchodzeniu do lądowania?

ZAKRZYCZEĆ ŻAŁOBĘ

10 kwietnia cała (!) Polska pogrążyła się w rozpaczy i żałobie. Tylko Donald Tuska nerwowo kalkulował, aby gwałtowna śmierć polskiego prezydenta oraz przedstawicieli elity politycznej, wojskowej, kościelnej i społecznej nie zaszkodziła resetowi z Rosją. Wówczas był to strategiczny cel jego rządów. Ustawiał do pionu wszystkich, którzy chcieli dochodzić prawdy. Kogo nie mógł, opieczętował mianem oszołomów i „sekty smoleńskiej”. Dlatego strach Tuska przed prawdą o Smoleńsku, a nawet dochodzeniem do niej, był i jest ogromny.

Śmierć głowy państwa w zamachu powinna wywołać stosowną reakcję wobec tych, którzy ten zamach zorganizowali. I nie chodzi o wezwanie ambasadora na dywanik do ministra. Niestety mimo że nasi sojusznicy znają prawdę, nie chcą jej ogłaszać, bo również powinni uczestniczyć w bardziej zdecydowanej reakcji.

Trzeba przypomnieć, że dokumenty na temat śmierci premiera i naczelnego wodza Władysława Sikorskiego w Gibraltarze (1943 r.) zostały ponownie utajnione przez rząd brytyjski na następne 40 lat (do 2033 r.). Nie ma gwarancji, że po tej dacie zostaną udostępnione.

Fot. Ludmyła Skwarczyńska

eprasa.pl 66e954e427

Tragedia tylko na kilka dni zjednoczyła Polaków. Jeszcze nie pogrzebano wszystkich ofiar, gdy ruszyła kampania kłamstwa, nienawiści, skłócania i deprecjonowania ofiar oraz wszystkich, którzy szukają prawdy o tragicznej śmierci naszej elity przywódczej.

Jest rzeczą absurdalną, że przez wiele dni po tragedii premier Tusk nie zabierał oficjalnie głosu. Honorowanie pamięci ofiar ograniczył do absolutnego minimum. Za jego czasów państwo polskie nie zorganizowało żadnych godnych tego wydarzenia obchodów czy uroczystości, aby uczcić pamięć prezydenta Lecha Kaczyńskiego i tych, którzy zginęli razem z nim. 10 kwietnia 2013 r. premier wybrał się do Nigerii, a w charakterystyczny dla siebie przewrotny sposób o godz. 5.00 pojechał na Cmentarz Powązkowski i złożył tam wieniec pod pomnikiem ofiar smoleńskich.

Później nie dostrzegał obchodów lub zbywał je obraźliwymi, deprecjonującymi epitetami. Władze rządzonej przez Platformę Obywatelską Warszawy blokowały wzniesienie na Placu Józefa Piłsudskiego pomnika upamiętniającego ofiary smoleńskie.

W 2013 r. Donald Tusk wygłosił w Sejmie przemówienie, w którym odniósł się do projektu rocznicowej uchwały „smoleńskiej" zgłoszonej przez Prawo i Sprawiedliwość. To był atak na poszukujących prawdy i działających na rzecz wyjaśnienia okoliczności tragedii. Padły zarzuty zdrady, warcholstwa, chęci dzielenia Polaków oraz prowadzenia polityki na grobach ofiar. Ta narracja stała się obowiązująca wśród ośmiogwiazdkowców i trwa do dzisiaj.

Wyniki prac sejmowej podkomisji do ponownego zbadania katastrofy smoleńskiej dla wielu mogą być niewystarczające, ale pod jak wielką presją działała! Przypomnijmy, jak zgodnie brzmiały głosy Putina i Tuska. Jak w takiej sytuacji znaleźć twarde dowody, różniące się od wersji oficjalnej? Choć dowodów pośrednich nie brakuje. Niezbędne byłyby dane wywiadowcze, jednak nawet nasi najwięksi sojusznicy nie kwapią się, by je udostępnić.

ZAKRZYCZEĆ PAMIĘĆ

Od 16 lat każdego 10. dnia miesiąca o godz. 8.00 w kościele seminaryjnym przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie rozpoczyna się msza św. w intencji ofiar katastrofy smoleńskiej. W nabożeństwie uczestniczy Jarosław Kaczyński, wielu czołowych polityków Prawa i Sprawiedliwości oraz wiele osób spoza polityki, które przychodzą pomodlić się za osoby, które zginęły w katastrofie smoleńskiej. W ostatnim czasie mszę św. odprawia i wygłasza znakomitą homilię, dotykającą głębi ewangelicznego nauczania, ks. Przemysław Ćwiek.

Potem idziemy na pobliski Plac Józefa Piłsudskiego, pod pomnik prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Zawsze jest z nami o. Zdzisław Tokarczyk. Kilka słów refleksji, krótka modlitwa. Prezes PiS Jarosław Kaczyński składa wieniec albo zapala znicz pod pomnikiem brata. Następnie idziemy pod pomnik Ofiar Katastrofy Smoleńskiej. Tam podobnie: modlitwa, wieniec, znicze. Właściwie to wszystko – skromna, cicha uroczystość w gronie osób wspominających członków swoich rodzin, przyjaciół, znajomych.

Dla ośmiogwiazdkowej elity to jednak okazja do pokazania się. Co kieruje ludźmi, którzy co miesiąc od kilkunastu lat przychodzą na Plac Piłsudskiego, aby uzbrojeni w megafony miotać wyzwiskami, szarpać się, prowokować, licząc na zdecydowaną reakcję? Przynoszą transparenty z kłamliwymi i obraźliwymi treściami, próbują złożyć wieniec z ubliżającym opisem. Od marca 2016 r. przez blisko rok zadymiarze dodatkowo przynosili białe róże. Było to robione na potrzeby niemieckiej telewizji. W Niemczech białe róże symbolizują walkę z faszyzmem. Ośmiogwiazdkowcy walczyli więc z faszyzmem, atakując osoby modlące się za zmarłych.

W to wszystko angażuje się dziesiątki policjantów, dziennikarzy, kamer telewizyjnych, fotoreporterów, ochronę i wspierających ją wolontariuszy, zwykłych obserwatorów. Tym bardziej że policja nie potrafi albo nie chce skutecznie zneutralizować zadymiarzy. Bliżej każdych wyborów agresja rośnie, prowokatorzy są bardziej aktywni i zdeterminowani. Wśród nich trudno nie zauważyć ludzi nienaturalnie pobudzonych, z „obłędem w oczach", szukających zaczepki. W czasach, gdy nie mogli podejść bliżej, ich wrzaski, wzmocnione przez megafony, dochodziły od strony Ogrodu Saskiego. Ze strony rządowych polityków nigdy nie padło ani jedno słowo studzące te emocje. Co więcej, ze strony sądów płynęły do prowokatorów zachęty w postaci odszkodowań za to, że w czasach rządów PiS policja interweniowała wobec osób notorycznie i ostentacyjnie łamiących prawo.

Następnie obchody przenoszą się na Nowe i Stare Powązki. Tam składane są wieńce i znicze na grobach ofiar, a także kilku wyjątkowo zasłużonych osób: Jana Olszewskiego, Kornela Morawieckiego, Zbigniewa Romaszewskiego, Ryszarda Kuklińskiego, grobowcu rodziny Kaczyńskich. Całe szczęście ostatnio w spokoju.

Wieczorem, o godz. 19.00, w archikatedrze św. Jana jest odprawiana msza św. w intencji ofiar katastrofy. Zwykle przewodniczy jej ks. proboszcz Bogdan Bartołd w asyście kilkunastu kapłanów, w różny sposób związanych z ofiarami katastrofy. Nabożeństwo jest transmitowane przez Telewizję Trwam i Radio Maryja. Po mszy przez kilka lat odbywał się także przemarsz pod pałac prezydencki, który podobnie jak poranne obchody był w różny sposób atakowany przez ośmiogwiazdkowych zadymiarzy. Ostatnio marsz zorganizowano tylko 10 listopada i 10 kwietnia.

ZAKRZYCZEĆ PRAWDĘ

Miesięcznice to pamięć o ludziach, którzy oddali życie, sprawując obowiązki wobec państwa polskiego. Do Smoleńska polecieli w rocznicę zbrodni katyńskiej, popełnionej w 1940 r. na ponad 20 tys. polskich oficerów zamordowanych strzałem w tył głowy na udokumentowany rozkaz władz Kremla.

W 1990 r. władze ZSRR przyznały się do zbrodni – prawda była zakazana przez 50 lat, a tych, którzy o niej mówili, brutalnie represjonowano.

W stosunku do polskiego dramatu, który wydarzył się 10 kwietnia 2010 r., jest podobnie: dochodzenie prawdy jest zakazane. O tym, jak było w Smoleńsku, orzekli przecież zgodnie Tusk z Putinem.

Deprecjonowanie, zakłócanie, ośmieszanie miesięcznic ma zagłuszyć wołanie o prawdę o przyczynach śmierci 96 wybitnych Polaków. Wśród ofiar było wielu moich przyjaciół i znajomych. Przywołując Adama Mickiewicza: „Jeśli zapomnę o nich, to Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie". Dlatego chcę pamiętać i dopóki będę mógł, będę chodził na miesięcznice.

eprasa.pl 66e954e427



Etat matki



MACIEJ PAWLICKI

Szybko postępującej Polskiej Katastrofie Demograficznej poświęcone były dwie konferencje, które odbyły się w końcu marca w Sejmie. Czy słowa zamienią się w fakty?

Katastrofa dobrowolnego układania się narodu polskiego w trumnie nareszcie zaczyna być dostrzegana w pełnym wymiarze i traktowana serio, to znaczy z wolą jej zatrzymania i przezwyciężenia. Pierwszą konferencję „Polityka demograficzna – dziś i jutro" zorganizował wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak, drugą – „Tak dla życia. Siła macierzyństwa" – Parlamentarny Zespół na Rzecz Życia i Rodziny oraz Koalicja dla Życia i Rodziny.

Obie zarysowały, jak ogromna jest sfera przyczyn, które tę katastrofę powodują, a więc pokazały, jak ogromną pracę mamy do wykonania – na jak wielu polach. Przede wszystkim w najszerzej rozumianej kulturze, czyli sposobie opisywania świata i współtworzenia go, w sposobie myślenia, odczuwania, zachowania, komunikowania się, w sposobie życia. A także w prawie i ekonomii. W stosunku państwa do obywatela i w relacjach między nami. W strategii na dekady i w codzienności od dziś.

Z arcybogatej tematyki obu konferencji wybrałem kilka wątków. Wiele było nie mniej ważnych, ale te traktuję jako uzupełnienie mego niedawnego tekstu „Narodzony naród".

KŁAMSTWO PRAWA

Agata Lupoměská z prezydenckiej Rady Rodziny i Demografii zaprezentowała pomysł genialny w swej prostocie. Łatwy w realizacji, niemal bezkosztowy, a jednocześnie mogący mieć potężny pozytywny wpływ na dzietność w Polsce. Wiemy, że język bardzo skutecznie kształtuje rzeczywistość, zmienia obyczaje, relacje międzyludzkie, ustanawia hierarchie. Język buduje lub niszczy, często niezauważalnie.

Wedle słowników języka polskiego słowo „urlop" (z niemieckiego „Urlaub") oznacza „czas wolny od świadczenia pracy" albo „przerwę w świadczeniu pracy". Synonimy to „wczasy" (dawniej – „wywczasy"), „wakacje", „wolne". Osoba będąca na urlo-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 66e954e427

pie odpoczywa, nie pracuje, nie ma obowiązków, robi, co chce, a jeśli lubi – może nie robić nic. Bo jest na urlopie.

Zakładam, że każdy z nas widział kobietę w pierwszych dniach, tygodniach, miesiącach po urodzeniu dziecka. Kobieta taka nie ma wolnego od pracy i od obowiązków, wręcz przeciwnie. To czas jej ogromnej pracy. Sprawowanych chętnie, bo z miłością, ale jednak żelaznych obowiązków, których najmniejsze zaniedbanie grozi tragedią. Nie tylko zatem czas wielkiej pracy fizycznej, lecz także ogromnej koncentracji emocjonalnej i kreatywności intelektualnej. Dlaczego więc ten czas arcyintensywnej pracy kobiety nazywamy jej „urlopem"? To wszak krzyczące kłamstwo, diametralne zafałszowanie rzeczywistości. Niosące przecież ogromną krzywdę kobiet, które polskie prawo i społeczeństwo opisują jako „urlopujące", czyli wypoczywające.

Agata Lupoměská zaproponowała zastąpienie kłamliwego określenia „urlop macierzyński" terminem „etat macierzyński". Prawda, że genialne? Zmiana jednego słowa nie tylko przywraca prawdziwy opis rzeczywistości, odrzuca opis kłamliwy, lecz także zmienia postrzeganie roli matki, ogromu jej pracy, jej wysiłku, jej czasu, jej poświęcenia, jej rocznego dzieła – nazwę to – postawienia obywatela Rzeczypospolitej na nogi.

Termin „etat macierzyński" nie tylko uświadamia, że kobieta na nim nie odpoczywa, lecz także poszerza (szerzy?) wiedzę, czym jest macierzyństwo, czym jest dziecko. Nowy termin zmniejsza postrzeganie dziecka jako ryzyka, spowolnienia kariery, a wręcz przeciwnie – macierzyństwo, dziecko staje się jej dopełnieniem, rozwinięciem. Pracodawcy i współpracownicy, którzy jakże często powracającą z „urlopu" kobietę traktują jako zło konieczne, dając jej do zrozumienia, że nie jest mile widziana, przydzielając jej niższe stanowiska, gorsze prace i płace, będą stopniowo zmieniać swe myślenie o tej, która nie wraca z rocznego wypoczynku, ale z ważnego etatu, na którym wykonała arcyważne zadania. Dla społeczeństwa, państwa, racji stanu, dochodu narodowego i przyszłości każdego z nas – dla twojej, kierowniku, także.

Ekonomista Gary Becker, autor słynnej „Nowej ekonomii gospodarstwa domowego" na podstawie szczegółowych obliczeń skalkulował wartość pracy matek, za co otrzymał Nagrodę Nobla. Wedle jego wyliczeń matki wytwarzają 30 proc. dochodu narodowego. To gigantyczna część naszego wspólnego majątku.

Etat macierzyński to także wzmocnienie ochrony zatrudnienia i wzrost poczucia bezpieczeństwa dla kobiet, dla małżeństw rozważających poczęcie pierwszego czy kolejnego dziecka. Macierzyństwo nie będzie oznaczać wyjścia z rynku, bo przecież w istocie i od zawsze jest jego ważną częścią.

KOBIETO, BĄDŹ MĘSKA

Posłanka Karina Bosak mówiła, że „w przestrzeni publicznej brakuje opowieści o spełnionych, szczęśliwych matkach. Dominuje negatywny obraz macierzyństwa, dla 75 proc. Polaków dzieci to szczęście, ale nie ma tego w mediach".

Rzucam okiem na portal gazeta.pl. Dzień jak co dzień, wśród eksponowanych tytuł: „Czasem mam koszmary, że czeka mnie poród. Budzę się i z ulgą stwierdzam, że to tylko sen". Redaktor Anita Skotarczyk informuje, że „Kamila" napisała do niej list: „To niewiarygodny, upadlający ból, który trwa przez trzy doby". Redaktor oznajmia, że „ze względu na przebieg porodu kobieta podjęła decyzję, że jej dziecko pozostanie jedynakiem". Media Agory i podobnych korporacji zamieszczają tysiące podobnych tekstów. Konsekwencja, z jaką dowodzą, że rodzicielstwo to dramat i ograniczenie pełni życia, wydają się egzekwowane wedle jakiejś dziennej/tygodniowej normy. Od dekad ciężko pracują, by przekonać Polki, że macierzyństwo jest złem i niekonieczną przerwą w życiorysie. A jeśli już się zdarzy, to tylko raz i jak najkrócej, byle jak najszybciej wrócić do „normalnego" życia i „realizować się" przy korporacyjnym biurku.

„Dominuje przekonanie, że kariera zawodowa jest najwyższą formą realizacji, a więc, że mamy być dokładnie takie jak mężczyźni. Feminizm powoduje, że kobiety realizują męski wzorzec życia. Tymczasem macierzyństwo nie jest dodatkiem do życia kobiety, jest czymś głęboko wpisanym w jej naturę nie tylko biologicznie, lecz także społecznie i duchowo" – mówi Karina Bosak. „Ciąża pokazywana jako zagrożenie jest wszak stanem naturalnym. Jeśli będziemy przedstawiać ją jako problem, to ona będzie problemem, jeśli będziemy pokazywać jako wartość – stanie się wartością" – przekonuje.

Tak, potrzebna jest kulturowa kontrrewolucja.

SEJFITYZM

Kilka wątków z konferencji:

- Ministrowie zwykli się chwalić, że państwo buduje żłobki i zachęca finansowo do umieszczania w nich dzieci, sądząc, że w ten sposób wspierają rodziny. Tymczasem w perspektywie rozwoju dziecka, a także strategii państwa, żłobek to zło. Czasem niestety konieczne, ale będące niepowetowaną szkodą dla rodziny i dziecka. Dziecko przez pierwsze kilkanaście miesięcy powinno być z matką, a nie w żłobku. „Gdzie się uczymy bliskości, więzi relacji? Od najbliższych. Jeśli w pierwszych latach życia odbieramy więzi z własnymi rodzicami, to nigdy już tego nie odbudujemy" – mówi Anna Przerwa ze Związku Dużych Rodzin.
- Przedsiębiorca César Lipka wskazał, że rodziny wielodzietne płacą większe podatki, co jest państwowym zniechęcaniem do rodzicielstwa.
- Za granicą żyje 400 tys. dzieci Polaków, którzy wyjechali po akcesji do UE. Nie sformułowaliśmy dla nich żadnego programu repatriacji, oferty stypendiów, pracy, szkoleń itp. A przecież część z nich rozważa powrót z powodu postępującej w stronę totalitaryzmu i zidiocenia Unii. Nie chcemy, by wrócili?
- Dorota Bojemska zwróciła uwagę na tzw. sejfityzm, czyli kulturową obsesję eliminowania jakiegokolwiek psychicznego dyskomfortu. Formowanie młodych ludzi, którzy nie są w stanie podjąć decyzji zakładającej jakiekolwiek ryzyko. Myślenie, że jeśli coś nie jest w 100 proc. bezpieczne, to znaczy, że jest niebezpieczne – blokuje rozwój. Ja nazwałbym to mocniej – to tchórzostwo umysłu zniewolonego kłamstwem, że dziecko to problem, a nie szczęście.

Tyle subiektywnej relacji. Ciąg dalszy nastąpi. Musi nastąpić. Budujemy program.

eprasa.pl 66e954e427



Dar Młodzieży w paradzie przed Gdyńską plażą

Fot. Andrzej Skwarczyński

Morza szum i ptaków śpiew zamiast alarmów bombowych

Wszystko wskazuje na to, że ten rok znów będzie dla polskiej turystyki przełomowy. Tak lubiane przez naszych rodaków kierunki letnich wyjazdów na Bliski Wschód – luksusowe kurorty Dubaju, egipskie resorty, słoneczny Cypr czy nawet sprawdzona Turcja – z dnia na dzień stają się strefami wysokiego ryzyka. Wybieramy więc bezpieczną Polskę. Tak jak w czasie pandemii COVID-19. Te analogie, choć odległe, nie są przypadkowe. Posłowie zaproponowali właśnie podobny jak podczas lockdownu mechanizm pomocy klientom biur podróży, którzy zostali zmuszeni do zmiany wakacyjnych planów



MACIEJ WOŚKO

Choć biura podróży, walcząc o przetrwanie, wciąż przekonują, że większość „destynacji" pozostaje dostępna, a wypoczynek „all inclusive" jest na wyciągnięcie ręki, rzeczywistość serwisów informacyjnych i zdjęcia bombardowanych dronami „bezpiecznych przystani" brutalnie weryfikują te zapewnienia. Polacy masowo wracają do wycieczek po kraju. Bałtyk, Tatry, Mazury i Bieszczady stają przed szansą na turystyczne oblężenie, jakiego nie widzieliśmy od lat. Pierwszym poważnym testem tej zmiany nastrojów były wyjazdy wielkanocne.

WOJNA ZA MIEDZĄ

Bezpośrednie działania wojenne obejmujące terytorium Iranu oraz liczne incydenty w regionach uznawanych dotąd za turystyczne raje zmuszają Polaków – i nie tylko nas – do gwałtownej rewizji urlopowych planów. Jeszcze rok temu Dubaj czy Szarm el-Szejk kojarzyły się wyłącznie z luksusem i gwarantowaną pogodą. Dziś zostały wyparte

eprasa.pl 66e954e427

przez doniesienia o rakietach spadających na instalacje gazowe w Katarze czy atakach dronów w samym sercu Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W tej nowej, niebezpiecznej rzeczywistości Polacy coraz częściej wybierają bezpieczeństwo nadbałtyckich plaż i przewidywalność tatrzańskich szlaków. Hasło „bezpieczne wakacje" przestało być pustym frazesem z broszury biura podróży, a staje się decydującym kryterium wyboru.

Sytuacja jest dynamiczna i budzi realny niepokój. Ministerstwo Spraw Zagranicznych odradza podróże na Bliski Wschód z powodu trwającej wojny. Resort bije na alarm, wskazując, że zagrożenie nie ogranicza się tylko do państw bezpośrednio zaangażowanych w wymianę ognia i zaleca zachowanie szczególnej ostrożności podczas podróży do Turcji, Egiptu, a nawet na Cypr.



Oferta turystyczna Bieszczad z roku na rok jest coraz szersza. Piesze wędrówki po górach są obecnie jedną z wielu opcji

Fot. Andrzej Skwarczyński

LOGISTYCZNY KOSZMAR

Oliwy do ognia dolała dramatyczna sytuacja turystów w pierwszych dniach ataku na Iran na przełomie lutego i marca. Problemy z powrotem do kraju z lotnisk w Dubaju czy katarskiej Dohy stały się udziałem tysięcy osób. Z powodu chaosu informacyjnego, braku sprawnej akcji rządu i strategii MSZ polegającej na założeniu: „Niech każdy radzi sobie sam, skoro tam poleciał" Polacy zaczęli analizować wakacyjne wybory, trasy przelotów i miejsca wypoczynku. Nagłe zmiany korytarzy powietrznych i masowe odwoływanie połączeń sprawiają, że powrót z egzotycznej podróży w każdej chwili może się zamienić w logistyczny i finansowy koszmar.

VOUCHER ZAMIAST WAKACJI

Oto jednak z pomocą tym, którzy mimo wszystko wykupili wycieczki w biurach podróży, a teraz liczą straty, przybywają posłowie sejmowej Komisji Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki, proponując nowelizację ustawy o imprezach turystycznych i powiązanych usługach turystycznych. Jak czytamy w portalu Prawo.pl: „Osoby, które miały zaplanowane wyjazdy w region Zatoki Perskiej, dostałyby vouchery do wykorzystania w ciągu najbliższych dwóch lat na inne wycieczki. Pozwoliłoby to im wybrać inną imprezę, zamiast rezygnować z umów i występować o zwrot środków z Turystycznego Funduszu Pomocowego".

„Z perspektywy organizatorów turystyki skuteczne i uzasadnione nieuniknionymi i nadzwyczajnymi okolicznościami odstąpienie od umowy o udział w imprezie turystycznej skutkuje koniecznością zwrotu podróżnemu środków z tytułu zawartej umowy w terminie 14 dni od złożenia oświadczenia o odstąpieniu. Biorąc pod uwagę skalę zjawiska oraz podobne doświadczenia z okresu epidemii COVID-19, konieczne było przedsięwzięcie środków zaradczych w zakresie utrzymania płynności finansowej przedsiębiorców turystycznych" – pisze w cytowanym przez portal uzasadnieniu projektu poseł Tadeusz Tomaszewski, przewodniczący komisji, wyznaczony do reprezentowania wnioskodawców.

LISTA GROZY

„Wnioskodawcy podkreślają, że nie chodzi o wszystkie imprezy turystyczne, ale tylko te w destynacjach wymienionych przez ministra sportu i turystyki oraz ministra finansów i gospodarki we wspólnym komunikacie, że wystąpiły tam nieuniknione i nadzwyczajne okoliczności, które umożliwiają uruchomienie wypłat dla podróżnych ze środków Turystycznego Funduszu Pomocowego. Chodzi o Arabię Saudyjską, Bahrajn, Iran, Izrael, Jordanię, Katar, Kuwejt, Liban, Oman, Palestynę i Zjednoczone Emiraty Arabskie" – informuje Prawo.pl.

Co ciekawe, nad zmianą przepisów pracuje też Komisja Europejska. Dotychczas prawo unijne pozwalało na darmową rezygnację z wyjazdu tylko wtedy, gdy niebezpieczne i nieprzewidziane zdarzenia dotyczyły celu podróży. Teraz ochrona ma zostać rozszerzona – pełny zwrot kosztów będzie przysługiwał także w przypadku utrudnień w miejscu wylotu lub innych okoliczności, które znacząco zakłócają zaplanowaną trasę wakacyjnego wyjazdu. Nowa dyrektywa chroniąca podróżujących po świecie jest już prawie gotowa, choć kraje członkowskie będą miały ponad dwa lata na jej wprowadzenie do przepisów krajowych.

Dziś nawet najbardziej zagorzali amatorzy błękitnych basenów w resortach nad Morzem Czerwonym zaczynają jednak kalkulować ryzyko. Strach przed utknięciem w strefie konfliktu sprawia, że oczy turystów kierują się tam, gdzie dojazd zależy od własnego samochodu i pełnego baku, a nie od decyzji linii lotniczych, rządu czy informacji o zamknięciu przestrzeni powietrznej nad kolejnymi krajami.

STATYSTYCZNY ODWRÓT

Liczby potwierdzają, że strach przed eskalacją konfliktu jest zjawiskiem powszechnym. Według badań przeprowadzonych przez agencję My Luxoria „aż 37 proc. Polaków zdecydowało się zmienić swoje wakacyjne plany przez

eprasa.pl 66e954e427

sytuację na Bliskim Wschodzie". To potężna grupa konsumentów, która nagle „wypadła" z rynku wycieczek zagranicznych. Szczegółowa analiza pokazuje, że co czwarta osoba z tej grupy deklaruje wybór innego, bezpieczniejszego kierunku, a blisko 12 proc. ankietowanych całkowicie rezygnuje z wyjazdów poza granice kraju w nadchodzącym sezonie.

Ten trend znajduje bezpośrednie odzwierciedlenie w systemach rezerwacyjnych polskich obiektów. Eksperci portalu Travelist.pl odnotowali zjawisko, które można nazwać „marcowym tąpnięciem". W pierwszych 11 dniach marca liczba rezerwacji była aż o 70 proc. wyższa niż rok wcześniej. To drastyczny skok, biorąc pod uwagę, że jeszcze w styczniu i lutym wzrosty oscylowały w granicach zaledwie 4–5 proc. Najwyraźniej szukamy stabilizacji, która pozwoli nam na wypoczynek w kraju, bez obaw o niespodziewany atak.

POLSKA – NOWA BEZPIECZNA PRZYSTAŃ

Renesans krajowych wczasów to nie tylko statystyki, lecz przede wszystkim zmiana filozofii podróżowania. Jak zauważa Agnieszka Rzeszutek, ekspert portalu Nocowanie.pl: „Turyści nadal chcą wyjeżdżać, natomiast zmienia się sposób podejmowania decyzji. Coraz częściej są to krótsze pobyty w kraju, planowane bliżej terminu i powiązane z konkretną okazją lub wydarzeniem". Doskonałym przykładem były święta wielkanocne. Liczba rezerwacji miejsc noclegowych na Wielkanoc w Polsce wzrosła rok do roku o ponad 25 proc.

Krajowa turystyka daje nam bowiem właśnie to poczucie przewidywalności, którego brakuje dziś za granicą. Kluczowym argumentem staje się możliwość dojazdu własnym samochodem, co eliminuje stres związany z chaosem na lotniskach. Wprawdzie rosnące z dnia na dzień ceny paliw mogą skutecznie ostudzić nasze plany na samochodowe wycieczki po Polsce, jednak perspektywa wypoczynku „we własnym domu" pozostaje wciąż kluczowa.

W cenie są nie tylko klasyczne miejscowości, jak Zakopane czy Kołobrzeg, Szklarska Poręba czy Karpacz, lecz także duże miasta, oferujące dodatkowe atrakcje w czasie tzw. city breaków dla całych rodzin – Kraków, Poznań czy Warszawa.

Jak informuje Polska Agencja Prasowa, najpopularniejszymi kierunkami na lato są Kołobrzeg, Gdańsk, Zakopane, Karpacz i Świnoujście. Rośnie również zainteresowanie mniej oczywistymi lokalizacjami. W ostatnich miesiącach dynamiczny wzrost liczby rezerwacji odnotowały m.in. Nałęczów, Kazimierz Dolny, Białystok czy Istebna.

Według danych udostępnionych przez Travelist.pl „liczba krajowych rezerwacji na lato 2026 jest obecnie już o ok. 21 proc. wyższa rok do roku względem analogicznego okresu sprzedaży wakacji 2025". Oznacza to, że najlepsze oferty znikną z rynku szybciej niż zwykle

RACHUNEK ZA SPOKÓJ

Niestety tam, gdzie gwałtownie rośnie popyt przy ograniczonej podaży, w górę idą ceny. „Wzrost popytu widać także w cenach noclegów. W wielu popularnych lokalizacjach średni koszt za osobę za noc wzrósł rok do roku nawet o kilkadziesiąt procent".

Dane z portalu Nocowanie.pl nie pozostawiają złudzeń co do skali podwyżek w najbardziej obleganych kurortach. W Kołobrzegu w czasie marcowych wyjazdów turyści musieli się liczyć ze średnim wydatkiem w wysokości ok. 123 zł za osobę za noc, podczas gdy rok wcześniej było to 87 zł. W Krakowie cena wzrosła do ok. 137 zł ze 114 zł.

Zjawisko to nie jest jednak jednolite, co daje szansę bardziej oszczędnym podróżnym. W części lokalizacji ceny pozostają stabilne lub lekko spadają. Dotyczy to m.in. Gdańska (ok. 111 zł vs 134 zł rok wcześniej), Międzyzdrojów (98 zł vs 109 zł) czy – o dziwo – Zakopanego (101 zł vs 158 zł). Te różnice pokazują, że przy odrobinie wysiłku można znaleźć oferty pozwalające na bezpieczny urlop, nie rujnując domowego budżetu.

OSTATNI DZWONEK

Wszystko wskazuje na to, że tegoroczny sezon wakacyjny będzie w Polsce rekordowy pod każdym względem. Według danych udostępnionych przez Travelist.pl „liczba krajowych rezerwacji na lato 2026 jest obecnie już o ok. 21 proc. wyższa rok do roku względem analogicznego okresu sprzedaży wakacji 2025". Oznacza to, że najlepsze oferty znikną z rynku szybciej niż zwykle.

Eksperci komentują, że w tym roku nad polskie wybrzeże Bałtyku i w polskie góry mogą napłynąć nie tylko nasi rodacy. Dr Adam Karpiński, ekspert ds. turystyki, w rozmowie z portalem WP Finanse wskazuje na ciekawy wątek międzynarodowy: „Jeżeli strefa zagrożenia rozciągnie się na Bałkany, istnieje także szansa, że podróżni z Niemiec i Czech zamiast Adriatyku wybiorą w tym roku polskie morze". Taka konkurencja o miejsca noclegowe może doprowadzić do kolejnych skoków cenowych. „Popularne destynacje, które już wcześniej były oblegane przez turystów, mogą w związku z tym podnieść ceny" – dodaje dr Karpiński.

Marcowy skok rezerwacji o 70 proc. to wyraźne ostrzeżenie. Czekanie na oferty typu last minute w Polsce w tym roku może się okazać błędną strategią – zamiast obniżki, turyści mogą zastać tabliczki z napisem „Brak wolnych miejsc" lub zaporowe ceny. Może zatem warto się pospieszyć z zaplanowaniem tegorocznych wakacji w Polsce. Nad Bałtykiem? W górach? I zamiast alarmów bombowych na złotej plaży pośród drzew posłuchać szumu morza i śpiewu ptaków.

Autopromocja

eprasa.pl 66e954e427

STUDIO
MAGDALENY OGÓREK

- wieczorne rozmowy
- wyjątkowi goście
- ważne dla Polski sprawy



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 66e954e427

Przyszły chude lata w infrastrukturze



Wkładaliśmy wielki wysiłek w likwidację wykluczenia komunikacyjnego, np. wprowadziliśmy kolejowy program przystankowy. Stosunkowo niedużymi nakładami były budowane albo odnawiane przystanki kolejowe. Ma to szczególne znaczenie dla małych miejscowości. Obecny rząd wyznaje pogląd, że nie ma sensu budować, bo nie ma dla kogo

Z Andrzejem Adamczykiem, posłem Prawa i Sprawiedliwości, ministrem infrastruktury w latach 2015–2023, rozmawia Jerzy Szmit

Jak pan ocenia ponad dwa lata działania rządu Donalda Tuska w obszarze infrastruktury?

Andrzej Adamczyk: Ani kroku do przodu. Zaczęli oczywiście od prób rozliczeń. Potem były działania nazywane przez nich „optymalizacjami", a to w praktyce było ograniczanie – w efekcie opóźnianie, a czasem także wstrzymanie dalszych prac.

Najbardziej drastyczne przykłady?

Port zewnętrzny w Świnoujściu, inwestycje na Odrze, komponent kolejowy Centralnego Portu Komunikacyjnego (tam wycięto 75 proc. inwestycji). Jest jeszcze coś równie groźnego. Rafał Weber, były wiceminister infrastruktury, zapytał, ile w czasie rządów Donalda Tuska złożono wniosków o wydanie decyzji środowiskowych dla inwestycji z Programu Budowy Dróg Krajowych i Autostrad. To niewiarygodne, ale ten gabinet złożył jeden wniosek o decyzję środowiskową! To pokazuje „skuteczność" inwestora i oznacza paraliż branży budowlanej w najbliższych latach. Przekazaliśmy następcom dokumentacje do inwestycji, z których miało powstać 1,2 tys. km autostrad i dróg ekspresowych. Były na różnym etapie przygotowania, ale większość po przetargach, a część z podpisanymi umowami. Wszystkie inwestycje oddawane teraz były rozpoczęte przez rząd Prawa i Sprawiedliwości. Ten rząd praktycznie nie

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 66e954e427

przygotował żadnej dużej inwestycji od początku, czyli od programu inwestycyjnego. Powtórzę: jedna decyzja środowiskowa w roku. W naszych czasach było ich kilkadziesiąt.

Ale oprócz wielkich inwestycji są jeszcze mniejsze.

Wielki wysiłek wkładaliśmy w likwidację wykluczenia komunikacyjnego, np. z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy wprowadziliśmy kolejowy program przystankowy. Stosunkowo niedużymi nakładami były budowane albo odnawiane przystanki kolejowe. Ma to szczególne znaczenie dla małych miejscowości, przez które pociągi tylko przejeżdżały z wielkim hukiem. Teraz mogą się zatrzymać i obsługiwać pasażerów. Samorządy urządzają przy nich parkingi. Powstają lokalne węzły komunikacyjne. Tak to działa w Małopolsce, gdzie Koleje Małopolskie organizują autobusowe linie dowozowe do przystanków kolejowych. Do takich rozwiązań przymierza się województwo lubelskie. To tworzy spójny system komunikacyjny.

Obecny rząd wyznaje pogląd, że nie ma sensu budować, bo nie ma dla kogo. Podobnie było z Via Carpatia – drogą S19. Mówiono: „Po co budować odcinek między Lublinem a Rzeszowem czy Lublinem a Białymstokiem, przecież tam nie ma ruchu". A były to wyjątkowo niebezpieczne drogi. Nie brali pod uwagę, że budowa dróg ma być nie tylko odpowiedzią na istniejący ruch, lecz także generatorem i katalizatorem ruchu. Dzisiaj, gdy Via Carpatia nabiera w Polsce ostatecznego kształtu, panuje na niej duży ruch i już odczuwamy pozytywne efekty tego. Dzięki wsparciu naszego rządu w różnym stopniu zmodernizowano i wybudowano 50 tys. km dróg lokalnych, a wsparcie dochodziło do 80 proc. kosztów. Obecny gabinet w ogóle o tym nie myśli.

W pańskich czasach Ministerstwo Infrastruktury działało aktywnie również na arenie międzynarodowej.

Ministerstwo powinno zabiegać o interes państwa. W 2013 r. odbyła się aktualizacja sieci europejskich korytarzy transportowych TEN-T. Protestowaliśmy wówczas, że korytarz komunikacyjny od Bałtyku jest skierowany ku Warszawie, potem na Śląsk, a omija Polskę wschodnią. Ówczesny rząd Donalda Tuska w ogóle nie angażował się w sprawę. Przy następnej aktualizacji w 2023 r. doprowadziliśmy do tego, że Unia Europejska podjęła decyzję o wpisaniu korytarza Trójmorza – a w nim Via Carpatia – do europejskiej bazowej sieci TEN-T, a to oznacza, że ostatecznie będą one zrealizowane i łatwiej będzie o ich dofinansowanie.

Czy te wysiłki są kontynuowane?

Na poprzednim posiedzeniu Sejmu zapytałem wiceministra odpowiedzialnego za transport kolejowy, czy były podejmowane rozmowy w sprawie budowy kluczowego dla Międzymorza szlaku kolejowego Rail Carpatia. Usłyszeliśmy, iż żadnych rozmów nie było i sprawa nie jest rozważana.

Za pańskich czasów było inaczej.

Przekonywaliśmy o potrzebie budowy szlaków komunikacyjnych północ–południe. Proszę spojrzeć na mapę: korytarz komunikacyjny Międzymorza biegnie od Finlandii przez Estonię, Łotwę, Litwę, Polskę, Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię, Grecję po Cypr. Trzeba było wielkiego wysiłku, aby wykonać swego rodzaju koordynację, skłonić do działania, uświadomić korzyści. Za rządów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego rozmawialiśmy o tym przy każdej okazji. Organizowaliśmy spotkania, konferencje. Na konferencji w Rzeszowie w 2023 r. byli obecni ministrowie z 32 państw. Wielką pracę w instytucjach UE wykonał europoseł Tomasz Poręba. W nasze sprawy związane z korytarzem udało się zaangażować nawet Stany Zjednoczone. To przyniosło decyzje, działania i efekty. W Międzymorzu coraz łatwiej podróżować na trasie północ–południe. Przecinamy schemat, w którym skazano nas na komunikację wschód–zachód. Mieliśmy być na tym kierunku ścieżką tranzytową, dostarczycielem taniej siły roboczej i konsumentem towarów wytwarzanych gdzie indziej. Donald Tusk rozumie to inaczej i nie widzi choćby potrzeby namawiania Słowacji, aby dokończyła newralgiczny odcinek Via Carpatia przy granicy z Polską, tj. od Barwinka do Svidníka. Musimy wrócić do dbania o polski interes.

Znowu słyszymy, że nie ma pieniędzy. Czy brakuje też na infrastrukturę?

Inwestycje infrastrukturalne są obecnie finansowane z pożyczki KPO, której wypłatę blokował Tusk, będąc w opozycji. Przez to mamy dwa lata opóźnienia. Oni realizują tylko to, co przygotowaliśmy, rozpoczęliśmy i zapewniliśmy finansowanie. Nie zaczynają nowych projektów, bo uważają, że dróg i kolei w Polsce już wystarczy. Zamiast realizować już gotowe, krytykują je i cofają, analizują nowe warianty. Cel jest oczywisty: opóźniać realizację. Wobec tego Ministerstwo Infrastruktury nie ma wielkich potrzeb finansowych, skoro nowych prac się nie rozpoczyna. Jeden z przykładów to biegnąca przez Mazury droga S16 na odcinku Mrągowo–Ełk. Przez 30 lat opracowano ponad 40 wariantów jej przebiegu. Wszystkie były oprotestowywane. Za naszych czasów w wielkich bólach wypracowaliśmy kolejny. Wystarczyło sprawę poprowadzić. Ale nie, mają powstać nowe warianty. A przecież to jedna z najważniejszych dróg ze względu na bezpieczeństwo Polski. Ekipa Tuska rządzi już 28 miesięcy, nie ma własnego dorobku w zakresie infrastruktury.

Czy konferencja programowa w Łomży określiła, co dla kraju w obszarze infrastrukturalnym proponuje PiS?

Zacznę od tego, że konferencja w Łomży pokazała, jak dużym zapleczem eksperckim dysponuje Prawo i Sprawiedliwość. To było budujące. Ponadto szczegółową dyskusję o CPK oraz o portach morskich odłożyliśmy na oddzielną konferencję, która odbędzie się niebawem. Wiele uwagi poświęciliśmy kolei, mając na uwadze, że w naszych czasach wybudowaliśmy ponad 2,1 tys. km autostrad i dróg ekspresowych. Wsparliśmy budowę czy poprawę stanu ponad 50 tys. km dróg lokalnych. Teraz naszym głównym celem będzie likwidacja wykluczenia komunikacyjnego z większym wykorzystaniem kolei. Można przyjąć, że zamierzamy doprowadzić kolej do większości powiatów. Aby zwiększyć jej dostępność i wykorzystanie, należy ją powiązać z dowozowymi liniami autobusowymi, a więc wspierać samorządy województw.

Skąd pozyskiwać tabor?

Po polskich torach muszą jeździć pociągi produkowane w polskich fabrykach, a nie sprowadzany niemiecki wagonowy szrot

eprasa.pl 66e954e427

czy nowy tabor kupowany za granicą za ciężkie pieniądze. Nie ma zgody na eliminowanie przez obecną koalicję polskich producentów taboru z przetargów na najbardziej korzystne zamówienia. Tylko ten, kto dostaje zamówienia, może się rozwijać. Na nasze tory wpuszczono zagranicznych przewoźników, a można było z tym poczekać.

Po napaści Rosji na Ukrainę ukraińscy przewoźnicy bez ograniczeń wkroczyli na europejski rynek, wypierając nas w znacznym stopniu.

Umowę z Ukrainą podpisała Komisja Europejska, nikogo nie pytając o zdanie. Twierdziła, że jest konieczna, ale chwilowa. Działacze PO i PSL kłamali, że to nasza wina. Gdy doszli do władzy, buńczucznie twierdzili, że odkręcą sprawę. A za ich rządów umowa została przedłużona do marca 2027 r. I nie słychać, aby obecny rząd choćby próbował ją zakończyć. Bruksela twierdziła, że po wprowadzeniu pakietu mobilności nie będzie więcej uderzeń w polski transport. To były puste obietnice. Co więcej, obecny gabinet dodatkowo podniósł opłaty za przejazd drogami szybkiego ruchu dla transportu towarowego i nakłada kolejne obciążenia na branżę. Te drastyczne działania w czasie olbrzymich turbulencji gospodarczo-finansowych nie są akceptowalne ani przez środowisko transportowców, ani przez nas.

Straciliśmy pozycję lidera w europejskim transporcie samochodowym.

Niestety. A jak to ocenił w 2024 r. członek rządu Tuska, wiceminister infrastruktury? Na posiedzeniu sejmowej komisji próbował obciążyć winą za problemy polskich firm transportowych rząd PiS. Na koniec oświadczył: „Jak się z UE i KE nie rozmawia, nie wysyła się żadnych sygnałów, twierdzi się, że samemu jest się gospodarzem we własnym domu i można tam wszystko, jak się chce nawet decydować w Polsce o tym, co dzieje się w Ukrainie, to niestety takie są efekty". To deklaracja unijnego wasala, a nie członka rządu suwerennego państwa. Czy taki rząd może zabiegać w Brukseli o silną pozycję naszych przewoźników? Odpowiedzmy sobie sami...

Czy spotykał się pan gdzieś z taką postawą?

Absolutnie nie! Po tym, co się wydarzyło, mamy prawo podejmować trudne decyzje. W 2014 i 2015 r. rządy Niemiec i Francji wprowadziły przepisy uderzające m.in. w nasze firmy transportowe. Nawet sądy w tych państwach kwestionowały ich legalność. We Francji przeprowadzał to ówczesny minister gospodarki, a teraz prezydent Emmanuel Macron. Później, gdy na oficjalnym spotkaniu z francuskim ministrem transportu mówiłem o niezgodności tych przepisów z prawem europejskim, usłyszałem: „Rozumiem twój niepokój i dbałość o wasze firmy transportowe, nawet wraz z tobą nad tym ubolewam. Przestaję to rozumieć i przestaję z tobą ubolewać nad losem twoich firm transportowych, kiedy przekraczamy granice Francji, bo w moim kraju rozumiem tylko interes francuskiego przedsiębiorcy". To jest Europa, przed którą politycy koalicji Tuska padają na kolana.

> Po polskich torach muszą jeździć pociągi produkowane w polskich fabrykach, a nie sprowadzany niemiecki wagonowy szrot czy nowy tabor kupowany za granicą za ciężkie pieniądze. Nie ma zgody na eliminowanie przez obecną koalicję polskich producentów

Czy PiS ponownie postawi na rozwój polskich portów?

Oczywiście! Czy komuś się to podoba, czy nie, będziemy budować port zewnętrzny w Świnoujściu. Nasze porty muszą być bardziej konkurencyjne. Nie boimy się tego, że stracą na tym porty niemieckie. Dzięki naszemu położeniu możemy prowadzić wielki handel i zarabiać wielkie pieniądze. Tylko w jednym roku polskie porty zasiliły budżet państwa kwotą 52 mld zł. Przypomnę też o projekcie suchego portu w Małaszewiczach. Na jego przykładzie widać niechęć rządu do wzmacniania naszej gospodarki. Przez dwa lata nie zrobiono tam nic i spowodowano dalsze opóźnienia. Prace powinny już dobiegać końca, a dokonano dopiero zmian własnościowych. O rozwój Małaszewicz walczy senator Grzegorz Bierecki. Obecnie przygotował projekt nowelizacji przyjętej wcześniej przez PiS ustawy, aby dostosować ją do powstałych opóźnień. Są w niej zapisane daty i kwoty finansowania, więc trzeba to zrobić. Z opóźnień cieszą się przede wszystkim Niemcy i ich budżet. Bo zamiast w Małaszewiczach, pieniądze z ceł i VAT, który odprowadzają importerzy towarów do UE, zostają w Niemczech. A mówimy o dziesiątkach miliardów złotych. Tak wygląda proniemiecka polityka Tuska. Panie premierze, może zechciałby pan temu zaprzeczyć? A może pan o niczym nie wie? Więc mówię!

W Krakowie będzie referendum w sprawie odwołania prezydenta Miszalskiego z Koalicji Obywatelskiej.

Zdecydują Krakowianie, ale ta inicjatywa obywatelska ma szansę powodzenia. Zebrano 134 tys. podpisów, a wystarczyło 58 tys. Miszalski dramatycznie zadłużył miasto, otoczył się niekompetentnymi ludźmi, zachowuje się w sposób, który w Krakowie budzi oburzenie. W kampanii wyborczej naobiecywał wiele, a działa wbrew temu, co mówił. Katastrofą jest pomysł strefy czystego transportu czy podwyżka cen biletów komunikacji miejskiej. Szczytne hasła wyjęte z Zielonego Ładu, a w końcu sięganie głęboko do kieszeni Krakowian. Teraz wycofuje się, przeprasza za wcześniejsze decyzje, ale w odbiorze społecznym to jeszcze umacnia opinię, że jest nieprzewidywalny. Krakowianie są ludźmi roztropnymi. Jestem przekonany, że pójdą do referendum i odwołają Miszalskiego. A jeżeli uda się w Krakowie, to może udać się we Wrocławiu, w Poznaniu, Gdańsku, Łodzi i innych miejscach, czego ich mieszkańcom szczerze życzę.

eprasa.pl 66e954e427

Gdy padnie twierdza Węgry

Wyborcza porażka Viktora Orbána przyniesie to samo, co rządy Donalda Tuska – zwrot ku unijnemu centralizmowi, zgodę na imigrację i polityczne represje. Unijna oligarchia tylko czeka na upadek naddunajskiej twierdzy





MACIEJ WALASZCZYK

W historii Węgier były już podobne sytuacje. W XIX w. – z jednej strony powstanie 1848 r. i chęć odzyskania pełnej niepodległości, a z drugiej ugoda z Austrią z 1867 r. i możliwość współtworzenia jednego państwa składającego się z autonomicznego królestwa. Dziś w strategii „orbanizmu" chodzi o umocnienie suwerenności, a ugoda z Unią Europejską będzie oznaczać pogłębianie zależności od Brukseli.

Nadchodzące wybory zaplanowane na 12 kwietnia to najważniejsze wydarzenie polityczne w Europie, o czym wiedzą nie tylko obie rywalizujące o władzę nad Dunajem strony, lecz także ich stronnicy na całym świecie. To, co się tam dzieje, przypomina dynamiką sytuację w Polsce, która jesienią 2023 r. doprowadziła do utraty władzy przez Zjednoczoną Prawicę. Zmęczona i odczuwająca skutki wojny, pandemii oraz unijnych szykan finansowych polityka firmowana przez Viktora Orbána dostała lekkiej zadyszki. Turbulencje gospodarcze, w jakie wpadła po 2020 r., dały opozycji szansę na przegrupowanie i polityczny tlen, z którego bezwzględnie korzysta.

Podobnie jak Koalicja Obywatelska i Trzecia Droga, które przebrały się w narodowe barwy, chowając tęczowe i unijne flagi, także na Węgrzech udało się rozbudzić potrzebę zmiany, również pokoleniowej i ideologicznej, podlanej gęstym sosem antykorupcyjnej krucjaty i obietnicą przywrócenia dostępu do odebranych Węgrom środków unijnych. Jeśli zwycięży TISZA, a więc wykreowana w ostatnich latach partia Pétera Magyara, otworzy to drogę do radykalnych zmian. Nie przypadkiem zapowiada się odbudowę relacji z Polską – czytaj: z Tuskiem i jego proberlińską ekipą z wszystkimi tego konsekwencjami.

SPROWADZIĆ WĘGRY DO PARTERU

Przeciwnicy Orbána często mu zarzucają, że jako premier niespełna 10-milionowego kraju jest graczem zbyt wpływowym w stosunku do skromnego potencjału. Nie ma jednak wątpliwości, że w Europie, a nawet dla części świata, stał się kimś istotnym – symbolem oporu wobec globalizacji i brukselskiej biurokracji. Niewielkie Węgry jako jedyne przeszkadzają dziś w budowie centralistycznej i federalnej Europy, zręcznie balansując politykę wielkich graczy, takich jak Paryż i Berlin i ich satelitów.

Euronews szacuje, że większość grup parlamentarnych – łącznie ponad trzy czwarte posłów do Parlamentu Europejskiego – jest przeciwko liderowi Fideszu. Politycy Europejskiej Partii Ludowej mówią otwarcie, że obalenie Orbána jest dziś kluczem dla przyszłości UE. Dlatego także Jarosław

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 66e954e427

Kaczyński nie tylko poparł go przed nadchodzącymi wyborami, lecz także w obszernym wywiadzie dla tygodnika „Mandiner" podkreślał, że jego wygrana będzie ważna też dla Europy i jego politycznych sojuszników. W ocenie prezesa Prawa i Sprawiedliwości utrzymanie się Orbána przy władzy pociągnie za sobą w przyszłości zwycięstwo PiS oraz francuskiej prawicy, a także będzie wsparciem dla premier Giorgii Meloni, osłabionej niedawną porażką referendum w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości.

DROGA ENERGIA

Jednym z haseł mobilizujących elektorat Fideszu jest zapowiedź „trzymania Węgier z dala od wojny". Powrót Donalda Trumpa sprawił, że Węgry stały się jednym z najbliższych europejskich partnerów dla jego administracji. Łączy je współpraca wojskowa, chęć zakończenia pokojem wojny na Ukrainie, a także wspólnota między celami ruchu MAGA a narodowym konserwatyzmem Fideszu. Dzięki nim Orbán zgodził się na konieczność dywersyfikacji dostaw surowców i jednocześnie zabiegał o zrozumienie sytuacji swojego kraju, zyskując czasowe wyłączenie Węgier spod restrykcji dotyczących rosyjskiej ropy.

Kilka dni temu ujawniono dokument przedstawiany jako opozycyjny program polityki energetycznej. Stwierdza się w nim, że Węgry muszą ostatecznie rozwiązać swoje konflikty z Komisją Europejską i Ukrainą oraz że „nie jest to możliwe bez merytorycznych kompromisów", w tym bez stopniowego wycofywania rosyjskich źródeł energii. Będzie to oznaczać skokowy wzrost cen energii dla gospodarki i gospodarstw domowych oraz drenaż ich portfeli. A więc dokładnie to, co stało się w Polsce Donalda Tuska. A do tego prywatyzację MVM, spółki mającej na Węgrzech monopol na produkcję, dystrybucję i sprzedaż energii elektrycznej. Jeśli ukraiński prezydent przyczynił się do upadku prawicowych rządów w Polsce, to z pewnością będzie mógł pogratulować sobie także utrącenia niezatapialnego dotąd Wiktora Orbána.

PONURE DZIEDZICTWO SOCJALISTÓW

Krytycy węgierskiego przywódcy nie chcą pamiętać o tym, w jakiej sytuacji gospodarczej stanowisko premiera porzucał Ferenc Gyurcsány, szef Węgierskiej Partii Socjalistycznej, będącej niegdyś głównym rywalem Fideszu. Dziś jego formacja polityczna nie ma znaczenia, a on sam rok temu definitywnie wycofał się z polityki. W maju 2006 r. na zamkniętym spotkaniu z rozbrajającą szczerością stwierdził: „Kłamaliśmy rano, nocą i wieczorem". Gdy ujawniono nagrania z tą wypowiedzią, na Węgrzech wybuchły trwające wiele dni zamieszki, a po czterech latach Fidesz i Orbán triumfalnie zdobywali większość pozwalającą na zmiany w konstytucji oraz całkowite przeformułowanie dotychczasowej polityki tego państwa.

W 2009 r. Gyurcsány tłumaczył swoją rezygnację wyłącznie kryzysem gospodarczym, do którego dochodził permanentny impas polityczny. Kłamał, bo ukrywał prawdziwą sytuację finansów publicznych, na którą nakładało się rosnące bezrobocie, osłabienie forinta i kłopoty spłacających kredyty oraz głęboka recesja. W 2008 r., by uniknąć niewypłacalności, rząd socjalistów skorzystał z pakietu pomocowego o wartości 20 mld euro, udzielonego przez MFW i UE. Czy tak będzie również, gdy rządy obejmie TISZA? Bardzo możliwe, bo po ponad dwóch latach rządów koalicji 13 grudnia mamy rekordowy wzrost zadłużenia, drożyznę w sklepach, na stacjach paliw, wzrost bezrobocia i zwolnienia grupowe oraz kiepskie nastroje społeczne.

CENA ZA SUWERENNOŚĆ

Po 2010 r. Węgry zbudowały własny model rozwojowy, odchodząc od jedynego i słusznego wzorca neoliberalnego. Będąc jednocześnie wielkim zapleczem produkcyjnym, m.in. dla Niemiec, korzystały z taniej energii, wielkich unijnych funduszy i świetnych relacji z Angelą Merkel.

Tak skonstruowana „suwerenna" gospodarka z aktywną rolą państwa przez wiele lat była sukcesem. Uderzyły w nią



Péter Magyar, lider partii TISZA

eprasa.pl 66e954e427

jednak niekorzystne wydarzenia, takie jak pandemia, a potem skutki wojny na Ukrainie, która przyniosła kryzys energetyczny, a do tego nastąpiło celowe wstrzymanie przez Komisję Europejską wypłat znacznej części środków unijnych. Doprowadziło to do gwałtownego spadku wartości forinta, wstrzymało projekty budowlane w całym kraju i zmusiło rząd do zaciągania niekorzystnych pożyczek zwiększających dług. Wszystkie te zjawiska obnażyły podatność węgierskiej gospodarki na wstrząsy, kończąc okres stabilnego wzrostu i określiły cenę, jaką Węgry muszą zapłacić za prowadzenie ambitnej polityki.



Jednak łamiąc kluczowe elementy doktryny neoliberalnej, rząd Orbána pokazał, że możliwe jest skuteczne kwestionowanie brukselskiego dyktatu. Fidesz gwarantował wszystkim swoim sojusznikom wzmocnienie międzyrządowego charakteru Unii i ograniczanie jej wpływu na wewnętrzne sprawy państw członkowskich. I to podkreśla Kaczyński, bo po zwycięstwie Tuska i koalicji 13 grudnia dziś jedynie Węgry i Słowacja stawiają Brukseli konsekwentny opór.

PAKT MIGRACYJNY I EURO

Nie bez powodu TISZA jest atakowana jako „partia zagranicy", bo choć imituje program dawnego Fideszu, konsekwentnie nie ujawnia swoich zamiarów poza tym, że pragnie obalić rządzącego Węgrami od 16 lat premiera.

Partia Magyara jednoznacznie dystansuje się od tzw. nieliberalnej demokracji, mówi o konieczności zmian w relacjach z Waszyngtonem, które jednocześnie wiąże z „normalizacją stosunków" z UE. Podnoszone argumenty są takie same, jak te, które podnosiła ekipa Tuska. A to w konsekwencji oznacza np. przyjęcie przez Węgry paktu migracyjnego.

W 2015 r. to posterunki na węgierskiej granicy stały się polem bitwy ze szturmującymi je grupami imigrantów. Orbán nie bez powodu przypomina, że odpierając kolejne fale uchodźców, budując zaporę na zewnętrznej granicy Unii Europejskiej, jako pierwszy osiągnął sukces na tym polu. A jego kraj na własnych warunkach gości u siebie legalnych gastarbeiterów spoza Europy, ograniczając niemal do zera napływ nielegalnych imigrantów, których – jak słusznie przypominał rzecznik rządu Zoltán Kovács – unijne elity same zaprosiły do Europy.

Péter Magyar, deklarując porozumienie z Brukselą, faktycznie zapowiada zgodę na relokację uchodźców i ponoszenie przez Węgry dodatkowych kosztów z tego tytułu. Jako były polityk Fideszu został wykreowany na głównego politycznego rywala Orbána. Ten został więc dodatkowo i celowo osłabiony utratą ponad miliarda euro unijnych funduszy z polityki spójności. Był to pierwszy tego rodzaju przypadek w historii UE, a Węgry jako kraj członkowski faktycznie zostały ukarane za prowadzoną przez siebie politykę. Stąd stosowana przez węgierskiego przywódcę taktyka blokowania lub opóźniania decyzji w Radzie Europejskiej, m.in. w kwestii sankcji przeciw Rosji czy wsparcia dla Ukrainy. TISZA przeciwnie, zapowiada ugodę z Komisją Europejską oraz Niemcami i Francją, a do tego wyraża po cichu gotowość przyjęcia euro. A także przekształcenia tropiącego próby wpływania na węgierską politykę przez zagraniczne podmioty Biura ds. Ochrony Suwerenności w Krajowe Biuro ds. Odzyskiwania i Ochrony Majątku, które będzie zapewne wykorzystywane do politycznych szykan.

Łamiąc kluczowe elementy doktryny neoliberalnej, rząd Orbána pokazał, że możliwe jest skuteczne kwestionowanie brukselskiego dyktatu. Fidesz gwarantował wszystkim swoim sojusznikom wzmocnienie międzyrządowego charakteru Unii i ograniczanie jej wpływu na wewnętrzne sprawy państw członkowskich. Wygrana Magyara to zmieni

„DEPOLITYZACJA" WĘGIERSKIEJ MNIEJSZOŚCI

Jednym z głównych filarów politycznej tożsamości Fideszu było objęcie opieką mniejszości węgierskich żyjących poza granicami kraju. Od momentu dojścia do władzy państwo konsekwentnie wspierało rodaków w Rumunii, na Słowacji, w Serbii i na zakarpackiej Ukrainie. Były to ułatwienia w uzyskiwaniu obywatelstwa, pieniądze na węgierskie szkoły i instytucje kulturalne. Najważniejsze było jednak przyznanie im prawa głosu w wyborach parlamentarnych. Jak podaje w swojej analizie Ośrodek Studiów Wschodnich, Węgrzy mieszkający w Siedmiogrodzie, na południu Słowacji i Wojwodinie w zdecydowanej większości głosują na Fidesz, co przekłada się na jeden, dwa mandaty i stanowi stabilne zaplecze partii w wyborach. Dlatego zachodzi obawa, że TISZA we własnym interesie rozmontuje ten mechanizm pod hasłem „depolityzacji relacji z organizacjami mniejszościowymi".

Viktor Orbán jest obecnie najdłużej urzędującym przywódcą wśród krajów UE. Jego rządy zagwarantowały stabilizację polityczną, a jego silna pozycja wynika wyłącznie z wielkiej i utrzymującej się przez te lata legitymizacji demokratycznej. Utrata przez Fidesz władzy z pewnością wywoła szok. Najbardziej radykalni komentatorzy pragną wysłać go na emeryturę. On sam podkreśla jednak, że jest nie tylko rekordowo urzędującym premierem, lecz także doświadczonym, z najdłuższym stażem opozycjonistą. Czy węgierska twierdza zostanie wzięta? Oby utrzymała się jak legendarny Eger.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 66e954e427



Brunatne życiorysy



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Ujawnienie przez Archiwum Narodowe Stanów Zjednoczonych imion, nazwisk, dat urodzin i numerów legitymacji partyjnych milionów członków NSDAP wzbudziło sensację na świecie oraz spory dyskomfort w wielu niemieckich rodzinach

Jeden chciał pomóc przywrócić pokój i porządek w ojczyźnie. Drugi stracił zaufanie do ugruntowanych partii i czuł się wykorzystywany jako mięso wyborcze. Trzeci zainteresował się narodowymi socjalistami, ponieważ miał wrażenie, że prasa kłamie. Tak latem 1934 r. Niemcy opisywali powody, dla których wstąpili do NSDAP.

Byli wśród nich Friedrich Jörns z Eschwege koło Kassel, Ernst Seyffardt z Duisburga czy nauczyciel Michael Schwarz z Obernhain w Turyngii. Ich zeznania zebrał amerykański socjolog Theodore Fred Abel, który po tym, jak nie udało mu się nawiązać bliższych kontaktów z członkami NSDAP w celach badawczych, wpadł na pomysł, by zorganizować w III Rzeszy konkurs na „najlepszą osobistą historię życia zwolennika ruchu hitlerowskiego". Aby wziąć udział w konkursie, należało być członkiem partii nazistowskiej jeszcze przed 1933 r. Łączna pula nagród wynosiła 400 marek niemieckich ufundowanych przez samego Abla. Minister propagandy Rzeszy Joseph Goebbels niespodziewanie wyraził zgodę na organizację konkursu. Biografie jego uczestników stały się podstawą książki socjologa pt. „Dlaczego Hitler doszedł do władzy: odpowiedź oparta na oryginalnych historiach życia sześciuset jego zwolenników" („Why Hitler Came into Power: An Answer Based on the Original Life Stories of Six Hundred of His Followers").

Wszyscy oni byli dumni z obranej drogi. „W mojej małej wiosce byłem pierwszym członkiem partii" – chwalił się np. nauczyciel Schwarz. „Moja radość była nie do opisania, gdy Hitler został mianowany kanclerzem. Wiedzieliśmy, że władza czarnych i czerwonych szych się skończyła, że powstaną nowe Niemcy" – przekonywał Fritz Hafkesbrink z Oberhausen.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 66e954e427

HISTORYCZNA SENSACJA

Dziś Niemcy woleliby o tym zapomnieć. Badanie „Dziadek nie był nazistą" z 2002 r. autorstwa psychologa społecznego Haralda Welzera pokazało, że większość z nich uważa swoich przodków za osoby niezaangażowane, a nawet ofiary reżimu nazistowskiego. Według Welzera wspomnienia rodzinne często koncentrują się na własnym cierpieniu (wojna, ucieczka, bombardowania), a nie na sprawstwie zbrodni. Podobny wynik dało badanie „Multidimensional Memory Monitor" (MEMO) fundacji Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość z 2023 r. 54 proc. respondentów stwierdziło, że ich przodkowie byli ofiarami narodowego socjalizmu, a ponad 30 proc. uznało, że ich przodkowie pomagali potencjalnym ofiarom nazistów i np. ukrywali Żydów. Zapytani, jakie terminy najlepiej opisują to, co dla Niemiec oznaczał koniec II wojny światowej, ponad połowa wybrała „wyzwolenie".

Wpisuje się to w modną ostatnio za Odrą narrację, zgodnie z którą większość Niemców w tamtym czasie odrzucała system nazistowski i sama była uciskana. Dlatego opublikowanie w internecie kartoteki członków partii nazistowskiej w połowie marca przez Amerykańskie Archiwum Narodowe (U.S. National Archives) wywołało takie poruszenie. Jak zauważył tygodnik „Der Spiegel", jest to „historyczna sensacja", ponieważ dotąd możliwość wglądu do tych dokumentów była mocno ograniczona.

Przez ostatnie kilka tygodni na stronie internetowej archiwum użytkownicy mogli przeglądać miliony dokumentów zawierających imiona, daty urodzenia, numery członkowskie, daty wstąpienia do partii, a w niektórych przypadkach także zdjęcia portretowe członków NSDAP. Zainteresowanie było tak duże, że strona się zawiesiła. „To, o czym wiele rodzin dotąd milczało, teraz może zostać zbadane łatwiej niż kiedykolwiek wcześniej, zarówno przez naukowców, jak i zainteresowane osoby prywatne" – czytamy na łamach „Der Spiegel".

CZARNA SKRZYNKA

Do 1945 r. do partii nazistowskiej wstąpiło ok. 8,5 mln Niemców i Niemek. Wnioski o członkostwo złożyło ponad 10 mln osób. Dla każdego członka partia tworzyła kilka kartotek zawierających dane osobowe: jedną w centralnym rejestrze w Monachium, a drugą w tzw. rejestrach lokalnych, gdzie członkowie byli sortowani według okręgu partyjnego i miejsca zamieszkania. Nikogo nie przyjmowano bez własnoręcznego podpisu, nie zdarzały się też – jak pisze dziennik „Die Welt" – zbiorowe zapisy bez wiedzy zainteresowanych (w odróżnieniu np. do SA w latach 1933–1934).

> Niemiecki rząd wielokrotnie zapewniał, że „samo członkostwo w NSDAP jeszcze o niczym nie świadczy, bo postawy były różne". W skrócie: jeśli ktoś był w NSDAP, to nie znaczy, że był nazistą. Taką postawę przyjęło również wielu Niemców, którzy wobec publikacji akt przez Amerykanów nagle zostali skonfrontowani z niechlubną przeszłością swoich dziadków i pradziadków

Mimo rozkazu zniszczenia dokumentacji wydanego pod koniec wojny zachowało się ok. 80 proc. akt, głównie dzięki staraniom niejakiego Hannsa Hubera, dyrektora papierni w Monachium, który krótko przed końcem wojny sprzeciwił się rozkazowi rozpuszczenia wielu ton dokumentów w beczkach z kwasem i ukrył je pod makulaturą. Na początku 1946 r. ok. 50 t dokumentów przewieziono do amerykańskiego sektora Berlina. Tam, w piwnicy dawnej centrali podsłuchowej przy Wasserkäfersteig 1 w Zehlendorfie, Amerykanie utworzyli Berlińskie Centrum Dokumentacji (BDC), z którego korzystali np. podczas postępowań denazyfikacyjnych.

Według niemieckich mediów przez dziesięciolecia BDC było swego rodzaju czarną skrzynką: zachodnioniemieckie władze i alianccy badacze mieli prawie nieograniczony dostęp do materiałów, podczas gdy historycy rzadko i pod ścisłymi warunkami. Co więcej, dokumenty niektórych prominentnych osobistości, szczególnie polityków, były przechowywane oddzielnie, np. te dotyczące wieloletniego ministra spraw zagranicznych Niemiec Hansa-Dietricha Genschera, który wstąpił do NSDAP 20 kwietnia 1944 r. w wieku 17 lat.

ZAMKNIĘTE BRAMY

Już w marcu 1987 r. frakcja Zielonych w Bundestagu domagała się, aby „funkcjonariusze NSDAP/SA/SS, a także urzędnicy wykonujący swoje obowiązki służbowe zostali zwolnieni z ochrony praw osobistych. Bezskutecznie. Jednocześnie rozwinął się handel aktami: pracownicy BDC wynosili dokumenty i sprzedawali je na czarnym rynku za trzy- lub czterocyfrowe kwoty. Wśród skradzionych dokumentów były m.in. akta osobowe Martina Bormanna, sekretarza Hitlera.

Po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. cały ogromny zbiór został zwrócony państwu niemieckiemu i zdeponowany w Archiwum Federalnym w Berlinie-Lichterfelde – po tym, jak Amerykanie skopiowali go na mikrofilmy. Dwa lata temu wszystkie dokumenty znajdujące się w Archiwum Federalnym również zostały zdigitalizowane, jednak nadal nie są w pełni dostępne publicznie ze względu na prawo członków NSDAP do prywatności. To wygasa dopiero 10 lat po śmierci danej osoby lub 100 lat po jej urodzeniu. Dane nie są dostępne online i należy o nie wystąpić na piśmie. Co więcej, w przeciwieństwie do Narodowych Archiwów USA osoby prywatne mogą uzyskać dostęp do tych dokumentów

eprasa.pl 66e954e427



tylko wtedy, gdy poszukują krewnych, a nie sąsiadów ani innych osób. Jest to swego rodzaju absurd, który od początku wywoływał ostrą krytykę i kontrowersje. Były prezydent Niemiec Joachim Gauck powiedział w październiku 2008 r.: „Po II wojnie światowej ofiary nazistów często stały jak żebracy przed zamkniętymi bramami archiwów, ponieważ uważano, że osobiste prawa sprawców powinny być chronione bardziej niż prawa ofiar". Niemcy zapewniali, że w przyszłości chcą upublicznić archiwum, ale Amerykanie ich uprzedzili.

Niechęć za Odrą do ujawnienia akt osobowych członków NSDAP nie dziwi, biorąc pod uwagę, że już na początku XXI w. podczas badań zasobów w Archiwum Federalnym wyszło na jaw, że znane i lubiane osobistości należały niegdyś do NSDAP. Wśród nich byli lewicowy filolog Walter Jens, literaturoznawcy Walter Höllerer i Peter Wapnewski, pisarze Martin Walser, Siegfried Lenz i Tankred Dorst, politycy Horst Ehmke i Erhard Eppler (obaj z SPD), a także chadecy Walther Leisler Kiep i Friedrich Zimmermann, a ponadto artysta kabaretowy Dieter Hildebrandt oraz historyk Martin Broszat.

ZAPRZECZENIE RODZINNYCH OPOWIEŚCI

Dekadę później „Der Spiegel" ujawnił, że 24 byłych członków NSDAP należało do powojennych gabinetów Bundesrepubliki. W każdym razie taką odpowiedź na swoje zapytanie parlamentarne otrzymała wówczas od rządu frakcja skrajnie lewicowej partii Die Linke w Bundestagu. Obok już wymienionego Hansa-Dietricha Genschera i byłego kanclerza Kurta Georga Kiesingera (CDU) znaleźli się były wicekanclerz i szef MSZ Walter Scheel (FDP), były minister gospodarki i finansów Karl Schiller (SPD) oraz były minister spraw wewnętrznych Friedrich Zimmermann (CSU). Późniejszy minister finansów Franz Etzel (CDU) wystąpił z partii nazistowskiej już w 1927 r., a późniejszy minister spraw wewnętrznych, spraw zagranicznych i obrony Gerhard Schröder (CDU) również wypisał się z NSDAP, ale w 1943 r.

Jeszcze więcej byłych członków partii Hitlera można było znaleźć w Bundestagu – w latach 1961–1965 było to 25 proc. wszystkich posłów (129 osób). Przy okazji okazało się, że celowo zniszczono akta działających w BND (wywiad) dawnych członków SS i Gestapo. W sumie 254 dokumenty.

Nowa, demokratyczna republika została zbudowana na zasobach tej starej, której kadry w większości bez problemów przeszły proces denazyfikacji, będącym w dużej mierze fikcją. Niemiecki rząd wielokrotnie zapewniał, że „samo członkostwo w NSDAP jeszcze o niczym nie świadczy, bo postawy były różne". W skrócie: jeśli ktoś był w NSDAP, to nie znaczy, że był nazistą. Taką postawę przyjęło także wielu Niemców, którzy wobec publikacji akt przez Amerykanów nagle zostali skonfrontowani z niechlubną przeszłością swoich dziadków i pradziadków.

Według historyka Johannesa Spohra „w prawie żadnej rodzinie po wojnie nie dyskutowano o zbrodniach epoki nazistowskiej, nie mówiąc już o własnej roli". „Niemiecka kultura pamięci o epoce nazistowskiej jest uznawana za wzorową za granicą, ale w rzeczywistości kultura pamięci zawsze się komplikuje, gdy staje się konkretna, to znaczy, gdy naprawdę dotyczy pewnych osób, które można było nawet znać" – mówił historyk w wywiadzie dla Deutsche Welle. „Można się natknąć na straszne rzeczy, które przeczą rodzinnym opowieściom" – dodał.

W internecie toczy się już ożywiona debata na temat potencjalnych wyników badań nad rodziną. „Jeśli znajdziesz nazwiska swoich krewnych w tej bazie danych, nie oznacza to, że faktycznie w to wierzyli. Mogli dołączyć tylko po to, by uniknąć problemów lub negatywnych reakcji" – piszą jedni. „Myślenie w kategoriach czarno-białych nie jest dobrym podejściem do studiowania historii" – twierdzą drudzy.

NIE PANIKUJ!

Niemieckie media zareagowały na otwarcie amerykańskiego archiwum powściągliwie. Pod clickbaitowymi tytułami takimi jak: „Czy twój dziadek był nazistą?" wyliczają głównie praktyczne porady poruszania się po zarchiwizowanych w nim mikrofilmach. Przy okazji ostrzegają czytelników, by nie popadali w panikę. „Jeśli jednak nazwisko znajdzie się w archiwach, nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Przynależność do partii początkowo wskazuje jedynie na wstąpienie do niej i niewiele mówi o tym, jak dana osoba zachowywała się w czasach nazistowskich" – czytamy na internetowych łamach magazynu „Stern". Ci, którzy wstąpili do NSDAP przed 1933 r., zdaniem pisma byli uważani za wczesnych zwolenników narodowego socjalizmu. Jednak późniejsze członkostwo mogło mieć również charakter koniunkturalny. Babci i dziadkowi tak jakoś wyszło, że zapisali się do NSDAP. Tak było łatwiej. To nie znaczy, że kochali Hitlera – uspakajają historycy i prasa.

Na forach takich jak Reddit niektórych dopadł jednak sceptycyzm. „Dziwne, że po wojnie wszyscy twierdzili, że byli ratownikami medycznymi, operatorami kamery lub kierowcami ciężarówek" – napisał jeden z użytkowników. „Mój dziadek jakoś ciągle był na urlopie z frontu. Jakoś nie pokazywał nam zdjęć, na których było widać, jak pali białoruskie wioski" – zauważył drugi. W każdym razie po wojnie, dodał, dziadek dobrze się urządził w nowej rzeczywistości: został członkiem SPD oraz działaczem związkowym.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 66e954e427



Płonący terminal paliwowy po ukraińskim ataku na port w Primorsku, 23 marca 2026 r.

Kreml twierdzi, że państwa bałtyckie i Polska, udostępniając stronie ukraińskiej swoją przestrzeń powietrzną do ataków na Rosję, w gruncie rzeczy zaangażowały się w wojnę po stronie Kijowa. Czy ma to być uzasadnienie rozszerzenia konfliktu na kraje wschodniej flanki NATO?

„Mniejsze wtargnięcie" do państw bałtyckich



MAREK BUDZISZ

Auvere, niewielkie miasteczko w Estonii położone w okręgu Ida-Viru nieopodal nadgranicznej Narwy, pod koniec marca stało się teatrem wojny rosyjsko-ukraińskiej. W komin miejscowej elektrowni uderzył dron – jak się później okazało, ukraińskiej konstrukcji – który co prawda nie wyrządził wielkich szkód, ale uruchomił serię wydarzeń. Następnego dnia na specjalnym posiedzeniu zebrał się rząd Estonii, a kilka dni później do Kijowa udał się Margus Tsahkna, minister obrony tego bałtyckiego państwa. Do stolicy Ukrainy nie przybył sam – towarzyszyła mu Baiba Braże, minister spraw zagranicznych Łotwy, i Kaja Kallas, kierująca obecnie unijną dyplomacją, a w przeszłości stojąca na czele rządu w Tallinie.

Na Łotwie, w okolicach miejscowości Krasław (stara siedziba Platerów), również spadł dron, który wleciał od strony Rosji i eksplodował. Podobne incydenty miały również miejsce w Finlandii, gdzie spadły dwa ukraińskie drony, ale największą liczbę bezzałogowców odnotowano w Estonii – nie tylko w okolicach Narwy, lecz także w położonym znacznie dalej na południu Tartu.

Dziennikarze powiązali to z ukraińskimi atakami na rosyjskie porty bałtyckie, w szczególności Primorsk i Ust-Ługę, które okazały się na tyle skuteczne, że obecnie 40 proc. rosyjskich zdolności eksportu węglowodorów zostało zablokowanych. Grozi to paraliżem całego sektora przetwórstwa ropy naftowej, bo o ile benzynę i inne produkty frakcjonowania ropy Rosjanie są w stanie zagospodarować na własnym rynku, o tyle mają problem z mazutem, stanowiącym nawet 40 proc. pochodnych przetworzenia ropy naftowej. Nie jest on zużywany w Rosji, rafinerie nie mają też magazynów, aby dłużej go przechowywać, bo do tej pory w całości był eksportowany.

Ukraińskie uderzenia wywołały radość wśród wszystkich „kibicujących" Kijowowi, tym bardziej że ograniczają rosyjskie perspektywy zarobienia na zwyżce cen ropy i pochodnych na światowych rynkach, ale w państwach bałtyckich incydenty te wywołały zaniepokojenie.

UKRAIŃSKA WERSJA

Po rozmowach w Kijowie, w których ze strony ukraińskiej brali udział zarówno minister spraw zagranicznych Andrij Sybiha, jak i kierujący administracją Zełenskiego Kiryło Budanow, wydano uspokajające w intencjach oświadczenie, które raczej zwiększyło, niż ograniczyło liczbę

Fot. AFP Photo/(C) 2026 Planet Labs PBC/EAST NEWS

eprasa.pl 66e954e427



pytań. „Mamy dane wywiadowcze potwierdzające, że we wszystkich tych przypadkach były to celowe i ukierunkowane działania Rosji" – powiedział mediom Sybiha, dodając przy tym, iż Rosjanie przechwycili i przekierowywali ukraińskie drony w taki sposób, aby znalazły się one na terenie ościennych państw.

Przyjmując za dobrą monetę ukraińskie stanowisko, nie można powstrzymać się przed oczywistymi pytaniami. Jeśli bowiem Rosjanie mają zdolności „przekierowywania" wrogich dronów, to dlaczego nie zrobili tego w przypadku tych, które zaatakowały kluczowe dla ich zdolności eksportowych porty nad Bałtykiem? Sam fakt przechwycenia i zmiany kierunku lotów ukraińskich systemów bezzałogowych przez Rosjan – jeśli przyjąć tę wersję wydarzeń – uzasadnia kolejne pytanie: po co przeprowadzili tego rodzaju operację i jakie są ich intencje?

ODPOWIEDŹ KREMLA

Opublikowana w rosyjskich mediach mapka odsłania plany Kremla. W świetle tej narracji ukraińskie drony i rakiety manewrujące, które zniszczyły instalacje przeładunkowe i magazyny w Ust-Łudze i Primorsku, miały wlecieć z Ukrainy do Polski, a następnie, wykorzystując przestrzeń powietrzną państw bałtyckich, dotrzeć do Rosji i skutecznie zaatakować porty nad Zatoką Fińską. Dlatego rosyjskiej obronie przeciwlotniczej nie udało się ich unieszkodliwić i ukraiński cios okazał się tak bolesny. Ta rosyjska narracja ma daleko idące konsekwencje.

Kreml twierdzi, że państwa bałtyckie i Polska, udostępniając stronie ukraińskiej swoją przestrzeń powietrzną do ataków na Rosję, w gruncie rzeczy zaangażowały się w wojnę po stronie Kijowa, analogicznie jak Białoruś jest uznawana za agresora – bo pozwoliła Moskalom na wykorzystanie własnego terytorium. W tym momencie nie ma większego znaczenia, czy ukraińskie drony rzeczywiście przeleciały nad państwami NATO, czy to jedynie wytwór rosyjskiej propagandy. Rosja trzyma się takiej wersji i jest to fakt polityczny, a niewykluczone, że również wojskowy.

Od jesieni ub.r. Rosja, prowadząc politykę drobnych kroków, eskaluje relacje z państwami bałtyckimi. Przed dwoma tygodniami rosyjski rząd wniósł do Dumy Państwowej projekt nowelizacji obowiązującego prawa, w świetle którego prezydent Federacji będzie miał teraz możliwość wysłania sił zbrojnych w celu ochrony obywateli Rosji, którzy będą sądzeni przez trybunały nieuznawane przez Moskwę. Nie ma wątpliwości, że nowelizacja ta zostanie przyjęta, i to szybko. Wiaczesław Wołodin, speaker Dumy, powiedział, iż projektowi temu „zostanie nadany priorytet", co oznacza szybkie procedowanie. Nowelizacja przewiduje, iż prezydent Rosji będzie miał prawo do decydowania o wysłaniu wojska w celu „realizacji zadań polegających na ochronie obywateli rosyjskich aresztowanych, zatrzymanych lub objętych postępowaniem karnym lub innym na podstawie decyzji sądów zagranicznych lub międzynarodowych organów sądowych, w działaniu których Rosja nie uczestniczy". W tym przypadku nie chodzi wyłącznie o sądy lub trybunały, których jurysdykcji Rosja nie uznaje, ale rozszerzona interpretacja tych zapisów – a nie ma wątpliwości, że Kreml właśnie taką będzie się posługiwał – oznacza, że aresztowanie każdego posiadacza rosyjskiego paszportu i postawienie go przed sądem państwa uznawanego przez Moskwę jako wrogie może być pretekstem do interwencji.

> Z technicznego punktu widzenia zdobycie Rygi, Wilna i Tallina jest znacznie łatwiejsze niż opanowanie Odessy, Charkowa, Mikołajowa czy Dniepru. Armie tych krajów są obiektywnie słabsze niż siły Federacji Rosyjskiej

W państwach powstałych na gruzach ZSRR mieszka obecnie ok. 12,6 mln etnicznych Rosjan, których lojalność wobec nowych ojczyzn pozostaje przedmiotem dyskusji. Problem ten jest najsilniej odczuwany w tych rejonach, w których w ostatnim czasie spadły ukraińskie drony – w okolicach Dyneburga na Łotwie czy Narwy w Estonii, w zwartych skupiskach zamieszkiwanych przez Rosjan.

ZAGROŻENI BAŁTOWIE

W ukraińskich i rosyjskich mediach emigracyjnych pojawiły się też informacje o rosyjskojęzycznych platformach internetowych wzywających do powołania najpierw separatystycznego ruchu, a następnie „republiki ludowej" na wzór ługańskiej i donieckiej, jednak tym razem stworzonej przez rosyjskojęzyczną ludność zamieszkującą okolice estońskiej Narwy. Zostały one powołane do życia latem 2025 r., co przypomina formułę działania rosyjskiego wywiadu, zazwyczaj z dużym wyprzedzeniem przygotowującego operacje dywersyjne i destabilizacyjne.

Ukraiński dziennikarz Witalij Portnikow jest zdania, że w tym konkretnym przypadku Putin może nie mieć planów wywołania pełnoskalowego konfliktu, ale nie wyklucza to prób inicjowania zamieszek i protestów, wspierania ruchów separatystycznych, których celem miałoby być pokazanie bezsilności NATO w obliczu tego rodzaju zagrożeń. Denis Kapustin, stojący na czele rosyjskiego oddziału walczącego po stronie Ukrainy, powiedział w wywiadzie prasowym, że Rosjanie chcąc zdestabilizować sytuację w Estonii, wcale nie muszą przekraczać jej granicy. W opinii Kapustina rosyjskie drony światłowodowe mają już taki zasięg, że z nadgranicznych obszarów Federacji mogą się zapuścić nawet do centrum Tallina. Jego zdaniem scenariusz agresji też nie jest wykluczony, bo Rosjanie mogą się zdecydować na okupację Estonii czy Łotwy

eprasa.pl 66e954e427



Port w Ust-Łudze po ataku ukraińskich dronów

po to, aby w toku zbliżających się rokowań pokojowych dokonać wymiany tych terytoriów na część Ukrainy. „Z technicznego punktu widzenia zdobycie Rygi, Wilna i Tallina jest znacznie łatwiejsze niż opanowanie Odessy, Charkowa, Mikołajowa czy Dniepru" – zauważył Kapustin. „Armie tych krajów są obiektywnie słabsze niż siły Federacji Rosyjskiej. A jakich zasobów potrzeba np. do zdobycia Litwy? [...] Niestety. Nie potrzeba tu bardzo dużych sił" – dodaje Kapustin.

Arkadij Babczenko, inny znany ukraiński dziennikarz, jest wręcz zdania, że na Kremlu decyzja o ataku na Estonię już zapadła, kwestią czasu pozostaje jedynie to, kiedy ten plan zacznie być realizowany. Babczenko, prócz wspomnianych już nowych regulacji i nasilającej się propagandy w internecie, zwraca uwagę na realizowaną przez Rosjan etapami strategię przekształcania brygad stacjonujących wzdłuż granicy z państwami bałtyckimi w dywizje, a także podkreśla znaczenie malejącej w ostatnich tygodniach skali ataków przy użyciu systemów bezzałogowych wymierzonych w Ukrainę. Jak pisze, „masowe ataki na Ukrainę praktycznie ustały, zarówno na duże miasta, jak i na liniach frontu. W prywatnych rozmowach moi respondenci odnotowują znaczny spadek liczby shahedów. Kiedyś latali bez przerwy, teraz w nocy można spać spokojnie. Może to pośrednio wskazywać, że Rosja gromadzi zasoby do ataku na innym teatrze działań wojennych".

Czy Rosjanie szykują jakąś wrogą akcję zwróconą przeciw Bałtom, a może nawet Polsce? Zapewne tak, ale nie oznacza to, że atak jest nieuchronny. Ministrowie państw bałtyckich w uspokajających oświadczeniach podkreślają, iż nie widzą przygotowań do agresji w postaci koncentrowania znaczących sił. Taką ocenę przedstawiają też eksperci w rodzaju Konrada Muzyki z Rohan Consulting, którzy na podstawie zdjęć satelitarnych na bieżąco analizują, co dzieje się po rosyjskiej stronie granicy.

Jednak działania destabilizacyjne nie wymagają zgromadzenia wielkich zasobów. Podczas ubiegłorocznych ćwiczeń, które miały miejsce w Estonii, ukraińska drużyna (10 żołnierzy) posługująca się systemami bezzałogowymi „wyeliminowała" z walki batalion sił NATO. Rosjanie kopiują zdolności ukraińskie, rozwijają Rubikon, specjalną jednostkę walczącą w ten sam sposób, a mają znaczne zasoby i zdolności „skalowania".

ODSTRASZANIE. CO ZROBIĄ AMERYKANIE?

Szukając odpowiedzi na pytanie, czy się zdecydują, trzeba w gruncie rzeczy postawić na porządku dziennym kwestię odstraszania NATO. Dziś bazuje ono przede wszystkim na obecności i zdolnościach sił amerykańskich, ale narastająca frustracja Białego Domu rozczarowanego postawą sojuszników ze Starego Kontynentu może doprowadzić do niekorzystnych zmian. Trump określa europejskich partnerów mianem „tchórzy", Marco Rubio mówi, że Sojusz Północnoatlantycki to zdaniem Amerykanów „droga jednokierunkowa" i po wojnie z Iranem trzeba będzie od nowa rozważyć kwestię zaangażowania w NATO, a Pete Hegseth, szef Pentagonu, ocenia, iż „nie ma silnego sojuszu, jeśli są kraje, które nie chcą stanąć po twojej stronie, gdy tego potrzebujesz".

Jak ujawnił dziennik „The Wall Street Journal", w otoczeniu Donalda Trumpa dyskutuje się o opcji „ukarania" Europejczyków za ich postawę w czasie amerykańskiej wojny z Iranem. W grę wchodzi podobno „zamrożenie" głosu tych państw, które nie wydają na obronność i infrastrukturę wojskową 5 proc. swego PKB lub redukcja obecności wojskowej w Niemczech. Zamrożenie ma obejmować również sytuację wojenną – gdyby państwa, które wydają na obronność zbyt mało, zostały zaatakowane, byłyby pozbawione prawa inicjowania mechanizmów opisanych w art. 5. Warto zauważyć, że w świetle oficjalnych statystyk NATO jeszcze żaden z członków Sojuszu nie osiągnął 5-procentowego pułapu wydatków. Polska jest najbliżej, podobnie jak Bałtowie.

Zarówno tego rodzaju spekulacje, jak i redukcja amerykańskiej obecności wojskowej w Niemczech oznaczają słabniecie siły odstraszania. Na Kremlu mogą w związku z tym dojść do wniosku, że w razie „mniejszego wtargnięcia", agresji o niewielkiej skali, rozbrojone państwa Europy nie zaryzykują wojny z Rosją, a Amerykanie, uwikłani na Bliskim Wschodzie, będą chcieli się porozumieć.

Kreml może też budować narrację o obronnym w gruncie rzeczy charakterze rosyjskich posunięć, bo przecież ich porty na Bałtyku są atakowane przez Ukrainę, a statki floty cienia – coraz częściej blokowane przez Bałtów. Na dodatek w związku ze zniesieniem części sankcji na Białoruś zaczyna narastać amerykańska presja na Wilno, aby Litwini odblokowali transport białoruskich nawozów do portu w Kłajpedzie. W związku z sankcjami Mińsk eksportował je przede wszystkim przez zbombardowany właśnie port w Ust-Łudze, a ich dostępność na światowych rynkach może zapobiec dojrzewającemu kryzysowi żywnościowemu. Rosjanie mogą to wykorzystać, domagając się otworzenia korytarza kolejowo-drogowego do obwodu królewieckiego, a nawet eksterytorialnej autostrady – takiej, jaka łączy Azerbejdżan przez terytorium Armenii z enklawą w Nachiczewaniu. W tym ostatnim przypadku takiemu rozwiązaniu patronował Donald Trump. Rosjanie mogą się zgodzić na podobną opcję w przypadku Litwy, byleby tylko zakwestionować suwerenność państw wchodzących niegdyś w skład ZSRR.

Fot. X.com

eprasa.pl 66e954e427

Sztuczna inteligencja w służbie przestępczości zorganizowanej



Systemy AI są dziś coraz częściej wykorzystywane nie tylko w godziwych celach



GRZEGORZ GÓRNY

Sztuczna inteligencja z dnia na dzień rewolucjonizuje nasze życie. Radykalne zmiany nie omijają nawet przestępczości zorganizowanej. Wkroczyliśmy w erę, w której innowacje technologiczne nie są już wyłączną domeną poszczególnych państw czy wielkich korporacji z branży IT, lecz stają się napędem dynamizującym działalność półświatka kryminalnego.

Bezprecedensową metamorfozę przechodzi np. aktywność terrorystyczna czy proceder wykorzystywania seksualnego dzieci.

DŻIHAD: INDOKTRYNACJA I WERBUNEK

Eksperci ds. bezpieczeństwa w krajach zachodnich alarmują, że grupy dżihadystyczne wykorzystują przestrzeń cyfrową w nowy sposób, wprzęgając do swej służby systemy AI. Organizacje islamistyczne naśladują strategie marketingowe dużych koncernów i nie kierują swego przekazu w stronę bliżej nieokreślonych mas, lecz do konkretnego odbiorcy. Wiadomo, że algorytmy komputerowe są w stanie stworzyć profil psychologiczny i konsumencki każdej osoby aktywnej w sieci pod kątem jej preferencji, upodobań i poglądów. Ten mechanizm mikrotargetowania jest zazwyczaj wykorzystywany do promocji, reklamy i sprzedaży określonych produktów. Może być jednak użyty w innym celu: do indoktrynacji i rekrutacji bojowników.

Okazuje się, że grupy dżihadystyczne za pomocą sztucznej inteligencji generują tysiące różnorodnych treści, a każda z nich jest zoptymalizowana pod kątem konkretnego profilu odbiorcy. Zaczynają od zalewania internetu fałszywymi filmami tłumaczonymi na wiele języków. Materiały mają na celu oddziaływanie na emocje – wywołanie gniewu, oburzenia lub poczucia niesprawiedliwości. Wspomniane przekazy są w stanie ominąć automatyczne systemy moderacji mediów społecznościowych, które mają za zadanie odróżniać prawdziwe treści od generowanych sztucznie, ponieważ za każdym razem AI wytwarza unikalną wariację danego komunikatu.

Następny etap polega na zidentyfikowaniu pojedynczych użytkowników i nawiązaniu z nimi bliskich relacji. Namierzony internauta za pośrednictwem prywatnych wiadomości lub tymczasowych linków jest zapraszany do zamkniętej społeczności na szyfrowanych komunikatorach. W ten sposób staje się częścią cyfrowego ekosystemu, w którym zostaje przedmiotem manipulacji przez chatboty. Te ostatnie odgrywają przed nim rozłożony na głosy spektakl, przeznaczony dla jednego (nieświadomego) widza: tworzą sztuczną wspólnotę, symulują empatię i prowadzą spersonalizowane dialogi, w których na bieżąco dostosowują się do stanu emocjonalnego rozmówcy. Celem jest zdobycie zaufania odbiorcy oraz indoktrynacja, innymi słowy: pranie mózgu.

Gdy ten etap przebiegnie pomyślnie, następuje przejście do kolejnego. Adept jest wprowadzany do dark webu, czyli tajnych przestrzeni online, które są zaszyfrowane i chronione przed infiltracją przez systemy AI, potrafiące neutralizo-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 66e954e427

wać tradycyjne techniki monitorowania. Dżihadyści wykorzystują przy tym modele uczenia maszynowego zwane GAN (Generative Adversarial Network). W efekcie użytkownik zostaje odizolowany w równoległej rzeczywistości cyfrowej. Na tym etapie dochodzi do werbunku i przydzielania zadań.

Korzystanie ze sztucznej inteligencji sprawia, że bardzo trudno namierzyć działalność organizacji islamistycznych dokonujących rekrutacji bojowników w internecie.

Podobne trudności występują w przypadku ścigania siatek pedofilskich, które także coraz częściej używają systemów AI, by zwabiać osoby nieletnie, rozpowszechniać pornografię dziecięcą i ukrywać się przed policją.

PEDOFILIA: UKRADZIONE TOŻSAMOŚCI

Kilka tygodni temu włoskie stowarzyszenie Meter zaprezentowało w Rzymie swój coroczny raport na temat wykorzystywania seksualnego dzieci. Wspominana instytucja została założona w 1989 r. przez katolickiego duchownego ks. Fortunata Di Nota, który w Italii jest nazywany łowcą pedofilii. Od ponad 30 lat monitoruje ona wyjątkowo perwersyjny obszar przestępczości zorganizowanej, dokumentując jego ewolucje i metamorfozy.

Jedną z zaobserwowanych ostatnio nowości jest używanie sztucznej inteligencji do głębszego ukrywania dewiacyjnych treści w dark necie oraz doskonalszego unikania systemów cenzury i kontroli. Kolejna z innowacji polega na tworzeniu przez AI filmów pornograficznych bazujących na deep fake'ach. Takie produkcje wykorzystują zdjęcia prawdziwych twarzy konkretnych dzieci, które następnie są wmontowywane w sceny ukazujące współżycie seksualne z osobami dorosłymi lub zwierzętami. W 2025 r. organizacja Meter zidentyfikowała aż 8213 tego typu przypadków.

Co ciekawe, ów proceder ma swoich obrońców. Otóż twierdzą oni, że dzięki takim filmom nie dochodzi do rzeczywistego krzywdzenia dzieci, ponieważ pedofile nie dokonują aktów bezpośredniej przemocy fizycznej, ograniczając się do świata wygenerowanych cyfrowo fantazji seksualnych.

Stowarzyszenie Meter jest jednak innego zdania. Jego analitycy piszą w swym raporcie: „Za każdą zmanipulowaną fotografią zawsze kryje się prawdziwa ofiara: to nieletni przedstawiony na oryginalnym zdjęciu, którego tożsamość została naruszona. Jego twarz jest fotografowana i seksualizowana bez jego zgody". Rozpowszechnianie tak sfabrykowanych wizerunków często powoduje głęboką traumę u dzieci, których oblicza wykorzystywane są w deep fake'ach, wpędzając je w poczucie wstydu, stany lękowe czy depresję, a nawet popychając do czynów autodestrukcyjnych.

> Terroryści, pedofile, zamachowcy. Sztuczna inteligencja jest wykorzystywana przez nich do swojej przerażającej działalności lub jej uzasadnienia. I w sumie nie wiadomo, jak temu zapobiec

Poza tym tworzenie fałszywej pornografii dziecięcej napędza rynek, stymulując popyt na nowe, nielegalne treści. Dla części odbiorców filmy z wirtualnymi bohaterami stają się wstępem do konsumowania kolejnych produkcji, w których molestowane są już prawdziwe ofiary. Prowadzi także do stopniowej normalizacji procederu pedofilii w świadomości społecznej.

ZAMACHY: UZASADNIANIE ATAKÓW

Ze sztucznej inteligencji korzystają również „samotne wilki", czyli sprawcy niedziałający w zorganizowanych grupach przestępczych, lecz na własną rękę. Przykładem ilustrującym to zjawisko jest sprawa 13-letniego ucznia, który w szkole podstawowej w Trescore Balneario we Włoszech zaatakował nożem i ciężko ranił na korytarzu nauczycielkę języka francuskiego. Wcześniej chłopiec rozpowszechnił po angielsku w mediach społecznościowych swój osobisty manifest, który został napisany za pomocą AI. W tekście czytamy m.in.:

„Nie mogę zostać wsadzony do więzienia, ponieważ minimalny wiek odpowiedzialności karnej we Włoszech wynosi 14 lat. Nie mogę zostać nawet osądzony, więc zrobię to, co zawsze chciałem zrobić: zabiję ją [nauczycielkę] i każdego, kto spróbuje mnie powstrzymać. To nie tylko akt zemsty, to sposób na przełamanie nudnej rutyny w najbardziej ekstremalny możliwy sposób. Mam dość banalności, ciągłego robienia tych samych rzeczy. Zasady nie są czymś, czego powinienem przestrzegać, są czymś, co powinienem łamać, a nie ma nic lepszego niż zemsta, karanie tych, którzy mnie skrzywdzili. Zawsze uwielbiałem łamać zasady, czy to etyczne, moralne, czy prawne. Wszystkie te rzeczy mnie ograniczają, a jeśli coś narusza moją wolność, odczuwam to jako osobisty atak na moją autonomię. Jeśli ktoś mi mówi, żebym czegoś nie robił, jestem częściej skłonny to zrobić".

W dalszej części tekstu 13-latek uzasadnia, dlaczego założył wojskowy mundur, gdy zaatakował nożem nauczycielkę: „Wybrałem go, ponieważ postrzegam siebie jako żołnierza walczącego o swoje prawa, prawa, które zostały zdeptane. Czuję się też lepszy od wszystkich moich rówieśników. Owszem, czasami są zabawni, ale czuję się od nich o wiele mądrzejszy, a noszenie munduru dowodzi mojej wyższości nad wszystkimi tymi zwykłymi śmiertelnikami. Już nie jestem jednym z nich; jestem kimś lepszym, kimś, kto miał siłę, by zrobić to, czego wielu nie zrobiło, kimś, kto ma na tyle inteligencji, by zrozumieć, że nikt tak naprawdę nie staje w obronie nas i naszych potrzeb".

* * *

Specjaliści twierdzą, że sztuczna inteligencja znajduje się dopiero na początku swej oszałamiającej drogi. Jeżeli jednak już na tym etapie jest ona w tak przemyślny sposób wykorzystywana do łamania prawa, to trudno sobie nawet wyobrazić, jak może zostać użyta w przyszłości, gdy osiągnie większe możliwości działania.

eprasa.pl 66e954e427



JAN ROKITA

Feralny triumf włoskich sędziów

To najgorsza polityczna wiadomość z obszaru unijnej Europy w 2026 r.: upadek w referendum włoskiej reformy wymiaru sprawiedliwości

To wydarzenie będzie mieć opłakane skutki dla przyszłości Italii, choć w końcu to nie nasze zmartwienie, lecz samych Włochów, suwerennie decydujących o losach swojego kraju. I gdyby pozostawał to tylko problem włoski, zapewne w ogóle nie byłoby tego artykułu. Rzecz jednak w tym, że tym razem włoskie referendum ma znaczenie daleko wykraczające poza problemy Włochów i ich zepsutego, a zarazem niereformowalnego państwa.

W czasie, w którym przez cały demokratyczny Zachód – od Warszawy przez Londyn i Rzym aż po Jerozolimę i Waszyngton – przewala się fundamentalny konflikt o polityczną władzę sędziów, spektakularna porażka wysiłków reformatorskich Giorgii Meloni jest triumfem skrajnej i zradykalizowanej części sędziowskiej korporacji, która ma jeden cel: uniemożliwić demokratycznym rządom każdą próbę naprawy systemu sprawiedliwości.



Premier Włoch Giorgia Meloni

prasa.pl 66e954e427

TRZY PUNKTY REFORMY

W dwudniowym referendum z 22–23 marca za tzw. reformą Nordia opowiedziało się 46 proc. Włochów, a 54 proc. głosowało za jej obaleniem. Różnica 2 mln głosów w takim kraju jak Włochy jest uważana za wynik miażdżący. Po ogłoszeniu wyników Meloni nie podała się do dymisji, ale – co tu dużo mówić – jej odważny plan naprawy ustroju Italii, w następnej kolejności zakładający bezprecedensową (jak na ten kraj) konstytucyjną stabilizację władzy wykonawczej i wybór premiera w powszechnym głosowaniu, czyli coś na kształt półkancleryzmu, faktycznie legł w gruzach.

Pani premier z jednej strony robi dobrą minę do złej gry, oświadczając: „Szanujemy decyzję i idziemy naprzód" (cóż zresztą innego miałaby mówić?), a z drugiej dość nerwowo próbuje swoistej ucieczki do przodu, przeprowadzając wiele dymisji w rządzie, choć nie usuwając – jak dotąd – głównego autora reformy, włoskiego Ziobry – Carla Nordia, ministra sprawiedliwości.

79-letni Nordio był prokuratorem, który za dawnych lat prowadził słynne śledztwo przeciw komunistycznym Czerwonym Brygadom, kodyfikował włoskie prawo karne, a potem nawet kandydował na urząd prezydenta republiki. Jest jasne, że tak czy owak obecna nieudana próba reformy oznacza koniec jego kariery zawodowej i politycznej, a jeśli coś może go jeszcze spotkać, to najwyżej zemsta nienawidzących go włoskich sędziów i prokuratorów.

I tu dotykamy sedna reformatorskiego planu Nordia: chciał on przeprowadzić trzy zmiany. Włoski system wymiaru sprawiedliwości – trzeba to otwarcie powiedzieć – jest jeszcze bardziej nonsensowny niźli polski.

Nie tylko bowiem sędziowie orzekający w sądach to sędziowie (co się rozumie samo przez się) – sędziami są także prokuratorzy prowadzący śledztwa, więc polityka karna państwa pozostaje całkowicie wyjęta spod kontroli rządu. Sędziowie mogą się dość swobodnie przemieszczać pomiędzy funkcjami „czysto" sędziowskimi a prokuratorskimi, przez część życia zawodowego orzekając, a część – oskarżając.

Nordio chciał więc choć trochę unormalnić ten system, dokonując rozdziału tych dwóch profesji. Jeśli zatem ktoś zdecydowałby się na to, by zostać sędzią, nie mógłby już być prokuratorem. I *vice versa*. Ten zabieg „rozdziału karier" (jak się go określa w Italii) wzbudził prawdziwą furię korporacji sędziowskiej.



Za tym logicznie miał iść drugi punkt reformy Nordia. Dotąd zarówno prawdziwi sędziowie, jak sędziowie-prokuratorzy podlegają wyłącznie wszechwładnej we Włoszech władzy samorządowo-korporacyjnej, jaką jest Najwyższa Rada Sądownictwa (CSM), odpowiednik naszego KRS. Polakowi nie trzeba tłumaczyć, co to oznacza w praktyce. Kumoterstwo, nepotyzm, korupcja, zamknięcie karier przed zdolnymi, młodymi prawnikami, brak odpowiedzialności przed społeczeństwem, a w końcu ideologiczne zblatowanie z partiami lewicy – to typowe efekty takiego ustroju. Nie tylko we Włoszech, choć w tym kraju wszystkie te cechy wymiaru sprawiedliwości występują w większym nasileniu niźli gdziekolwiek indziej.

Nordio próbował zatem nieco osłabić ową CSM, stanowiącą sedno choroby systemu, dzieląc ją na dwie rady: sędziowską i prokuratorską, które miałyby być powoływane inaczej niż dotąd. Rada sędziowska byłaby tworzona z sędziów, ale w drodze losowania, a rada prokuratorska (uwaga!) – losowana, ale spośród kandydatów wyłonionych przez obie izby parlamentu.

W praktyce to intencjonalna kalka stylu myślenia Zbigniewa Ziobry, tyle że Nordio miał na głowie o jeden kłopot więcej niż polski minister: niezawisłych sędziów-prokuratorów. Losowanie składu najwyższej władzy nad sądami zachowywałoby co prawda korporacyjny model sądów, ale przynajmniej miało odbierać panowanie rozpolitykowanej elicie sędziowskiej. Z kolei wybór kandydatów do rady prokuratorskiej przez parlament dawałby rządowi jakiś – przynajmniej pośredni – wpływ na dobór prokuratorów.

Ale włoska konstytucja, napisana po wojnie pod wpływem faszystowskich doświadczeń z ubezwłasnowolnieniem wymiaru sprawiedliwości, nie tylko gwarantuje korporacyjny model ustroju, lecz także „jedność" wszystkich sędziów (więc także owych sędziów-prokuratorów) we wspólnej korporacji. Nordio uznał, że nie da rady zaatakować wprost reguły korporacyjności, ale uderzy w nonsensowną ustrojowo gwarancję jedności. Dlatego cała reforma wymagała ustawy konstytucyjnej, a w konsekwencji krajowego referendum.

Wreszcie trzeci element reformy Nordia – ustanowienie Najwyższego Sądu Dyscyplinarnego dla sędziów. Kto wie, czy nie najgorszym skutkiem wielu lat trwania w jakimś kraju skrajnego ustroju korporacyjnego jest bezkarność sędziów, która we włoskich warunkach oznacza także bezkarność prokuratorów. Przywileje korporacyjne, immunitety uniemożliwiające ukaranie sędziego, czyli praktyczna bezkarność, skoro państwo nie może sędziemu nic zrobić, gdyż tylko jego korporacja zawodowa może go pociągnąć do odpowiedzialności. Nic dziwnego, że w takich warunkach włoskie sądy działają chyba najgorzej w unijnej Europie.

W Polsce bardzo podobna reforma odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów została obalona przez Komisję Europejską i luksemburski unijny trybunał. Nigdy się nie dowiemy, czy Giorgia Meloni, dużo sprawniejsza w unijnych grach od polskich premierów, potrafiłaby obronić analogiczną włoską reformę w UE. Obalili ją bowiem sami Włosi.

Fot. Shutterstock

FURIA KORPORACJI SĘDZIOWSKIEJ

Te trzy istotne zmiany, niełatwe do wytłumaczenia opinii publicznej – zwłaszcza w warunkach gwałtownego ataku propagandowego ze strony korporacji sędziowskiej i partii lewicy – rząd przedstawiał początkowo jako „interwencję techniczną".

Również „technicznie" sformułowano pytanie referendalne: „Czy akceptujesz zatwierdzenie tekstu ustawy konstytucyjnej dotyczącej »Reformy sądownictwa i oddzielenia karier sędziów oraz prokuratorów«, uchwalonego przez Parlament i opublikowanego w Dzienniku Urzędowym?".

Pytanie to nie tylko nie miało potencjału społecznej emocji koniecznej do mobilizacji wyborców – nie oddawało nawet ustrojowego znaczenia sprawy dla przyszłości kraju. To był błąd ze strony Giorgii Meloni. Można odnieść wrażenie, że pani premier sądziła, iż reforma przemknie się jakoś przez referendum dzięki jej osobistej popularności, bez frontalnego starcia z sędziami. Że dla rządzącej prawicy będzie co najwyżej rutynowym starciem z osłabionymi i przegranymi partiami lewicy, nie tak trudnymi do pokonania. Meloni jest kolejnym politykiem w Europie, który nie docenił bezwzględności i fanatyzmu korporacji sędziowskiej, jeśli tylko ktoś spróbuje choćby trochę naruszyć jej władzę, prawa i przywileje.

Mobilizacja partii lewicy i korporacji sędziowskiej okazała się totalna, a przeciw – co tu dużo mówić – ważnej, choć ograniczonej reformie Nordia zostały wytoczone najcięższe armaty. Zresztą dobrze znamy cały ten propagandowy arsenał, gdyż nie różnił się on zbytnio od tego, co tak niedawno mogliśmy obserwować w Polsce. Zamach na demokrację i praworządność – to punkt numer jeden. Obalenie konstytucji – numer dwa. Rządy autorytarne Meloni – to numer trzy. Gwałcenie praw obywatelskich – numer cztery. Atak skorumpowanego rządu na niezawisłość sędziowską – numer pięć.

We Włoszech doszedł do tego jeszcze argument niezwykły, który jednak – jak się okazało – miał odegrać niebłahą rolę. Sędziowie i lewicowi politycy przekonywali, że Meloni tak naprawdę idzie o to, aby tak jak w dawnych czasach premierów-mafiosów (Andreottiego czy Craxiego) osłabić walkę sędziów z mafią, zwłaszcza w Kampanii i na Sycylii.

Wiarygodności tej tezie dodały nazwiska dwóch legendarnych sędziów zwalczających mafię: Nicoli Gratteriego (głównego prokuratora Neapolu) i Nina Di Matteo (z DNA – czyli rzymskiej Dyrekcji Sądu Antymafijnego i Antynarkotykowego). Niestety obaj wybrali grupową solidarność środowiskową ponad interes kraju, opowiadając się za głosowaniem na nie. Co znów nie takie dziwne, zważywszy na to, jak trudno w warunkach ostrej konfrontacji stanąć okoniem wobec własnego środowiska. A gdyby postąpili inaczej, czyż nie musieliby się liczyć z środowiskowym ostracyzmem, paraliżującym *de facto* ich piekielnie ryzykowną pracę?

> Plan włoskiego ministra sprawiedliwości Carla Nordia to w praktyce intencjonalna kalka reformy sądownictwa Zbigniewa Ziobry. Podobnie jak w Polsce projekt zmian wzbudził prawdziwą furię korporacji sędziowskiej

MŁODZI WŁOSI POWIEDZIELI: NIE

Przez długi czas to Nordio był twarzą reformy, która zresztą zyskała miano od jego nazwiska. Meloni trzymała się na dystans, co uważano we Włoszech za skutek lekcji premiera Matteo Renziego z 2016 r., który skrajnie spersonalizował ówczesne referendum konstytucyjne, stawiając wszystko na jedną kartę, więc gdy przegrał, musiał się podać do dymisji. Dopiero pod koniec kampanii – a tak naprawdę dopiero w jej ostatnim tygodniu – pani premier zaczęła się kampanijnie dwoić i troić, dostrzegając niebezpieczeństwo przegranej.

Przedstawiła wtedy reformę jako kluczowy element modernizacji kraju, która nie będzie możliwa bez – jak mówiła – „uwolnienia wymiaru sprawiedliwości od polityki i ideologii". Dopiero wtedy politycy prawicy zaczęli gwałtownie atakować „kastę sędziowską", oskarżając ją o obojętność na bezpieczeństwo życia codziennego Włochów i działania uniemożliwiające powstrzymanie migrantów z Afryki. Przypomniano proces o masowe porwanie i uwięzienie ludzi, który sędziowie wytoczyli ministrowi spraw wewnętrznych Salviniemu za to, że odmawiał wpuszczania do włoskich portów przemytniczych statków z imigrantami.

Ale ta radykalizacja języka po stronie rządu przyszła zbyt późno, gdy emocje zbiorowe milionów Włochów zostały już ukształtowane przez sędziowskich propagandzistów, rozpaczających nad zamachem na konstytucję i końcem demokracji.

Ciekawa rzecz – ta propaganda okazała się nadzwyczaj skuteczna w odniesieniu do młodych Włochów, chętnie widzących się w roli obrońców konstytucji i demokracji. O wyniku referendum zdecydowała niespodziewana mobilizacja młodego pokolenia, w swej atmosferze podobna trochę do polskich wyborów 2023 r. W kohorcie wiekowej do 35 lat frekwencja była najwyższa i najwyższy odsetek odpowiedzi nie (aż 62 proc.). A po ogłoszeniu porażki Meloni, w poniedziałek 23 marca wieczorem, włoskie stacje telewizyjne pokazywały tłumy młodzieży cieszącej się i świętującej na wielkich placach włoskich miast: Barberini w Rzymie, Duomo w Mediolanie i Plebiscito w Neapolu. W obozie Meloni chyba nikt się nie spodziewał tego efektu. Teraz liderka lewicy – radykalna Elly Schlein – wiwatuje na cześć młodego pokolenia, mówiąc, że „to młodzi zrobili różnicę".

Italia wraca do swego starego systemu chwiejnych i słabych rządów oraz niereformowalnego ustroju. A sędziowska korporacja triumfuje i umacnia swą władzę nad unijną Europą.

eprasa.pl 66e954e427

Polska bomba atomowa? Tajemniczy projekt Sylwestra Kaliskiego

W czasach PRL pojawiły się ambitne plany stworzenia polskiej technologii jądrowej o potencjale militarnym. Jedną z kluczowych postaci tych badań był prof. Sylwester Kaliski, który pracował nad wykorzystaniem reakcji termojądrowych. Jego nagła śmierć w 1978 r. do dziś pozostaje niewyjaśniona. Czy Polska była bliżej stworzenia własnej broni jądrowej, niż oficjalnie przyznawano?



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W obliczu rosnących napięć międzynarodowych temat broni jądrowej coraz częściej powraca w polskiej debacie publicznej. Wyraźniej wybrzmiewają głosy polityków rozważających różne scenariusze udziału Polski w systemie odstraszania nuklearnego NATO. W tle tych dyskusji pojawia się zasadnicze pytanie: czy Polska powinna ograniczać się do rozwiązań sojuszniczych, czy myśleć o budowie własnych zdolności nuklearnych?

Andrzej Duda w trakcie swojej prezydentury deklarował gotowość przyjęcia na terytorium kraju amerykańskiej broni jądrowej w ramach programu „Nuclear sharing", argumentując, że wzmocniłoby to bezpieczeństwo wschodniej flanki NATO. Z kolei Donald Tusk podkreślał, że Polska „musi sięgać po najnowocześniejsze możliwości, także związane z bronią nuklearną", jednocześnie akcentując konieczność zachowania ostrożności i budowania wokół sprawy szerokiego konsensusu politycznego.

Do dyskusji włączył się także Karol Nawrocki, który w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim stwierdził, że Polska powinna „przystąpić do projektu jądrowego". Co istotne, w jego wypowiedzi nie chodziło o udział w programie „Nuclear sharing", lecz o rozwój własnej broni nuklearnej. W ocenie prezydenta wynika to bezpośrednio z sytuacji geopolitycznej i sąsiedztwa z agresywną Rosją, postrzeganą jako trwałe zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju.

W tym kontekście szczególnego znaczenia nabiera historia badań prowadzonych w czasach PRL. W latach 70. ambitny projekt rozwijany w Wojskowej Akademii Technicznej osiągnął taki poziom zaawansowania, że nawet NATO uznało Polskę za państwo prowadzące badania nad potencjalnym wykorzystaniem technologii jądrowych w celach militarnych.

W CIENIU ZIMNEJ WOJNY

W realiach zimnej wojny technologia jądrowa była nie tylko wyrazem postępu naukowego, lecz także stanowiła jedno z kluczowych narzędzi geopolitycznej rywalizacji. Jej rozwój wymagał zarówno ogromnych nakładów finansowych, jak i dostępu do wybitnych kadr naukowych. Państwa posiadające broń atomową wchodziły do ścisłej elity światowych mocarstw, a ich potencjał odstraszania w znacznym stopniu kształtował globalny układ sił. W tym kontekście również Polska Rzeczpospolita Ludowa, mimo że pozostawała w strefie wpływów Związku Radzieckiego, podejmowała próby budowy własnych kompetencji w dziedzinie fizyki jądrowej.

Centralną postacią w kontekście tych ambicji był Sylwester Kaliski – pochodzący z Torunia naukowiec, który rozpoczynał swoją drogę zawodową jako inżynier budownictwa. Był absolwentem Wydziału Inżynierii Lądowo-Wodnej Politechniki Gdańskiej, gdzie specjalizował się w budownictwie przemysłowym i konstrukcji mostów. Po ukończeniu studiów pozostał na uczelni jako wykładowca, jednocześnie kontynuując naukę w zakresie matematyki i fizyki. Pod koniec 1950 r. związał się z wojskiem, a już w 1951 r. został pracownikiem Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie.

Kaliski szybko awansował, zarówno w strukturach wojskowych, jak i naukowych. W 1967 r. objął stanowisko

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 66e954e427

rektora WAT, wcześniej uzyskując stopień generała brygady, a następnie w 1972 r. generała dywizji. Był już wówczas profesorem oraz członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk. Łącząc wysoką pozycję wojskową z autorytetem naukowym, miał wyjątkową pozycję. Mógł swobodnie czerpać zarówno z zasobów armii, jak i polskiego zaplecza badawczego. Pod jego kierownictwem rozwijano badania nad fizyką plazmy i zjawiskami wysokich energii, które w teorii mogły prowadzić do nowych sposobów inicjowania reakcji jądrowych.

ŚMIAŁA KONCEPCJA

Badania nad reakcjami jądrowymi i termojądrowymi od początku miały podwójny charakter. Z jednej strony otwierały drogę do stworzenia broni o ogromnej sile rażenia, z drugiej dawały nadzieję na uzyskanie ogromnego źródła energii. O ile w przypadku klasycznej energetyki atomowej oba te cele udało się zrealizować, o tyle kontrolowana synteza termojądrowa do dziś pozostaje wyzwaniem technologicznym.

Pierwszą bazującą na tej reakcji broń udało się stworzyć już w 1952 r. amerykańskiemu zespołowi pod kierownictwem Edwarda Tellera i Stanisława Ulama. Jednak stabilnej i możliwej do pokojowego zastosowania reakcji termojądrowej nie zdołano przeprowadzić.

W wyścig mający na celu przeprowadzenie kontrolowanej fuzji nieoczekiwanie włączyła się Polska. W 1973 r. zespół kierowany przez prof. Sylwestra Kaliskiego oraz prof. Zbigniewa Puzewicza przeprowadził eksperyment, w którym zarejestrowano neutrony pochodzące z reakcji termojądrowej. Był to istotny krok w kierunku badań nad kontrolowaną syntezą, której potencjalnym celem było stworzenie wydajnego źródła energii. Prace miały charakter jawny i były oficjalnie prezentowane jako badania o pokojowym zastosowaniu. Kaliski publikował ich wyniki w literaturze naukowej i specjalistycznych opracowaniach.

Ogłoszenie sukcesu tzw. eksperymentu Focus przyniosło polskim naukowcom uznanie na arenie międzynarodowej. Choć podobne badania prowadzono równolegle w Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim, osiągnięcie zespołu z Warszawy pozwoliło Polsce dołączyć do wąskiego grona państw zajmujących się syntezą termojądrową. Był to znaczący sukces prestiżowy, nawet jeśli nie oznaczał jeszcze przełomu technologicznego.

Choć sukcesy zespołu Kaliskiego i Puzewicza pozwoliły Polsce dołączyć do grona państw prowadzących badania nad syntezą termojądrową, aspiracje sięgały znacznie dalej. Polska miała posiadać własną bombę termojądrową. Czy w tamtych czasach było to możliwe? Raczej nie. Ale zagadkowa śmierć Kaliskiego może temu przeczyć

Kaliski dążył do opracowania metod umożliwiających wywołanie kontrolowanej fuzji w warunkach laboratoryjnych za pomocą lasera. Później wykorzystywał także impulsy elektryczne i materiały wybuchowe. Celem było osiągnięcie odpowiednio wysokiej temperatury i ciśnienia, pozwalających na zapłon reakcji w deuterze, izotopie wodoru, przy jednoczesnym utrzymaniu jego gęstości za pomocą ładunków kumulacyjnych.

WALKA O PRESTIŻ

Sukcesy tych badań były potrzebne komunistycznej propagandzie. Wpisywały się w narrację o dynamicznym rozwoju technologicznym Polski w czasach rządów Edwarda Gierka, który na każdym kroku podkreślał modernizację kraju i podniesienie jego prestiżu na arenie międzynarodowej. Ambitne projekty naukowe – zwłaszcza te o potencjale strategicznym – doskonale odpowiadały tej wizji. W związku z tym wraz z postępem badań rosła także pozycja Sylwestra Kaliskiego. Stał się częstym gościem w gabinecie Gierka, a jego kariera wyraźnie przyspieszyła. W 1974 r. objął stanowisko ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki, co dodatkowo wzmocniło jego wpływ na kształtowanie polityki naukowej kraju.

Ambicje Gierka nie ograniczały się jednak wyłącznie do udziału w międzynarodowym wyścigu badań nad energią jądrową. Choć sukcesy zespołu Kaliskiego i Puzewicza pozwoliły Polsce dołączyć do grona państw prowadzących badania nad syntezą termojądrową, aspiracje sięgały znacznie dalej. Polska miała posiadać własną bombę termojądrową. Jak po latach wspominał Czesław Kiszczak, wówczas szef wywiadu wojskowego, była to idea, o której „wszyscy wiedzieli, że przekracza nasze możliwości". Mimo świadomości ograniczeń program badawczy finansowano ogromnymi środkami. Inwestowano zarówno w rozwój zaplecza laboratoryjnego, jak i w zdobywanie specjalistycznej aparatury, niekiedy także w sposób nielegalny.

TECHNOLOGIA KONTRA RZECZYWISTOŚĆ

Z dzisiejszej perspektywy zasadnicze pytanie brzmi, czy badania prowadzone przez Kaliskiego miały realne szanse zakończyć się sukcesem. Większość specjalistów jest sceptyczna w tej kwestii. Urządzenia wykorzystywane przez zespół Kaliskiego i Puzewicza, w tym lasery, nie osiągały parametrów pozwalających na podgrzanie deuteru do temperatury niezbędnej do zainicjowania stabilnej reakcji syntezy. Kluczowym problemem pozostawało nie tylko uzyskanie ekstremalnych warunków, lecz także ich utrzymanie przez odpowiednio długi czas. Ten problem do dziś

eprasa.pl 66e954e427

stanowi jedno z największych wyzwań fizyki.

Nie jest również jasne, jakie były rzeczywiste intencje samego Kaliskiego. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy jego celem pozostawało zbliżenie się do konstrukcji broni termojądrowej, czy był to jedynie argument mający przekonać Edwarda Gierka do dalszego finansowania kosztownych badań. Pozostaje faktem, że Polska nie dysponowała ani odpowiednią bazą przemysłową, ani dostępem do materiałów rozszczepialnych w skali koniecznej do stworzenia broni atomowej, nie mówiąc już o znacznie bardziej zaawansowanej technologii termojądrowej. Nawet najbardziej ambitne eksperymenty laboratoryjne nie mogły zastąpić rozbudowanego zaplecza technologicznego, którym dysponowały światowe potęgi.

Nie bez znaczenia był także kontekst polityczny. Polska znajdowała się pod ścisłą kontrolą Związku Radzieckiego, który konsekwentnie strzegł monopolu na technologie jądrowe w państwach bloku wschodniego. Na terytorium kraju rozmieszczone były radzieckie głowice atomowe przeznaczone dla sił Układu Warszawskiego. Ewentualna próba budowy własnego programu nuklearnego byłaby nie tylko technologicznie trudna, lecz prawdopodobnie zostałaby skutecznie zablokowana na dalszym etapie. Nie zmienia to jednak faktu, że skala ambicji i poziom zaawansowania badań prowadzonych przez zespół Kaliskiego zasługują na uwagę. Dlatego tak wielkie emocje wzbudza tragiczne wydarzenie, które oznaczało koniec badań. Do dziś pozostaje niewyjaśnione i budzi liczne spekulacje.


Gen. Sylwester Kaliski

Fot. PAP

TAJEMNICZA ŚMIERĆ

5 sierpnia 1978 r. na drodze w pobliżu Wyszewa pod Koszalinem doszło do tragicznego wypadku. Limuzyna Fiat 132-2000 próbowała uniknąć zderzenia z jadącym przed nią samochodem marki Nysa, który niespodziewanie zaczął hamować. Kierowca Fiata zjechał na pobocze, jednak stracił panowanie nad pojazdem. Samochód wypadł z drogi, ściął słup telefoniczny, a następnie rozbił się o drzewo. Z wraku wydobyto dwie osoby: Sylwestra Kaliskiego i jego żonę Irenę. Ona przeżyła, lecz do końca życia pozostała sparaliżowana. On trafił do szpitala w stanie ciężkim i po kilku tygodniach spędzonych w śpiączce zmarł. Pogrzeb odbył się 19 września 1978 r. na warszawskich Powązkach Wojskowych, gromadząc najwyższe władze państwowe i wojskowe, w tym przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego, prezesa Rady Ministrów Piotra Jaroszewicza, ministra obrony narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego, a także przedstawicieli środowiska naukowego i wojskowego.

Śmierć Kaliskiego oznaczała kres całego programu badawczego i zamknęła rozdział, którego dalszego przebiegu nie sposób dziś odtworzyć.

Informacja o odejściu jednego z najbardziej wpływowych naukowców PRL wywołała poruszenie zarówno wśród badaczy, jak i partyjnych elit. Wraz z nią pojawiły się jednak również spekulacje. Nie brakowało osób, które podważały oficjalną wersję wydarzeń, dopatrując się w tragedii możliwego spisku, a nawet udziału radzieckich służb specjalnych. Hipotezy te nigdy nie zostały potwierdzone. Śledztwo prowadzone przez prokuraturę ostatecznie umorzono, nie stawiając nikomu zarzutów. Co istotne, w wersję o zamachu nie wierzyli ani członkowie rodziny Kaliskiego, ani jego współpracownicy. W ich relacjach powracał raczej obraz człowieka skłonnego do szybkiej, momentami brawurowej jazdy, co mogło mieć znaczenie w kontekście tragicznego wypadku. Mimo to okoliczności jego śmierci do dziś są podważane. Wśród potencjalnych organizatorów zamachu wymienia się zarówno wywiad sowiecki, polski, jak i amerykański.

MIĘDZY LEGENDĄ A RZECZYWISTOŚCIĄ

Historia rzekomej „polskiej bomby atomowej" pozostaje opowieścią pełną niedopowiedzeń. Choć wszystko wskazuje na to, że Polska nie była realnie bliska stworzenia własnej broni jądrowej, sama możliwość takiego scenariusza wciąż pobudza wyobraźnię i przypomina, jak wiele tajemnic skrywa okres PRL. Skala prowadzonych badań oraz rozmach projektu sprawiają, że temat ten do dziś budzi emocje i zainteresowanie, a badania Sylwestra Kaliskiego bez wątpienia pozostają świadectwem ogromnych ambicji naukowych epoki.

W obliczu współczesnych napięć geopolitycznych i rosnącego znaczenia odstraszania nuklearnego, pytania o miejsce Polski w tym systemie znów stają się aktualne.

eprasa.pl 66e954e427

Ból, który daje nadzieję



Fot. Grzegorz Wajda/REPORTER

Zakończona porażką walka o udział w mundialu ma tym bardziej gorzki smak, że postawa Polaków zasługiwała na awans. Ostatniego dnia marca w Sztokholmie kadra rozegrała świetne spotkanie, które powinno zapewnić udział w amerykańskim mundialu. Tymczasem godzimy się z bólem zawodu i świadomością, że tegoroczne lato będzie mniej słoneczne, niż zakładały prognozy. Jak odnaleźć sens w tej porażce?



MICHAŁ MUZYCZUK

Kto wie, czy w meczu ze Szwedami Polacy nie zaprezentowali się najlepiej od czasu spotkania w finale baraży do mistrzostw świata w 2022 r. ze... Szwecją! Cztery lata temu na Stadionie Śląskim strzeliliśmy naszym północnym sąsiadom dwie bramki. Tyle samo, ile parę dni temu w Sztokholmie. Ale wtedy zachowaliśmy czyste konto, teraz przyjęliśmy aż trzy celne ciosy od rywali. Tym bardziej okrutne, że każdego z nich można było uniknąć.

O porażce w finale mundialowych baraży zadecydowały pojedyncze błędy, bo Biało-Czerwoni pozostawili po sobie naprawdę dobre wrażenie. Niestety to reprezentanci Trzech Koron będą walczyć o wieczną chwałę na boiskach Meksyku, Kanady i Stanów Zjednoczonych, podczas gdy my pozostaniemy z nieprzemijającym uczuciem niedosytu. Tak niewiele brakowało...

KŁOPOTY Z ALBANIĄ

Półfinał baraży z Albanią, rozgrywany 26 marca na Stadionie Narodowym w Warszawie, miał być zaledwie rozgrzewką przed decydującym bojem ze Szwedami lub Ukraińcami. Wbrew pozorom mecz z niżej notowanym rywalem okazał się poważnym wyzwaniem, któremu Polacy ledwo sprostali. Selekcjoner Jan Urban zaskoczył zestawieniem pierwszej jedenastki: w miejsce pauzującego za kartki Nicoli Zalewskiego pojawił się Michał Skóraś, a na prawej flance biegał nieawizowany do gry przez ekspertów 17-letni Oskar Pietuszewski, lecz 19-letni Filip Rózga, którego mało kto widział w szerokim składzie kadry. Pierwsza połowa w wykonaniu Biało-Czerwonych była tragiczna, a bramka do szatni wbita przez Albańczyków stanowiła potwierdzenie polskiej indolencji.

Druga połowa okazała się zupełnie inną historią. Wprowadzony do gry Pietuszewski rozruszał polską ofensywę. Albańczycy zostali zepchnięci do obrony i dość szybko stracili dwie bramki. Przy obu asystował Sebastian Szymański, który już od jakiegoś czasu jest niezastąpionym trybem w machinie polskiej kadry.

18/0326/F

eprasa.pl 66e954e427

Liderzy polskiego zespołu stanęli na wysokości zadania, bo wyrównującego gola zdobył kapitan Robert Lewandowski, a bramka na wagę zwycięstwa była dziełem Piotra Zielińskiego. Pomocnik Interu emanował pewnością siebie – w ciągu kilkunastu minut trzy razy próbował sił z niemal identycznej pozycji przed polem karnym, ale nie zraził się niepowodzeniem i to właśnie czwarty strzał dał nam wygraną. Shqipëria, jak mówią o swoim kraju Albańczycy, znów obeszła się smakiem – to jeszcze nie czas na debiut Krainy Orłów w piłkarskich Mistrzostwach Świata.

BEZRADNA UKRAINA

Równolegle Szwedzi odprawili z kwitkiem Ukraińców. Mecz był rozgrywany w Walencji, bo ryzyko bombardowania ze strony Rosjan nie pozwoliło na zorganizowanie spotkania za naszą wschodnią granicą. Mimo gigantycznej przewagi w posiadaniu piłki Ukraińcy nie tworzyli zagrożenia pod bramką Kristoffera Nordfeldta.

Kibice Szwedów mogli się obawiać o siłę ataku swojej reprezentacji pod nieobecność Alexandra Isaka, napastnika kupionego przed trwającym sezonem przez Liverpool za kosmiczne 145 mln euro, który walczy o powrót do gry po złamaniu nogi w grudniowym meczu z Tottenhamem. Ale wielką formą w półfinale baraży błysnął Viktor Gyökeres, który od lata 2025 r. reprezentuje barwy Arsenalu. Napastnik, który w sezonie 2024/25 grając w Sportingu Lizbona, osiągnął bajeczny wynik 52 goli strzelonych w 49 meczach, przeciwko Ukraińcom, zaliczył hat-tricka. Bramka pod koniec spotkania była dla „gospodarzy" jedynie honorowym trafieniem, więc stało się jasne, że mecz o wszystko rozegrają pomiędzy sobą Polacy i Szwedzi.

NIEWYGODNY RYWAL

Aż ciężko uwierzyć, że tak niewiele razy mierzyliśmy się z wiecznie uchodzącymi za niewygodnych rywali Szwedami. Kibice wieku 40+ bardzo dobrze pamiętają fatalne porażki z naszymi północnymi sąsiadami w eliminacjach do mistrzostw Europy w latach 2000 i 2004, kiedy to odpowiednio ani Janusz Wójcik, ani Paweł Janas nie znaleźli sposobu na ekipę Trzech Koron. Kibice z nieco większym stażem pamiętają również fatalne porażki z eliminacji do mistrzostw świata w 1990 r. Ostatnio przegraliśmy ze Szwecją 2:3 na EURO 2020 w naszym ostatnim meczu grupowym, co przypieczętowało koniec polskiej przygody w kontynentalnym czempionacie. Ale te wszystkie blamaże spajała jakże piękna klamra: w 1974 r. gol Grzegorza Laty ze Szwedami okazał się kluczowy w drodze po medal Mistrzostw Świata. Z kolei pół wieku później, w marcu 2022 r., na Stadionie Śląskim to właśnie Szwedzi zostali ograni przez Polaków w finale baraży o mundial.

Brak Isaka stanowił dla Szwedów poważne osłabienie, zresztą podobnie

REKLAMA



eprasa.pl 66e954e427

jak nieobecność Dejana Kulusevskiego, skrzydłowego Tottenhamu, który już od niemal roku leczy kolano. Ale przecież Gyökeres to niejedyna broń w arsenale Trzech Koron. Anthony Elanga z Newcastle United, Benjamin Nygren z Celtic Glasgow, Daniel Svensson z Borussi Dortmund, Yasin Ayari z Brighton – trzon reprezentacji Szwecji tworzą urodzeni już w XXI w. zawodnicy z naprawdę poważnych klubów. Niemniej jedenastka, w której znajdują się Lewandowski, Zieliński oraz święcący triumfy duet stoperów z FC Porto – Jan Bednarek i Jakub Kiwior – nie powinna mieć kompleksów wobec nikogo.

I nie miała. Powiedzmy sobie jasno – mecz ze Szwecją był najlepszym spotkaniem reprezentacji Polski od dawna. Być może od poprzedniego finału barażu ze Szwedami... To Biało-Czerwoni dyktowali tempo gry, a każdy zawodnik delegowany przez Jana Urbana na murawę pokazywał, że rozumie założenia taktyczne i potrafi je zrealizować. Nicola Zalewski okazał się tym ogniwem, którego brakowało w starciu z Albanią. Sebastian Szymański przechodził samego siebie w dziedzinie reżyserii gry, a Piotr Zieliński niewiele mu ustępował. Szymański dodawał do tego brawurowe interwencje w defensywie, a wtedy z przodu do głosu dochodził niemożliwie kreatywny Jakub Kamiński. Polska grała piłką, prowadziła mecz, nie pozwalała Szwedom niemal na nic.

A jednak to właśnie oni otworzyli wynik meczu po akcji, która była dowodem na to, że wszystko ma swoje efekty uboczne. Polski polot i fantazja były spowodowane również brakiem klasycznego defensywnego pomocnika, a to właśnie ten zawodnik grałby w strefie, z której gola strzelił Elanga. Ale wyrównanie Zalewskiego tylko potwierdzało, że sukces jest jedynie kwestią czasu. Tym razem to Szwedzi mieli swoją obronę Częstochowy. Los bywa jednak przewrotny: zła decyzja sędziego o rzucie wolnym, błąd w kryciu przy stałym fragmencie gry i Szwedzi strzelają na 2:1.

Bramka do szatni zadziałała na polskich piłkarzy podobnie, jak trafienie Albańczyków parę dni wcześniej. Dominacja nad Szwedami stała się jeszcze bardziej widoczna. Trafienie Karola Świderskiego po asyście Zalewskiego, który tym samym przypieczętował tytuł MVP spotkania, potwierdzało nieunikniony triumf Polaków. Nawet jeśli nie zwycięstwo w regulaminowym czasie gry, to przecież zawsze jest pół godziny dogrywki... Wystarczył jeden moment dekoncentracji w defensywie, żeby Szwedzi starli nasze marzenia w pył.

Jan Urban nieco niespodziewanie wystawił w pierwszym składzie rosłego obrońcę Widzewa Łódź Przemysława Wiśniewskiego, aby linia obrony była wyższa. Były defensor Spezii wywiązał się ze swoich zadań z nawiązką, bo schował Gyökeresa do kieszeni i nakrył czapką. Ten niestety pokazał swoją wielką klasę w jednej z ostatnich akcji meczu. Po intuicyjnej obronie Kamila Grabary i dobitce w słupek to właśnie zneutralizowany wcześniej zawodnik Arsenalu dopadł do futbolówki i bez wyrzutów sumienia pogrzebał nadzieje polskich kibiców.

Od lat nie widzieliśmy Polaków tak świetnie operujących piłką i konstruujących tak groźne akcje. Zadecydowały indywidualne błędy w kryciu oraz moment rozprężenia.

> Paradoksalnie przegrany finał baraży pozwala mieć nadzieję. Jan Urban potwierdził, że jest w stanie stworzyć drużynę, która potrafi grać w piłkę, prowadzić mecz, poświęcać się ofensywie. W Sztokholmie – jakkolwiek banalnie by to nie zabrzmiało – Polacy mieli pecha i popełnili indywidualne błędy

CO DALEJ?

Z pewnością pewien etap w kadrze dobiegł końca. Smutny post Lewandowskiego, okraszony wiele mówiącymi słowami piosenki „It's Time to Say Goodbye" mówi wszystko. Latem napastnik Barcelony skończy 38 lat, więc mimo nostalgii, nie powinniśmy być zaskoczeni. Ale to tylko jedna strona medalu. Bo z drugiej wciąż mamy Piotra Zielińskiego, podstawowego zawodnika Interu, wicemistrza Włoch, który pewnie zmierza po odzyskanie tytułu najlepszego klubu na Półwyspie Apenińskim. Jest Nicola Zalewski z Atalanty, który wciąż ma dopiero 24 lata. Jest Jakub Kamiński, zawodnik o naturalnych cechach lidera, który bez problemu dźwiga ciężar walki o utrzymanie w Bundeslidze jako podstawowy zawodnik Kolonii. O potencjale Oskara Pietuszewskiego z FC Porto już pisaliśmy, a w odwodzie jest przecież wypatrzony przez selekcjonera Filip Rózga ze Sturmu Graz. Sebastian Szymański po przejściu z Turcji do Francji stał się pewnym punktem walczącego o europejskie puchary Rennes. Dzięki wspólnej grze w Porto duet stoperów Bednarek–Kiwior to samonapędzająca się machina. Nie zapominajmy o Jakubie Moderze, który przecież w Feyenoordzie jest królem środka pola. Można narzekać na Kamila Grabarę, który nie okazał się zbawcą polskiej bramki. Ale w kolejce są inni, którzy też zasługują na szansę.

Paradoksalnie przegrany finał baraży pozwala mieć nadzieję. Jan Urban potwierdził, że jest w stanie stworzyć drużynę, która potrafi grać w piłkę, prowadzić mecz, poświęcać się ofensywie. W Sztokholmie – jakkolwiek banalnie by to nie zabrzmiało – Polacy mieli pecha i popełnili indywidualne błędy. To w żadnym razie nie przekreśla metody, którą przyjął selekcjoner i drogi obranej przez kadrę. Decyzja o przedłużeniu współpracy z Janem Urbanem jest słuszna. Tak, teraz cierpimy, ale może to być porażka, z której wykuje się nowy charakter narodowej drużyny. Na horyzoncie mającą zwycięstwa, które odniesiemy pamiętając o tym, jak dobrze zagraliśmy w ten bolesny marcowy wieczór.

eprasa.pl 66e954e427



Żartuje, że w tym roku będzie wyskakiwać z każdej lodówki. Kinową „Dramą” Zendaya rozpoczyna właśnie spektakularną trasę. Są też na niej: „Odyseja”, „Diuna: Część trzecia”, „Spider-Man: Całkiem nowy dzień” oraz trzeci sezon „Euforii”

Wzorzec i drama z atutami

Fot. Filippo Monteforte/AFP/East News

eprasa.pl 66e954e427



Kadr z filmu „Drama”



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Mam tylko nadzieję, że ludzie się mną nie znudzą” – komentuje w jednym z najnowszych wywiadów. „Bardzo doceniam wszystkich, którzy wspierają którykolwiek z tych filmów albo w jakikolwiek sposób wspierają moją karierę. Jestem za to ogromnie wdzięczna” – zapewnia. I już wiadomo, dlaczego – nie tylko dzięki aktorskiemu talentowi – ma tak skuteczną oraz ugruntowaną pozycję w show-biznesie.

Doceniając to, co dzieje się wokół, Zendaya zapowiada jednocześnie, że już niedługo na jakiś czas... zniknie. Będzie musiała, jak mówi, przez chwilę się ukryć. Taka deklaracja jeszcze mocniej podgrzewa atmosferę wokół jej tegorocznych projektów. I niej samej. Bo Zendaya to dziś show-biznesowy wzorzec globalnego sukcesu. Umiejętności dotarcia do – najbardziej pożądanego – młodego odbiorcy.

AUTENTYCZNE RELACJE

Wracając jednak do tego, co aktorka odda widzom w tym roku. Zaczęła nietypowo – kameralną czarną komedią, w której z idolowego, wampirzego monumentu – celowo – spadł z hukiem jej ekranowy partner Robert Pattinson. To on przeszedł na ekranie spektakularną przemianę, tworząc bohatera bez mocy (obecnej w sadze „Zmierzch”, która wyniosła go na wyżyny popularności i na lata zmroziła w wampirzym wizerunku). Niedojrzałego i – mimo społecznej pozycji – niepewnego oraz emocjonalnie rozchwianego. Fiksującego się na tytułowej „dramie”, co uruchamia lawinę coraz bardziej zaskakujących i niepożądanych sytuacji. I to tuż przed ślubem. Z dziewczyną, którą jest autentycznie zafascynowany. Czy kochający? Na swój sposób tak.

Wielką zasługą Zendai jest stworzenie z – tak nakreślonym scenariuszowo partnerem – autentycznej relacji. Wpisanie się w wiarygodny duet bardzo różnych od siebie emocjonalnie postaci, a także odmiennego aktorskiego warsztatu. „Drama” z takim gwiazdorskim duetem może zaskoczyć formułą, ale to właśnie obsada jest jej wielkim atutem.

OD EUFORII DO DIUNY

Jeszcze w połowie tego miesiąca Zendayę będzie można zobaczyć na małych ekranach w zamykającym projekt trzecim sezonie kontrowersyjnego, ale cieszącego się popularnością serialu, w którym (od 2019 r.) gra wychodzącą z nałogu nastolatkę.

Natomiast latem z zupełnie inną energią i w widowiskowym hollywoodskim stylu aktorka pojawi się w wyczekiwanej „Odysei” Christophera Nolanda (premiera 17 lipca). Dwa tygodnie później na ekrany wkroczy „Spider-Man: Całkiem nowy dzień” (w kinach od 31 lipca). W tym drugim tytule Zendaya gra z życiowym partnerem Tomem Hollandem, a atmosferę oczekiwania na kolejną odsłonę widowiska podgrzewają informacje o super utajnionym ślubie pary.

Na finał 2026 r. zapowiadana jest premiera „Diuny: Część trzecia” (na polskich ekranach od 18 grudnia). W tej zamykającej sagę megaprodukcji też wystąpił Robert Pattinson. Zagrał głównego przeciwnika Atrydy Scytalesa – „bezwzględnego manipulatora i mistrza przeobrażeń”, który jest zapowiadany jako „antagonista mrożący krew w żyłach”.

SIĘGAĆ PO SWOJE

Mówi się, że reprezentuje generację świadomą, progresywną, redefiniującą wiele narracji. Zendaya skutecznie „sięga też po swoje”.

Jest nie tylko aktorką, lecz także piosenkarką i producentką, która od kilku lat konsekwentnie buduje swoją pozycję w świecie show-biznesu. Ogromną rozpoznawalność przyniosła jej rola w serialu „Euforia”. Miała szczęście, że nastąpiło to w czasie hollywoodzkiego przełomu, kiedy drzwi do wielkich produkcji uchyliły się także dla przedstawicieli innych grup etnicznych. Dostała angaż do dwóch wielkich serii filmowych, czyli Spider-Mana oraz „Diuny” i wykorzystała tę szansę do maksimum.

Jej zarobki pochodzą nie tylko z planów filmowych, lecz także z kontrak-

Fot. Monolith Films

eprasa.pl 66e954e427

tów reklamowych z największymi markami modowymi i kosmetycznymi. W 2025 r. majątek Zendai szacowano na ok. 30 mln dol., co czyni ją jedną z najlepiej zarabiających młodych aktorek w Hollywood.

ZENDAYA RZĄDZI

Urodziła się 1 września 1996 r. w Oakland, niedaleko San Francisco. Zendaya Maree Stoermer Coleman ma korzenie niemieckie i afrykańskie. Ponoć jako dziecko była bardzo nieśmiała, ale rodzice – z zawodu nauczyciele – od początku ją aktywizowali, dostrzegając i wspierając rozwój jej kiełkujących talentów.

Była dziecięcą modelką w reklamówkach. Należała też do zespołu hip-hopowego oraz grupy muzycznej Kidz Bop Kid. Jako 14-latka trafiła na plan serialu „Taniec rządzi" (2010–2013) i przez kolejne osiem lat królowała w kolejnych produkcjach Disney Channel, stając się nastoletnią gwiazdą. Już wtedy była świadoma roli, jaką może odegrać. W jednym z wywiadów mówiła: „Młodej osobie o innym pochodzeniu etnicznym ciężko jest patrzeć w telewizor i nie widzieć nikogo, kto wygląda jak ty. Reprezentacja jest bardzo ważna".

Dzięki rosnącej popularności jako 16-latka wzięła udział w amerykańskim „Tańcu z gwiazdami". Potem wydała debiutancki album z przebojem „Replay" i... napisała poradnik dla rówieśniczek – „Between U and Me: How to Rock Your Tween Years with Style and Confidence".

MEDIALNA POZYCJA

Na dużym ekranie zadebiutowała, mając lat 20. Jako Michelle „MJ" Jones weszła do świata Marvela i filmu „Spider-Man: Homecoming". To na tym planie stworzyli filmową parę z Tomem Hollandem. Potem był „Król rozrywki". Tu, wcielając się w artystkę na trapezie, sama wykonała większość akrobacji, a także zaśpiewała trzy piosenki do filmu (jedna z nich otrzymała nawet nominację do Oscara). Zendaya została zauważona i doceniona kolejnymi propozycjami, m.in. w sequelu „Spider-Man: Daleko od domu" (2019) oraz filmie „Spider-Man: Bez drogi do domu" (2021).

Dostała też propozycję serialowej roli, dzięki której stworzyła brawurową i nagradzaną kreację nastoletniej narkomanki. „Euforia" – poza statuetką Złotego Globu – przyniosła jej aż dwie nagrody Emmy.

W 2021 r. wystąpiła jako Fremenka Chani w pierwszej „Diunie". W kolejnych częściach jej postać się rozbudowywała, zarówno dzięki talentowi aktorki, jak i jej medialnej sile. Show-biznesowa pozycja Zendai pozwoliła też na rozwinięcie spektakularnej akcji promocyjnej filmu „Challengers", w którym zagrała byłą tenisistkę i trenerkę. Jako ikona mody zainicjowała trend, w którym na pokazach przedpremierowych gwiazdy produkcji pojawiają się w stylizacjach nawiązujących do filmu.

W BŁYSKU FLESZY

Każde pojawienie się Zendai na czerwonym dywanie jest zauważane, bo spektakularnie potrafi się zmieniać. Doskonale opanowała też umiejętność kreowania wizerunku. Bardzo często pojawia się na okładkach magazynów i zajmuje wysokie pozycje w profesjonalnych rankingach modowych. Do tego sama projektuje odzież (dwukrotnie stworzyła własną linię ubrań), a także jest twarzą wielu marek fashion i beauty, takich jak Lancôme, Bulgari czy Valentino.

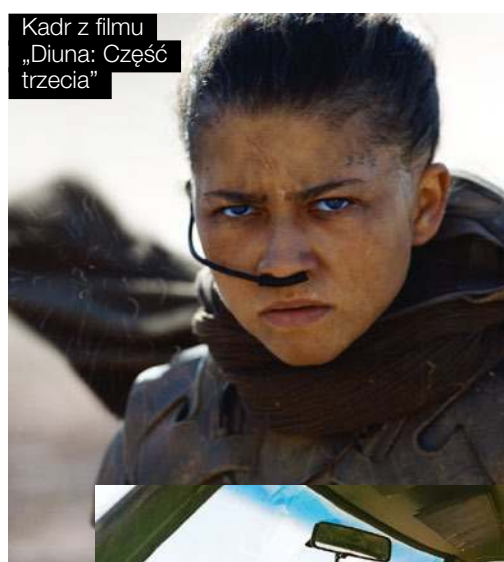
Na profilu na Instagramie, gdzie obserwują ją miliony osób, chętnie pokazuje znaczące, piękne i silne kobiety różnych ras oraz grup etnicznych.

RAZEM I DLA SIEBIE

Chociaż z Tomem Hollandem spotyka się od filmu „Spider-Man: Homecoming" (2016), dopiero latem 2021 r. postanowili ogłosić swój związek. W styczniu 2025 r., na gali Złotych Globów, aktorka pojawiła się z diamentowym pierścionkiem na serdecznym palcu. Dziś media rozgrzewają spekulacje, kiedy i w jakich okolicznościach para wzięła ślub. Coraz częściej też – już łącznie – liczony jest ich majątek (ma zbliżać się do 60 mln dol.), powiększany przez kolejne filmy i kontrakty reklamowe.

Ciekawe, na jak długi odpoczynek od grania – przy takim show-biznesowym tempie – pozwoli sobie Zendaya. Skoro już pojawiają się spekulacje, że wejdzie do obsady kolejnej superprodukcji – „Avengers: Doomsday". Wiadomo też, że w przyszłorocznej premierze „Shreka 5" użyczy głosu nastoletniej córce Shreka i Fiony, Felicii.

Jednak reszta zawodowych, a zwłaszcza życiowych planów aktorki pozostaje w fazie przypuszczeń. Pomimo rosnącej popularności i medialnego zainteresowania, oboje z Tomem Hollandem konsekwentnie oddzielają życie osobiste od branżowego. Zendaya podkreśla: „Kiedy [...] zależy ci na drugiej osobie, niektóre chwile chcesz zachować tylko dla siebie".


Kadr z filmu „Diuna: Część trzecia"


Kadr z trzeciego sezonu „Euforii"

Fot. Warner Bros., HBO

eprasa.pl 66697



HITY i KITY ZAREMBY



Operowa apokalipsa Tuwima

Zachwycony operą rockową „Jesus Christ Superstar", zrealizowaną w Toruniu przez Agnieszkę Płoszajską, podążyłem za jej twórczością. Warszawska Opera Kameralna właśnie wystawiła jej wersję „Balu w operze". Ten poemat Juliana Tuwima z 1936 r., apokaliptyczny portret zdemoralizowanych elit, jest w całości śpiewany

W wymiarze językowym to arcydzieło słowotwórstwa – obrazy są tu mięsiste, przerażająco przerysowane, przetkane drastycznościami, czasem wulgaryzmami. Treścią jest atak na ówczesne elity – sanacyjne, a nawet bardziej kapitalistyczne. Dostajemy koszmarny sen o świecie staczającym się w przepaść. Otwarty zresztą fragmentem z biblijnej Apokalipsy św. Jana.

Ekipa zgromadzona przez Płoszajską gra to w tzw. Basenie Artystycznym. Śpiewający aktorzy poruszają się po pomoście między rzędami usadowionej jak w knajpie publiczności lub schodzą z niego barwnymi korowodami na podest wypełniony stolikami. W ten sposób w jakiejś mierze uczestniczymy w spektaklu. Jeszcze przed rozpoczęciem artyści wdzięczą się do widzów, robią sobie z nimi sweet focie.

Nie jako znawca, ale miłośnik muzyki muszę uznać techniczną perfekcję widowiska. Muzykę przygotował Leszek Możdżer, nieustannie widoczny w swoim białym garniturze mistrz ceremonii, grający na fortepianie i śpiewający. Płoszajska przestrzegła w wywiadzie, że tło muzyczne, bez wątpienia najbliższe jazzowi, ma być trudne. Ja odebrałem je jako porywające, wraz z wszelkimi tanecznymi i wizualno-plastycznymi niezwykłościami.

I dwie refleksje dotyczące scenicznej wymowy. Reżyserka przy pomocy Małgorzaty Słoniowskiej przebiera młodych wykonawców w barwne, pstrokate kostiumy dzisiejszych bywalców muzycznych klubów. A przecież śpiewają nam o admirałach i ambasadorach. Czy to oznacza, że dziś rolę dawnych dygnitarzy zajęły elity, nazwijmy je umownie – progresywne? Skądinąd pasujące do tuwimowych scen pijaństwa, obżarstwa i hedonistycznego seksu. Jakże plastycznie tłoczą się ci aktorzy wokół baru. Przypomina się choćby afera Epsteina.

Druga refleksja jest wątpliwością. Klimat szampańskiej, wspólnej – podkreślmy to – zabawy może stępiać satyryczne ostrze tuwimowych tekstów. Zwłaszcza kiedy trzeba się wsłuchiwać w wyśpiewywane słowa, a wygodniej jest mieć wrażenie, że balujemy razem z aktorami. Owszem, tekst jest nawet wyświetlany, ale czy wszyscy nadążali z czytaniem?

Może jednak w tej konwencji kryła się przewrotność inscenizatorki? Kto z widzów chce, ten się wsłucha. A reszta? Skoro są aktorami w widowisku, będą w nim grać do końca. I jeszcze się z tego cieszyć.

Tuwim prawi nam o dzikiej chciwości, o roli pieniądza, o hedonizmie uciech. Przewija się też wątek szalejącej za oknami ideologii. Lata 30. to taka sama drapieżna polaryzacja ideologiczna jak dziś. Nic dziwnego, że kończy się masakrą.

Z jednym niekoniecznie się zgadzam. Spektakl zamyka piosenka z mottem: „Wasza jest krew, a ich jest nafta". Wzięto ją z innego utworu – „Do prostego człowieka". Jest z 1929 r. i wzywa do ciśnięcia karabinem o bruk. W zasadniczym poemacie są pacyfistyczne akcenty, ale nie tak kategoryczne. Trudno było wzywać do porzucania karabinu w obliczu zagrożenia ze strony Hitlera. Dziś takim językiem część lewicy – a także prawica Grzegorza Brauna – potępia Trumpa i jednocześnie wzywa do wystrzegania się walki z Putinem.

Forma tego spektaklu daje niewiele miejsca na indywidualne popisy. Może tylko Jeremiasz Gzyl czarował nas sugestywnie jako drugi po Możdżerze mistrz ceremonii. Z podziwem patrzyłem na takie operowo-musicalowe gwiazdy jak Maciej Tomaszewski, które perfekcyjnie wtapiają się w znakomite chóry. Cóż, taka praca.

Piotr Zaremba



Kto w serialu gra teczkami

Obiecywałem monitorować nakręcony dla TVP serial „Wojna zastępcza" Denisa Delicia. Okazja nasuwa się już przy 4 odcinku (z 12). Nagle zabawy przypowiastkami o służbach specjalnych na początku III RP zmieniają się w agresywny polityczny felieton

Delić to chorwacki reżyser, który zapisał się znanym filmem „Dywizjon 303. Historia prawdziwa". Jak by nie było, to obraz historyczny. Już po pierwszych odcinkach serialu pojawiły się głosy, że „Wojna zastępcza" ma niewiele wspólnego z realiami służb specjalnych. Byłem gotów dać mu szansę, choćby z powodu obsady (Paulina Gałązka, Cezary Żak i inni).

Punktem wyjścia opowieści jest wprowadzenie do wywiadu czwórki młodych ludzi spoza dawnego systemu. Ściąga ich tam nowy szef Urzędu Ochrony Państwa Sadowski – w 1990 r. Skoro mamy prawdziwe daty i instytucje, możemy zestawiać prawdę historyczną z jej imitacją. Szefem UOP, który niby budował od początku nowy wywiad, był Andrzej Milczanowski. Nie przypominał Sadowskiego, którego gra wyluzowany Mirosław Haniszewski. Milczanowski był starszy, kostyczny i od początku zakochany w peerelowskich „fachowcach".

Pierwsze odcinki nie dotykały wielkiej polityki. Były gry i zabawy z Rosjanami przy okazji ewakuacji Armii Czerwonej z Polski. W odcinku czwartym te wzajemne podchody trwają nadal, skądinąd z wieloma scenariuszowymi lukami. Ale nagle widza walnięto obuchem politycznej felietonistyki.

Sadowski odbiera telefon od polityka tytułowanego „prezesem". Nie tylko odmawia mu pokazania jakichś teczek, lecz także rzuca „Niech pan pozdrowi męża". To odzywka, jaką Lech Wałęsa zaserwował Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Dalej tenże Sadowski wykłóca się z demonicznym Antonim Macierewiczem. Niezłomny szef UOP chroni tajemnic z czasów PRL, podczas gdy źli politycy prawicy chcą z nich korzystać. W rzeczywistości Milczanowski sam korzystał z teczek agentów. W 1992 r., kiedy powoływano go na szefa MSW, opowiadał, że sięga do nich jak „do spiżarki". Jeszcze przed Macierewiczem on pierwszy sporządził listę polityków, którzy byli kiedyś agentami. Nie ogłaszał jej. Ale z taką mógł wiedzą manipulować ludźmi. Co więcej, pokazał ją Kaczyńskiemu.

Co zabawne, Delić i trójka jego współscenarzystów fantazjują także na temat Milczanowskiego. Sadowski miał donosić, zmuszony do tego przez SB (nazywaną tu konsekwentnie UB) w trosce o zdrowie syna. Prawdziwy Milczanowski nie był tajnym współpracownikiem, a tkliwa historyjka rodzinna jest przypisywana innym ludziom Solidarności. Macie panowie do czynienia z żywą tkanką historii. Czy to moralne tak nią manipulować? A uwaga o „prezesie z mężem" jest chamska. Pytanie tylko, ilu widzów dorobił się serial pokazywany w niedzielnym prime time.

PANDEMIA W WYMIARZE WYPRACOWANIA



„Stan podgorączkowy" Mariusza Gołosza to telewizyjny spektakl będący efektem konkursu na konkretny temat. Autor przyznaje, że podjął się stworzenia tekstu na zamówienie. Wyszło coś poprawnego, niczym wypracowanie napisane przez spostrzegawczego ucznia. Wolałbym efekt pasji

Ten temat to pandemia, której nie przetrawiliśmy. Było kilka dygresji w filmach, to wszystko. A mieliśmy klaustrofobiczne doświadczenia, degradację wielu ludzi, przy okazji konflikt różnych wartości.

„Stan podgorączkowy" reżyserowała Nastazja Gonera, córka pary znanych aktorów, debiutantka. Dostajemy opowieść o młodym człowieku, Maćku, który wprowadza się do mieszkania zajmowanego przez innych sublokatorów. Pandemia jest dla nich klęską, bo tracą pracę. Są skazani na gnieżdżenie się w ciasnej przestrzeni bez wielkiej nadziei na poprawę losu. Mamy tu typowe sztuczki stosowane przy takiej tematyce: pełen dystansu monolog narratora, rozmowa z portretem na ścianie (w pewnym momencie ożywającym) czy wyobrażanie sobie przez bohatera sytuacji, które tak naprawdę nie zaszły.

Nawet nie wypominam, bo ciężko nakręcić coś o zwykłych ludziach bez powtórzeń po innych. Może mały realizm jest czasem potrzebny, by uczyć się empatii. Porwać to nie porwało, ale powtórzę to, co pisałem przy wielu okazjach: przynajmniej nie pouczają i nie uprawiają publicystyki.

Czasem przy okazji próbowania archetypów rodzą się perełki, jak w przypadku filmu „Polish Horror story" Adriana Apenela. Inny młody człowiek szuka tam swego miejsca w dziwnej willi, a my dostajemy trochę absurdu, trochę zgrabnej satyry. Tu zdarzyło się niewiele. A autorzy mieli skarb w postaci Bartłomieja Deklewy w roli Maćka. W serialu Netfliksa „#BringBackAlice" w roli licealisty-dealera z problemami wydał mi się ciekawszy niż reszta młodych bohaterów, w efekcie tragiczny. Wygląda niezbyt charakterystycznie, a jednak przyciąga uwagę.

Tu jego talenty wykorzystano połowicznie. Rozbawiła mnie wymiana zdań po przedstawieniu. Pani psychiatra stwierdziła, że główny bohater jest „atypowy" i z depresją. Zdziwiło to i autora, i reżyserkę.

ZOFIA ZAŁĘSKA **HISTORYK SZTUKI, MUZEALNIK**

Memy i wyprawa do średniowiecza



Gdybym mogła przenieść się w czasie, wyruszyłabym w podróż – jakżeby inaczej – do średniowiecza. Droga poprowadziłaby np. w okolice Paryża, także do Dublina, Canterbury, a może i Gdańska – mówi promotorka epoki fantastycznej, a zarazem – wizualnie i kreacyjnie – zaskakująco bliskiej współczesności.

Nie bez powodu w tytule książki Zofii Załęskiej ukrył się wszechobecny dziś w kulturowej komunikacji mem.

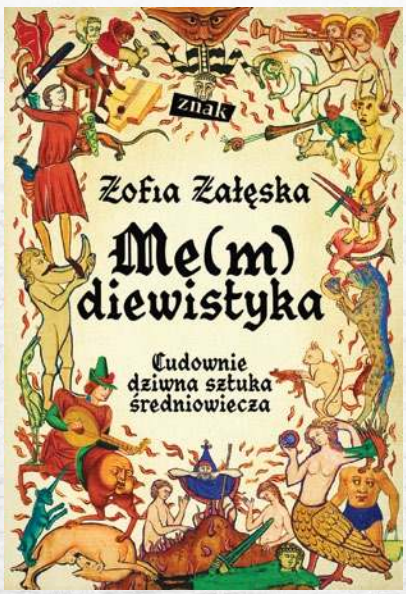
– Jestem mediewistką i osobą zakochaną w sztuce średniowiecza obszaru Europy łacińskiej. Właśnie ukazała się moja książka „Me(m)diewistyka. Cudownie dziwna sztuka średniowiecza". Pisząc ją i omawiając moje ulubione zabytki, podróżowałam w wyobraźni do wielu fantastycznych miejsc.

W swojej pracy naukowej zajmuję się przede wszystkim manuskryptami i to chyba właśnie im chciałabym poświęcić moją wyprawę w przeszłość. Z chęcią zobaczyłabym kulisy produkcji któregoś z moich ulubionych rękopisów – może modlitewnika z początku XV w. znanego jako „Bardzo bogate godzinki księcia de Berry"? Przepiękne miniatury wykonali do niego bracia Limbourg, jedni z najważniejszych artystów nurtu, który dziś określamy gotykiem międzynarodowym. Zobaczenie ich przy pracy byłoby dla mnie nie lada gratką.

Rękopis można dziś oglądać w Muzeum Kondeuszy (Musée Condé) w Chantilly (40 km na północ od Paryża), gdzie stanowi jeden z najważniejszych obiektów w kolekcji, a także dotrzeć do niego online. Bardzo do tego zachęcam, bo jest zachwycający. Swoją drogą, zobaczenie kolekcji Jana de Berry'ego, jednego z najbardziej znanych mecenasów sztuki swojej epoki, też byłoby wspaniałym przeżyciem.

Czuję, że podróż w średniowiecze wykorzystałabym, aby odkryć tajemnice, których badacze i badaczki nie są w stanie rozwikłać. Weźmy np. „Księgę z Kells", spisany ok. 800 r. manuskrypt zawierający teksty czterech Ewangelii. Jest znany ze wspaniałej dekoracji insularnej (czyli wyspiarskiej – powstał na terenie Wysp Brytyjskich), która umiłowała sobie wzory geometryczne i plecionki.

Manuskrypt jest przechowywany w zbiorach biblioteki Trinity College w Dublinie, a powstał... no właśnie, nie do końca wiadomo gdzie. Jego nazwa pochodzi od opactwa, w którym na pewno był przechowywany od XI lub XII w. – irlandzkiego Kells. Istnieje teoria, że księga mogła powstać właśnie tam. Może jednak wykonano ją na wyspie Iona leżącej u wybrzeży Szkocji, może częściowo tu, a częściowo tu. A może jeszcze gdzieś indziej? Rozwiązanie tej zagadki byłoby fascynujące.



Na mojej liście marzeń jest także zobaczenie wnętrza średniowiecznego kościoła, pełnego kolorowych malowideł na ścianach, nastaw ołtarzowych, rzeźb i tapiserii – świątynie średniowiecza były pełne niezwykłych skarbów. Nie wiem, czy umiałabym wybrać tylko jeden. Czy byłaby to bazylika św. Dionizego w Saint-Denis pod Paryżem? W końcu to nekropolia królów francuskich i budowla, która zapoczątkowała nową „modę" architektoniczną na styl gotycki. A może katedra w Canterbury zaraz po kanonizacji zabitego i pochowanego tam w 1170 r. Tomasza Becketa, kiedy pielgrzymi płynęli nieprzerwanym strumieniem? No, może wybrałabym się tam kilka lat później – kościół trzeba było solidnie przebudować ze względu na pożar.

Mocnym kandydatem jest także gdański kościół mariacki na samym początku XVI w., kiedy przekryto go skomplikowanymi sklepieniami gwiaździstymi, kryształowymi i sieciowymi. Monumentalna świątynia robi wrażenie nawet dziś, a co dopiero wtedy!

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

eprasa.pl 66e954e427



SŁODKO-SŁONY

Kotlet ziemniaczany z pieczarkami

ANNA MONICKA

Jeśli spodobał wam się tekst o ziemniaku – a podobno tak – zachęcam do dalszych kulinarnych zabaw z tym ciekawym warzywem, które powinno być wychwalane i jedzone jako samodzielne danie, czasem nawet ekskluzywne, a nie obiadowy zapchajbrzuch.

Przy okazji obejrzyjcie przeuroczy francusko-belgijski film „Délicieux" o wybitnym kucharzu i jego perypetiach wywołanych przez danie z ziemniaka. Otóż Pierre przyrządził dla rozbestwionych gości księcia Chamfort starter cymes z kartoflem w roli głównej (w filmie proces powstawania tego dzieła jest pokazany tak dokładnie i smakowicie, że każdy może samodzielnie zmierzyć się z daniem). Wszyscy się nim zajadali, dopóki ktoś nie zauważył, z czego jest farsz. Pierre, który ośmielił się skalać pańskie podniebienia rosnącą w ziemi bulwą, ściąga na siebie gniew patrona – w końcu ziemniaki są dla świń, a nie dla wyfiokowanych panów – i zostaje wyrzucony z pracy. Otwiera więc przydrożną gospodę, w której karmi nie tylko szlachetnie urodzonych, lecz także mieszczan i chłopów. Wkrótce sława jego potraw dociera do księcia, tęskniącego nie tyle za wzgardzonym kucharzem, ile za jego przysmakami. Jak się ta historia skończy – warto obejrzeć. Dodam tylko, że kucharz będzie się rozkoszował swoją bezkrwawą zemstą kilka dni przed zdobyciem Bastylii.

A fanom ziemniaka polecam danie mojej mamy, podawane u nas wprawdzie z sosem pieczarkowym, nie z truflą, ale godne nawet najbardziej wymagającego podniebienia. Pasuje też do łososia, pieczonego mięsa czy gulaszu. Na kotlety dla trzech, czterech osób potrzebujemy kilograma ugotowanych i wystudzonych mączystych ziemniaków. Trzeba je przepuścić przez maszynkę albo dokładnie utłuc, żeby nie było grudek, posolić, popieprzyć, dodać do środka podduszoną na maśle cebulkę i dwa jajka, po czym porządnie wyrobić na gładką masę. Gdyby była za rzadka, można podsypać odrobinę tartej bułki. Formujemy kotleciki, obtaczamy w bułce i smażymy na złoty kolor. Wcześniej robimy sos grzybowy – dusimy pół kilograma pieczarek i osobno cebulkę, potem łączymy i dodajemy śmietanę. Obficie posypujemy koperkiem lub inną zieleniną. Smacznego.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Wróbel z lotniska

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na jednym z dużych europejskich lotnisk obserwowałem kiedyś samca wróbla domowego. Miało to miejsce w terminalu – rozległym budynku odizolowanym od świata zewnętrznego, pełniacym bardzo wiele funkcji związanych z masowym transportem ludzi i towarów. Funkcji tych jest wiele, jednak nie ma wśród nich przyrodniczych, a z pewnością terminale nie są pomyślane jako siedliska zwierząt.

Prędzej czy później przyroda pojawia się jednak wszędzie. Np. pod postacią wróbla. A zapewne nawet całej ich populacji – chociaż obserwowałem jednego osobnika, jego zachowanie wskazywało, że czuje się swojsko, a miejsce to nie jest mu obce. Ponieważ wróble są ptakami towarzyskimi i trzymają się w grupach, nie czułby się dobrze, jeżeli nie miałby towarzystwa innych wróbli.

Tymczasem wróbel wyglądał na zadomowionego. W dodatku jego zachowanie wykazywało modyfikacje – było odmienne od zachowania wróbli domowych w naturalnym środowisku i dostosowane do specyfiki otoczenia. Może zresztą określenie „naturalne środowisko" w przypadku tego gatunku należy rozszerzyć i może właśnie lotnisko również jest takim naturalnym środowiskiem wróbla domowego. Pozostaje on bowiem jednym z tych gatunków, które potrafią się dostosowywać do różnych warunków i miejsc, a ich obecność na terenach przekształconych przez człowieka zaczęła się tak dawno, że dziś trudno by było bez wahania wskazać „naturalne środowisko" wróbla domowego.

W każdym razie wróbel z lotniska postępował inaczej niż np. wróbel z tradycyjnego placu targowego. W pierwszej chwili pomyślałem nawet, że to jakiś inny ptak. Zwykle wróble podlatują na małe odległości. Przysiadają tu i tam, ćwierkają, nawołując się nawzajem, rozglądają się po otoczeniu, podlatują do ludzi, licząc na okruszki itp.

Wróbel z lotniska zachowywał się inaczej: pojawiał się nagle i szybko przelatywał dłuższe odcinki. Nie odzywał się, nigdzie nie przysiadał – leciał pomiędzy znanymi sobie miejscami, tak aby szybko przemieścić się z punktu A do punktu B. Sam lot też był specyficzny: równy, a nie falistą linią, typową dla wróbli, być może ze względu na konieczność omijania wentylatorów, co wymuszało utrzymywanie odpowiedniej wysokości.

Obserwowanie wróbla w nietypowych okolicznościach było ciekawe i pouczające, świadczy bowiem o wybitnych zdolnościach adaptacyjnych gatunku.

eprasa.pl 66e954e427

3 MIŁOŚCI

Świadectwo mocy



ROBERT TEKIELI

Jeśli żyjesz w rytmie Kosmosu, jeśli wiesz, że na Jego przyjście góry i pagórki się obniżą, poddając mu grzbiety do głaskania jak zakochane w swoim panu psy czy konie, jeśli wiesz, że doliny się podniosą, by szedł równą drogą – jesteś w domu, oddychasz powietrzem chrześcijan. Za nami najważniejszy tydzień. Przed nami dzień, który zmienił moje życie. Niedziela Miłosierdzia. Jakkolwiek jesteś ubabrany, w jak niebywałym gnoju się dziś taplasz – ta niedziela jest właśnie dla ciebie.

To było 30 lat temu. Jeszcze byłem nieufny, niewiele rozumiałem, poddawałem się falom, nie wiedziałem, że zapraszając Jezusa do swego życia, jednym zdaniem wywrócę je na nice: „Jezu, ufam tobie".

Dziś coraz więcej lęku w naszych sercach, coraz więcej smutku. Przestaliśmy czuć się bezpiecznie w Polsce, świat staje się miejscem coraz mniej zrozumiałym. Trzeba budzić ufność w duszach. Dawać świadectwo działania mocy Bożej.

Miałem mocno nagrabione, sporo pod pazurami, 30 lat życia bez jakiejkolwiek busoli. Zapragnęliśmy z O. mieć dzieci, więc Kościół, ślub, te rzeczy. Co robią katolicy? Chodzą do kościoła. Zrobiliśmy samochodem rundę po Warszawie. Ten niedzielny kościół brzydki, w tym nieciekawe zapachy, wylądowaliśmy u dominikanów na Freta. Dowiedziałem się o czymś takim, jak Niedziela Miłosierdzia. Moje grzechy były jak szkarłat. Więc tego dnia o godz. 15.00 poszedłem do kościoła na Godzinę Miłosierdzia. Postanowiłem się modlić, klęcząc przez te 60 minut. No i oczywiście po chwili zacząłem się wiercić. Mocny dyskomfort. Kolana i kamień. Kościół wypełnił się głośnym skrzypieniem mojej skórzanej kurtki. Ale przecież nie odpuszczę. I po dłuższej chwili ze zdziwieniem dotarło do mnie, że w kościele panuje cisza, bo się nie wiercę. Modlitwa zaczęła mi sprawiać radość, kolana nie bolały. W świecie materialnym tak nie ma. Uświadomiłem to sobie.

Dziś widzę, jak delikatnie mnie Bóg wtedy prowadził. Zachęcał małymi łaskami, jak owa ulga w klęczeniu, i małymi cudami. Tak było w trakcie rekolekcji ignacjańskich w życiu codziennym. Po 30 minutach zmarnowanego czasu w kościele na Rakowieckiej, gdzie poszedłem – bo w domu małe dziecko, a ja szukałem miejsca na półgodzinną medytację – myśląc, że w porze obiadu w kościele panuje cisza. Myliłem się. I rósł we mnie bunt,

Niedziela Miłosierdzia to święto dla grzeszników. Tego dnia Jezus daje siłę do przemiany wewnętrznej każdemu, kto spełni warunki. Ta energia, ta moc płynie z nieba

że to obciach, pół godziny modlitwy codziennie! Co to za wymagania. Już chciałem rzucić tymi rekolekcjami w kąt. W tym momencie podniosły mi się kąciki ust. I poczułem radość. Nie mogłem opuścić tych kącików ust i radośnie się uśmiechałem. To też nie było z tej ziemi.

Więc następnego dnia do modlitewnej medytacji zasiadłem w domu przed obrazem Jezusa Miłosiernego, który dostałem, gdy rozjeżdżaliśmy się po skończeniu studiów od przyjaciółki, góralki, która – jak niedawno się dowiedziałem – długo modliła się za mnie na różańcu. W trakcie tej modlitwy przed obrazem fizycznie spotkałem Jezusa. I poleciało z górki.

To było spotkanie osoby. Dziś wiem, że zakochanego we mnie faceta. Czystą miłością, której ocean wtedy poczułem.

Chrześcijaństwo bazuje na relacji. Na miłosnej relacji z Jezusem. Grzech przerywa kontakt z Bogiem i rani nasze serce. Sakrament pokuty niweluje winę wynikającą z grzechu, nie usuwa jednak jego konsekwencji. Możemy równoważyć konsekwencje grzechu dobrymi uczynkami, postem w jakiejś ważnej intencji, modlitwą za bliźnich. Jednak Bóg mówi: choćbyś wydał swoje ciało na spalenie, czyli wyniszczył je najsurowszymi postami, a miłości byś nie miał – na nic to jest. Bo Bóg nie oczekuje od nas rekordowych wyrzeczeń czy wielomiesięcznych postów. Oczekuje jedynie miłości. Najmniejszy gest spowodowany miłosnym rzutem serca waży więcej od całej wyczynowej ascezy.

Jeśli za życia nie zdążymy odbudować zniszczeń uczynionych przez nasze wyspowiadane grzechy, możemy dostać drugą szansę. Myślę o czyśćcu. Tam, patrząc na wszystkie znane i nieznane nam konsekwencje grzechów, odcierpimy swoje co do joty.

Czyściec, jezioro ogniste przygotowane szatanowi i jego aniołom, to straszne miejsce. Kościół daje nam jednak narzędzie, dzięki któremu możemy pomóc cierpiącym duszom czyśćcowym. Tym narzędziem jest odpust.

eprasa.pl 66e954e427

Kiedy przypomnimy sobie przypowieść o miłosiernym ojcu i synu marnotrawnym, zobaczymy postawę Boga. Gdy do serca syna dotarło, ile złego zrobił i wyznał to ustami, ojciec zaczął go obdarowywać. Obuł go, dał drogocenną biżuterię, przywrócił pozycję w domu. Odpust należy rozpatrywać w takiej perspektywie. Bóg wychodzi z inicjatywą i czeka na nasze nawrócenie ku dobru. Na nasze próby wzmocnienia relacji z nim.

Odpust nie jest zestawem mechanicznych czynności – jest wejściem na drogę ku kochanej osobie. I ona pomoże nam uczynić wszystko, co potrzeba, bylebyśmy nie zrezygnowali z prób zbliżania się do niej.

Moje życie zmieniło się gwałtownie dzięki orędziu miłosierdzia s. Faustyny. Nie oznacza to, że po nawróceniu nie grzeszyłem ciężko. Jednak zrozumienie, że zaufanie Jezusowi jest najważniejsze, złożenie swojego życia i życia rodziny w Jego ręce całkowicie zmieniło sytuację. Teraz trudniej jest mi popaść w rozpacz.

Korzystaj z Bożego miłosierdzia. Najpierw w sakramencie spowiedzi, nie zapominając o odpustach. To nie są jakieś średniowieczne starocie. Pomagają również nam, bo sięgając po odpusty, nawracamy się także my.

O ile sakrament pokuty kojarzy się praktykującym katolikom z ich życiem, to odpusty najczęściej nie. A są związane z Bożym miłosierdziem równie mocno co spowiedź i równie mocno mogą pomóc, w dodatku w perspektywie ostatecznej.

Są różne możliwości zdobywania odpustu, czyli łagodzenia cierpień naszych nieżyjących bliskich. Warto z nich skorzystać. Nasi ukochani przywitają nas w niebie tym radośniej, jeśli pomożemy im się tam szybciej znaleźć.

Wracając do Niedzieli Miłosierdzia Bożego. Święto Miłosierdzia to uroczystość liturgiczna obchodzona ku czci Miłosierdzia Bożego w pierwszą niedzielę po Wielkanocy, czyli II Niedzielę Wielkanocną. W 2000 r. uroczystość tę ustanowił Jan Paweł II. Można wtedy uzyskać odpust zupełny pod zwykłymi warunkami: spowiedź, komunia święta, modlitwa w intencjach papieskich oraz



Fot. Eugeniusz Kazimirowski/krakow.dominikanie.pl

brak przywiązania do grzechu. Odpust można uzyskać, biorąc udział w nabożeństwach ku czci Miłosierdzia Bożego lub odmawiając koronkę przed Najświętszym Sakramentem.

W Płocku Jezus powiedział do s. Faustyny: „Pragnę, ażeby pierwsza niedziela po Wielkanocy była świętem Miłosierdzia". Niedziela Miłosierdzia to święto dla grzeszników. Tego dnia Jezus daje siłę do przemiany wewnętrznej każdemu, kto spełni warunki. Ta energia, ta moc płynie z nieba. S. Faustyna zapisała obietnicę Jezusa katolicką nowomową lat 30. ub.w.: „W dniu tym otwarte są wnętrzności miłosierdzia Mego, wylewam całe morze łask na dusze, które się zbliżą do źródła miłosierdzia Mojego. Która dusza przystąpi do spowiedzi i Komunii świętej, dostąpi zupełnego odpuszczenia win i kar. W dniu tym otwarte są wszystkie upusty Boże, przez które płyną łaski". Ta obietnica jest wprost niewiarygodna. Wystarczy szczera spowiedź i przyjęcie Jezusa Eucharystycznego, by nie tylko dostąpić tego, co sakrament pokuty oferuje codziennie, jednocześnie bowiem możemy dostąpić zupełnego odpustu, czyli nie tylko zaleczenia ran, jakie grzech uczynił w naszych sercach, lecz także zniwelowania pośmiertnej odpłaty za zło, które wyrządziliśmy. Nie dotkną nas również doczesne konsekwencje grzechów, które wyspowiadamy.

Spowiedź nie musi być odprawiana w dniu Święta Miłosierdzia, można to uczynić wcześniej. Ważne jest, aby dusza była czysta, bez przywiązania do jakiegokolwiek grzechu. Najważniejsze jest zaś, byśmy ufali Miłosierdziu Bożemu oraz byśmy byli miłosierni wobec bliskich.

Prezentując taką postawę, możemy być pewni, że obietnice Chrystusa związane z tym świętem na pewno się spełnią. Pamiętając, że czyny są bardzo ważne. Sama wiara bez uczynków nic nie znaczy. Precyzyjniej: kiedy nie służymy bliskim i bliźnim, możemy być pewni, że nie ma w nas wiary. W kościele pierwsze ławki często zajmują samooszukujący się hipokryci.

Pan Jezus powiedział obrazowo, że w tym dniu „otwarte są wszystkie upusty Boże, przez które płyną łaski; niech się nie lęka zbliżyć do Mnie żadna dusza, chociażby grzechy jej były jako szkarłat". Tego dnia płynie zatem z nieba ocean mocy, deszcz Bożej energii, która może przemienić każde życie i uczynić każdy cud. W jak niebywałym gnoju się dziś taplasz – ta niedziela jest właśnie dla ciebie. Nie dla świętoszkowatych hipokrytów, którzy myślą, że nie potrzebują Boga. To niedziela dla największych grzeszników. Również dla nich.

To nie jest święto tylko dla katolików. Ludzie, którzy dopiero się nawracają, mogą uczestniczyć we wszystkich łaskach, które Pan Jezus przygotował na to święto. Każdy, kto ufa, może prosić o wszystko dla siebie i innych, byleby przedmiot modlitwy pozostawał zgodny z wolą Bożą.

Małe łaski, małe i duże cuda, przejawy Bożej mocy. Głównym warunkiem uczestniczenia w nich jest zaufanie. Zaufanie zakłada bowiem relację. Chrześcijaństwo można zaś streścić do trzech słów: Jezu, ufam Tobie!

eprasa.pl 66e954e427

OGNIEM NA WPROST

Estonia na celowniku



Andrzej Rafał Potocki

Historia chyba nieco przyspiesza i zaczyna się robić „ciekawie" w naszym najbliższym sąsiedztwie, a konkretnie w Estonii, zaledwie 600 km od polskiej granicy. W internecie pojawiły się inspirowane przez Moskwę materiały promujące utworzenie Narwańskiej Republiki Ludowej. Dokładnie takiej samej, jakimi wcześniej były Donbabwe i Ługanda. Tyle że tym razem działania (na razie) nie mają wymiaru kinetycznego, a ograniczają się do kreowania rzeczywistości w sieci. Nie ma znaczenia, ilu ludzi zareaguje dziś pozytywnie na separatystyczną propagandę. Ważne, że taka narracja w ogóle się pojawiła i wpływa na umysły ludzi najczęściej siedzących w internecie oraz mających najniższy poziom myślenia krytycznego, czyli do młodzieży. Ta ona zaczyna nasiąkać ideami separatystycznymi. Jeśli teraz w regonie Narwy, gdzie ponad 80 proc. mieszkańców to etniczni Rosjanie, dojdzie do incydentu z kontekstem narodowościowym (np. Ruski i Estończyk pobiją się o dziewczynę), propaganda separatystyczna może (nie musi) zacząć trafiać na podatny grunt. Młodzi Rosjanie w Estonii czują się obywatelami Estonii, ale ten trend łatwo można odwrócić poprzez mechanizm „zawiedzionej miłości", czyli pokazując im, że Estonia traktuje ich jak obywateli drugiej kategorii. Sprawy nie ułatwia fakt, że choć większość młodych (stanowiących cel tej operacji) deklaruje identyfikację z państwem estońskim, to nie identyfikują się z estońskim narodem. W najlepszym razie określają się jako Narwianie, co gorsza, większość nadal uważa się za estońskich Moskali. A stąd już blisko do pomysłów separatystycznych. Ostatnio Ukraińcy przeprowadzili atak dronami na ruski port w Ust-Łudze, 30 km na północny wschód od Narwy. Miasto ma zaś kluczowe znaczenie strategiczne. Położona na północ od Zalewu Narwiańskiego, pomiędzy nim a Bałtykiem, rygluje najkrótszą drogę między Petersburgiem a Tallinem. Opanowanie tego miasta czyni obronę na linii rzeki Narwa bezcelową i zmusza obrońców do cofnięcia się na drogę E-264, która z północy na południe przecina przesmyk. Droga nie jest jednak tym samym co rzeka, jeśli chodzi o walory obronne. W ten sposób Kreml tworzy nowy punkt zapalny po przesmyku suwalskim, łatwiejszy do konsumpcji, bo można tam walnąć w obronie „swoich".

Na szczęście napływa coraz więcej informacji o rosnącym niezadowoleniu Kacapów z toczącej się wojny z Ukrainą. Nowy raport Instytutu Studiów Wschodnich opisuje rosnącą panikę wśród ruskich ultranacjonalistów. Po skutecznych atakach Ukrainy oraz pogarszającej się sytuacji gospodarczej Federacji coraz częściej mówią oni o nieuniknionej porażce. W ich opinii Kreml może się już przygotowywać do zawarcia tzw. haniebnego pokoju, czyli zakończenia wojny na niekorzystnych warunkach. Jak zauważa tsn.ua, jeden z kremlowskich komentatorów wojskowych przyznał, że potencjał gospodarczy Zachodu znacznie przewyższa potencjał Federacji. Dzięki temu Ukraina otrzymuje szybkie i duże wsparcie, co przekłada się na skuteczniejsze ataki. Tenże serwis informuje o napięciach w Kacapii po ostatnich atakach na kluczowy port w Ust-Łudze. Pracownicy portu starli się z ochroną po tym, jak część załogi nie została wpuszczona na zmianę. Na miejscu interweniowała policja i jednostki OMON. Władze narobiły sobie sporo problemów, uderzając w internet. Mobilny nie działa obecnie nawet w dużych miastach Federacji. Wszystkie zachodnie portale społecznościowe i komunikatory są zablokowane. Telegram jest zablokowany w 80 proc., a całkowita blokada była planowana na 1 kwietnia. Inna rzecz, że od czasu do czasu ruscy turbopatrioci popadają w herezję krytyki i zaczynają – jedni łagodnie, inni ostro – łajać władze, dowództwo wojskowe, narzekać na sytuację społeczno-ekonomiczną w kraju i na trudne życie. Klasycznym przykładem jest inicjator „wojny w Donbasie" Igor Striełkow-Girkin, który ostatecznie trafił do więzienia za „zamachy" na Putina i niekompetencję w prowadzeniu wojny z Ukrainą. Ale im więcej chlewu narobią turbopatrioci w Kacapii, tym dla nas lepiej.

Według analityków Moskwa straciła 40 proc. swoich możliwości eksportowych ropy, przy czym uderzenie w Ust-Ługę było tu kluczowe. Po wyłączeniu rurociągu Przyjaźń oraz portów w Noworosyjsku, Przymorsku i Ust-Łudze Kreml może eksportować ropę na Zachód tylko przez Pacyfik. A to radykalnie winduje i tak już wysokie koszty transportu (podbite przez to, że Iran zablokował cieśninę Ormuz). Ponieważ dwa drony przypadkiem trafiły w komin estońskiej elektrowni (napatoczył się po drodze), to Ruski już twierdzi, że Ukry zaatakowały Estonię. Mimo że Kijów przeprosił Tallin za zdarzenie, pytanie, po co niby Ukraina miałaby zaatakować Estonię, nadal jest obce propagandystom z Kremla.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 66e954e427

***Michał Korsun prezentuje:* O dwóch takich… czyli Adam Gessler i Janusz Palikot razem gotują**



Wycinki z przeszłości

Miłość bywa skomplikowana, czasem aż do granic absurdu. W 1932 r. „Kurjer Czerwony” opisywał rozwód gwiazdy Annie Harding, która rozstawała się z mężem, aktorem teatralnym Harrym Bannisterem, bo… kochała go za bardzo. Jak tłumaczyła, nie mogła znieść, „iż od chwili ślubu nazywają go wszyscy »mężem Anny Harding«, a o nim samym nic nie mówią”, więc dla utrzymania „ich wzajemnej miłości postanowili ten rozwód”.

(sp)


KURJER
CZERWONY
Zaniepokojenie
Stalin ciężko chory
Rozmowy premjerów będą powtórzone
Dziś w Bernie zmarł min. Sokal
Człowiek bez skrupułów
Ofiarą bankiera Kwinty padło ponad
Tajemnica Marymontu
Rozwód z... miłości
Słynna angielska gwiazda filmowa Annie Harding rozwodzi się ze swym mężem Harrym Bannisterem, znanym aktorem teatralnym.
Wiadomość o tem obudziła wielkie zdziwienie w Hollywood, gdyż małżeństwo to uchodziło za jedno z najszczęśliwszych.
I cóż się okazało?
Anna Harding objaśniła ten fakt w sposób zgoła nieoczekiwany.
Oto, rozwodzi się z mężem, gdyż... ...kocha go zabardzo i nie może znieść faktu, iż od chwili ślubu nazywają go wszyscy „mężem Anny Harding“, a o nim samym nic nie mówią.
Dla utrzymania, więc, ich wzajemnej miłości i ratowania ...wy ukochanego, postanowili ten rozwód.

Z WOLEJA

Buraki i UEFA



Ryszard Czarnecki

Moja prywatna nagroda Burak Miesiąca dla szwedzkich kibiców, którzy gremialnie gwizdali podczas polskiego hymnu przed meczem w Sztokholmie. „W czasach obecnych chamy, co dorobiły się majętności, za herbami się chętnie oglądają…” – pisał nieodżałowany Marek Nowakowski w „Stygmatykach”. Albo można to ująć prościej: „Cham chamem na wieki wieków, amen”. Nie dość, że chamy, to jeszcze złodzieje, i to na olbrzymią skalę: w czasie potopu nakradli tyle polskich dóbr materialnych i dóbr kultury, że przewyższyli późniejsze rabunki najpierw „białej”, a potem „czerwonej” Rosji, czyli Sowietów, oraz Niemców podczas II wojny światowej. Mieli oddać na mocy traktatu z Oliwy z 1660 r., ale zwrócili tylko niewielką część – najpierw w XVII w., a potem na ręce księcia Adama Czartoryskiego w Paryżu w XIX w.

Dziś bogate buraki ze Skandynawii gwiżdżą, bo kto bogatemu zabroni. Widocznie w Unii Europejskiej jest tak, że jak ktoś ma jeden z najwyższych PKB na głowę mieszkańca, to mniema, że wolno mu wszystko.

Miałem zaszczyt znać sp. Marka Nowakowskiego i spędzić w jego towarzystwie trochę miłych chwil. Buraków – poddanych króla Szwecji, przed którego pałacem umieszczone są dwa wielkie lwy zrabowane z Polski 3,5 wieku temu – poznawać nie chcę. Jak mądrze mówiła moja babcia Bronisława: „Nie podchodź do byka z przodu, do konia z tyłu, a do głupiego z żadnej strony”.

Szczerze mówiąc, są to chwile, w których zupełnie nie chce mi się pisać o futbolu. Wolę o gimnastyce artystycznej. Nie kpię – w swoim czasie byłem patronem honorowym kilku międzynarodowych turniejów w tej dyscyplinie sportu. Odbywały się we Wrocławiu. To trochę ekskluzywny sport, bo występują same dziewczynki i dziewczęta. Czyli jak w żużlu, gdzie jeżdżą wyłącznie faceci, ale odwrotnie. Mnie to nie przeszkadza. Komunistyczne hasło: „Kobiety na traktory” nie musi obowiązywać w sporcie. Chwała prezydentowi Trumpowi – przy całej jego specyfice (tak to ujmę) – że w USA zabronił udziału biologicznych chłopów w sporcie kobiet. Świat zwariował pod tym względem, a akceptowanie wariactwa nie przystoi.

Zwariowała też na pewno UEFA. Nie tylko gdy chodzi o idiotyczne karanie jednych klubów za transparenty wywieszane podczas meczów w europejskich pucharach i niekaranie innych według politycznego czy narodowościowego klucza. Także gdy idzie o system kwalifikacji do mundialu, który dopuścił do baraży ostatnią drużynę w swojej grupie eliminacyjnej! Akurat chodzi o… Szwecję. Sportowa sprawiedliwość została zgwałcona. Buraki gwiżdżą, buraki się cieszą.

eprasa.pl 66e954e427

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Ex Polonia lux?

Europa przeżywa poważany kryzys polegający na tym, że nie radzi sobie z globalnymi wyzwaniami. Mało kto temu zaprzecza.

Ta ogólna diagnoza jest podzielana, gdyż podzielany jest niepokój. Niepokój wynikający z tego, że choć ciągle narzekamy na Europę (to coś więcej niż Unia Europejska, choć to nasza Unia stanowi najważniejszą instytucję współczesnej Europy), to jednocześnie zakładamy, że jest ona nie byle jakim osiągnięciem cywilizacyjnym. Jest godnym ocalenia sukcesem ludzkiego wysiłku.

Ale w obliczu jakich zagrożeń? Zasygnalizujmy je krótko, bo to nie na nich chcemy się skupić. Mamy rosyjskie barbarzyństwo – trzeba wielkiej odmowy wiedzy, by tego nie dostrzegać. Mamy nieco bardziej odległą i wielokrotnie bardziej wyrafinowaną od postsowieckiego prymitywizmu perspektywę autorytarnego ładu à la Pekin. Mamy tlącą się recydywę niemieckiego postfaszyzmu. Mamy wreszcie (chyba niedoceniany) scenariusz cyfrowej megamanipulacji za pomocą sztucznej inteligencji.

Właśnie w obliczu tego typu zagrożeń Europa woła: znajdźcie jakiś realistyczny sposób wyjścia z kryzysu!

Ale realistycznych opcji raczej nie widać. Dlaczego? No właśnie, dlaczego nie potrafią ich naszkicować tysiące badaczy uniwersyteckich, pozaakademickich intelektualistów, artystów wypasionych na grantach i fundacjach, publicystów piszących dla wpływowych mediów?

Dlaczego umysłowa część Europy jawi się nam– i sobie samej – jako bezradna? Czyżby jej myślenie było spowite mackami interesów, których te tysiące utalentowanych, kreatywnych ludzi nie potrafi prześwietlić? Ta bezradność nie jest przypadkowa. Stanowi produkt sieci interesów, które definiują, jakie pytania są poważne, a jakie populistyczne. Sprzyjają temu nowe formy dezintegracji społecznej: uzależnienie od internetu i nowych technologii oraz hazard elektroniczny. Zjawiska, które miliony ludzi z politycznymi elitami na czele pozbawiło zdolności do głębokiego, w tym autokrytycznego namysłu.



Jeśli uczciwie zobaczymy własne słabości i wyciągniemy wnioski, możemy stać się przykładem europejskiego odrodzenia

Europa potrzebuje nie tyle wielkiego planu z Centralnego Biura Mądrości podległego Komisji Europejskiej, ile odnowionej kultury śmiałego myślenia, czyli odwagi politycznej. Zamiast powtarzać retorykę o „wartościach", warto się skupić na instytucjach, które mogą je urzeczywistnić. To oznacza mniej spektakularnych gestów, a więcej cierpliwej naprawy edukacji, warunkowanie zachęt inwestycyjnych komponentem B+R, utworzenie rejestru lobbystów obejmujących think tanki i kancelarie, stworzenie własnego portalu obiektywnych danych strategicznych.

Potrzebujemy nowej rozmowy o suwerenności technologicznej – w duchu odporności – a nie brukselskiego protekcjonizmu. Rozmowy o ochronie przestrzeni publicznej przed manipulacją, o tym, jak uczynić algorytmy przejrzystymi i jak rozdzielić władzę kulturową od monopolistycznej kontroli danych.

Tu może wejść Polska – nie jako mesjasz, lecz jako laboratorium. Nasza historia uczy, że zmiany zaczynają się od drobnych, nieoczywistych decyzji: reformy szkolnictwa, wsparcia niezależnych mediów czy lokalnych inicjatyw obywatelskich. Jeśli uczciwie zobaczymy własne słabości i wyciągniemy wnioski, możemy stać się przykładem europejskiego odrodzenia.

Czy zatem z Polonii mogłaby wyjść nowa światłość? To pytanie prowokuje, ale nie oczekujmy cudu. Raczej zachęcajmy się do wypracowania własnej suwerenności intelektualnej. Co wiąże się z ryzykiem.

Polska jako kraj doświadczony zarówno strukturalną zależnością (kapitalizm peryferyjny), jak i nadmiernie konfrontacyjną retoryką suwerenności ma unikalną perspektywę: rozumie cenę braku autonomii i cenę jej stanowczych, ale iluzorycznych deklaracji.

Suwerenność intelektualna to bowiem ekstremalny sport poznawczy dla elity. Niczym łyżwiarstwo figurowe po zamarzniętym stawie, którego tafla jednak może...

Jeśli taki wysiłek zostanie podjęty, odpowiedź może być twierdząca, choć nie w sensie triumfalnym, lecz w sensie trwałej i skromnej skuteczności. *Ex Polonia lux* – owszem, pod warunkiem, że światłość będzie rozumiana jako zdolność do naprawy, a nie jako przedwczesna pretensja do zbawienia.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

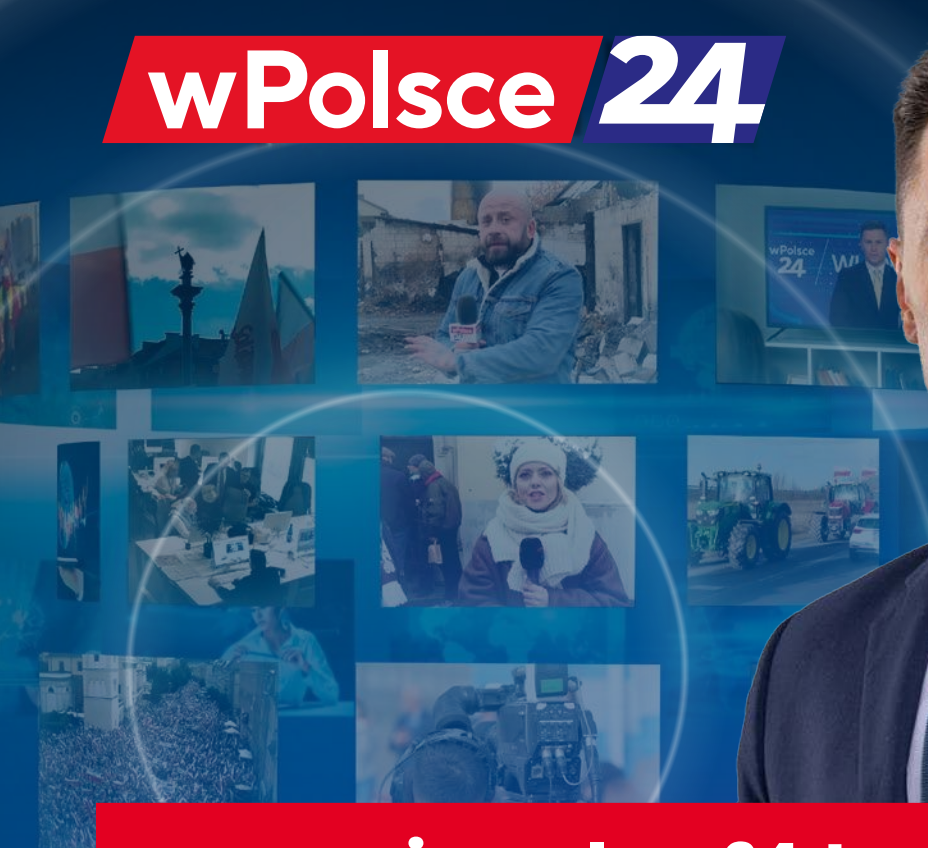
Autopromocja x2

eprasa.pl 66e954e427

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce 24





Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 66e

O kulisach polityki
WIEMY WSZYSTKO



Subskrypcja **SIECI**

wPolityce.pl Premium +

już od

7,90 zł

WIESZ PIERWSZY:
Pełne e-wydania tygodnika „Sieci”
już w niedzielę o 18:00.
Zanim inni omówią przekaz, Ty znasz scenariusz.

WIDZISZ WIĘCEJ:
Nielimitowany dostęp do zamkniętych artykułów na wPolityce.pl Premium+. Dziennikarstwo bez cenzury i politycznej poprawności.

ROZUMIESZ KONTEKST:
Dostęp do pełnego archiwum wydań oraz unikalnych e-booków „Sieci Extra”.

WSPIERASZ NIEZALEŻNOŚĆ:
Twoja subskrypcja to potężny oręż i cegiełka do budowy prawdziwie wolnych mediów w Polsce.

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 66e954e427